

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Nr 8

1948



R. ARON — Mit społeczeństwa bezklasowego * W. ZYLINSKI
— Tragedia Kościoła greko-katolickiego w Polsce * T. NOWA-
KOWSKI — Weronika i Polifem * POEZJE * NAJNOWSZA
HISTORIA POLSKI: W. POBOG MALINOWSKI — Na
rumuńskim rozdrożu * ARCHIWUM POLITYCZNE: P. HO-
STOWIEC — Klęska armii włoskiej nad Donem * R. WRAGA
— Zbrodnia * SPRAWY I TROSKI * KSIĄZKI.

SPIS RZECZY

Raymond Aron:	<i>Między społeczeństwo bezklasowe</i>	3
Wiesław Żyliński:	<i>Tragedia Kościoła greko-katolickiego w Polsce.....</i>	19
♦		
Tadeusz Nowakowski:	<i>Weronika i Polifem</i>	48
♦		
Jurij Kłen:	<i>Ukraina (fragmety)</i>	72
Pawło Fylypowycz:	<i>Trzy sonety o Salomei</i>	75
Nykoła Zerow:		
Jewhen Małaniuk:	<i>Obca wolność</i>	77
Józefa Radzymińska:	<i>Do Matki w kraju</i>	77
Józefa Radzymińska:	<i>Przyszłość</i>	78
Jan Olechowski:	<i>Modlitwa o zdjęcie apatii</i>	79

NAJNOWSZA HISTORIA POLSKI

Władysław Pobóg Malinowski:	<i>Na rumuńskim rozdrożu (c.d.)..</i>	80
--------------------------------	---------------------------------------	----

ARCHIWUM POLITYCZNE

Paweł Hostowiec:	<i>Kłęska armii włoskiej nad Donem</i>	117
Ryszard Wraga:	<i>Zbrodnia</i>	133

KSIĄŻKI

Alksander Korczyński:	<i>Książki o Niemczech</i>	141
—	<i>Książki o Rosji</i>	150
Jerzy Lerski:	<i>Księga lęków i przeznaczeń</i>	152

SPRAWY I TROSKI

C. C.:	<i>Sprawa DP-isów</i>	156
--------	-----------------------------	-----

Wydawca: EDITION ET LIBRAIRIE « LIBELLA »
12, rue St-Louis en l'Île, Paris (IV^e)

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Nr 8

1948

OKAZOWY

INSTITUT



LITERACKI

Mit społeczeństwa bezklasowego

(Wyjątki z większej całości)

Do r. 1914 oburzano się na kapitalizm (właśnie w tym czasie, gdy poprawiał on nadzwyczajnie warunki istnienia ludzi) bez zdefiniowania ustroju, zwanego socjalizmem, który miał przyjść po ustroju znienawidzonym. Precyzja w obelgach w połączeniu z niejasnością przyszłych zarysów ustroju służyła propagandzie. Łatwo jest nienawidzić to, co się zna — a biera się entuzjazmu dla tego, co jest jeszcze nieznanne.

Ale owa akcja propagandowa była uzależniona od przestanki raczej uczuciowej, niż przemyślanej rozumowo, mianowicie od przekonania, iż okres po-kapitałistyczny przyniesie rozwój tych wartości, w imię których potępiano kapitalizm. W ten sposób wygrywano wszystkie karty naraz: zabezpieczenie wolności człowieka, współnictwo doświadczeń, przypisywanie rewolucji godności uniwersalnej prawdy, a równocześnie usunięcie kłopotliwych pytań. Wiedzano tylko tyle, że rewolucja marksistowska będzie stanowiła koniec prehistorii, ale nie zdawano sobie sprawy, jakie wskutek tego wytworzą się stosunki społeczne.

Ten wszakże, który *dzisiaj* używa tej żonglerki ideologicznej nie jest już człowiekiem naiwnym, lecz złej woli. Albowiem wszyscy już wiedzą (z wyjątkiem tych, którzy są zdecydowani nie przyjąć tego do wiadomości), że ustrój po-kapitałistyczny może być o wiele gorszy, niż sam kapitalizm. Kiedy Leon Blum prezentował społeczeństwu francuskiemu książkę James'a Burnham'a «Epoka organizatorów» (*The Managerial revolution*) — streścił jej główną, nową i niepokojącą ideę w tych słowach: można zniszczyć kapitalizm, a mimo to nie wprowadzić w życie socjalizmu. Zniesienie własności prywatnej i mechanizmu rynku gospodarczego nie pociąga za sobą ani usunięcia klas społecznych, ani triumfu wartości ludzkich: równości i wolności, do których socjaliści demokraci są nadal przywiązani. Pomimo całego respektu dla Leona Bluma wypada się dziwić, że to elementarne rozróżnienie zostało mu narzucone z zewnątrz. Dlaczegoż to podstawienie jednej elity w miejsce innej i własności zbiorowej w miejsce własności prywatnej miałyby

PRINTED IN FRANCE

pociągać za sobą urzeczywistnienie się tysiącletniego marzenia, które uśmierza cierpienia ludzkości?

Alain mówił chętnie, że marksizm nie posiada żadnej polityki. Najsubtelniejszy komentator Marksa A. Koniew w dziele «Marks-Heglista» uważa, iż nie ma żadnej marksistowskiej teorii państwa. Istnieje teoria walk pomiędzy panami a niewolnikami, walk między klasami ze zmiążdżeniem jednych przez drugie. Ale nie ma teorii wspólnoty ani teorii sprawiedliwości lub dobra ogólnego — teorii utrwalającej pewien stały porządek prawny między dawnymi nieprzyjaciółmi.

Państwo — według klasycznego marksizmu i jeszcze w dziełach Lenina — jest tylko narzędziem, zapomocą którego posiadacze środków produkcji utrzymują stosunki społeczne i wyzysk robotników. Logicznie więc — można by prawie a priori określić, iż państwo powinno zginąć wraz z usunięciem klas społecznych. Społeczeństwo bezklasowe byłoby to — już z samej definicji — społeczeństwo bez państwa. Aparat przymusu, konieczny dla burżuazji — byłby niepotrzebny od chwili, gdy zakończył się wyzysk człowieka przez człowieka. Stąd na horyzoncie dziejów wraz z socjalizmem zjawia się równocześnie perspektywa anarchii.

Doświadczenie rosyjskie co najmniej podważyło tę tezę. Nigdy aparat przymusu państwa kapitalistycznego nie osiągnął takiej omnipotencji — jak aparat państwa sowieckiego. Marksisci wahali się między dwiema koncepcjami dyktatury proletariatu: jakobińskim autorytetem władzy centralnej i decentralizacją na rzecz gmin oraz rad chłopsko-robotniczych («sowie-tów»). Niewątpliwie właśnie władza centralna się umocniła. Rady robotnicze, chłopskie i żołnierskie straciły powoli wszelki sens i cel istnienia; to one zginęły, a nie państwo.

Są i tacy, którzy twierdzą, iż władza państwa nie zmniejsza się w Rosji, ponieważ Rosja jest otoczona wrogami, czyhającymi na jej zglubę. Ale jeśli oczekuje się na to, aby państwo wogóle nie miało wrogów, to tym samym przyznaje się, że socjalizm nie jest możliwy w jednym państwie (co jest zresztą częścią doktryny Trockiego, nie Stalina). Inaczej mówiąc, śmierć państwa miałaby nastąpić po stworzeniu powszechnego imperium. Zresztą, nawet w tym sensie doświadczenie nie usprawiedliwia teorii, ponieważ terror nie jest ani refleksem obronnym, ani przeżytkiem czasów minionych; stanowi on integralny rys nowego społeczeństwa.

Inni powołują się na konstytucję sowiecką z r. 1936 i wybory, lecz wszyscy wiedzą, że Rosji nic się nie zmieniło, jeśli idzie o istotny podział władzy, że dąży przedstawiane przy wyborach obejmują tylko komunistów lub takich bezpartyjnych, na których umieszczenie komuniści się zgodzili — że dalej wszystkie instytucje, rady, rządy lokalne, republiki autonomiczne są w rzeczywistości kontrolowane przez komunistów i że partia jest dzisiaj zbiorowym dyktatorem o wiele bardziej,

aniżeli u zarania rewolucji. Inaczej mówiąc ewolucja poszła w kierunku wzmocnienia, a nie złagodzenia dyktatury.

Jeszcze inni będą się powoływali na filozoficzną dialektykę. Powiedzą oni: nie ma już klas, bo klasy tworzą się przez określenie swej pozycji w mechanizmie produkcji. Otóż ze zniesieniem własności prywatnej usuwa się za jednym zamachem rozróżnienie prawne i społeczne między proletariatem i burżuazją. Kiedy nie będzie właścicieli środków produkcji, proletariąt zniknie automatycznie (można by ściślej powiedzieć: z samej definicji pojęć). Jeśli robotnicy przestaną sprzedawać swą siłę pracy kapitalistom, nie będzie już opozycji między tymi, którzy rozporządzają tylko własną siłą pracy, a tymi, którzy dysponują środkami produkcji.

Od tej chwili robotnik przez swą pracę bierze udział wprost w powszechnej działalności państwa (est universalisé), kierownicy zaś fabryk i kombinatów są tak samo najemnikami jak i on sam. Cały naród jest zaangażowany w tym samym, jedynym przedsięwzięciu.

Przyjmując takie znaczenie, rzeczywiście można cieszyć się z usunięcia klas. Trzeba wszakże nie zapominać o tym, że ten cud osiąga się przy pomocy czystej gry myślowej. Pojęcie «klasy» jest tak zdefiniowane, iż nie może ona trwać dłużej, niż własność prywatna; jakiegokolwiek znaczenie mogłby nadawać filozof temu zjawisku, iż każdy pracuje dla wszystkich, ponieważ wszyscy pracują dla państwa — to większość umysłów ludzkich wyobrażała sobie społeczeństwo bezklasowe w sposób bardziej naiwny i bardziej konkretny. Nie spodziewano się wprowadzić absolutnej równości, ale przynajmniej złagodzenia nierówności. Przepaść między «prostym człowiekiem» a uprzywilejowanym nie powinna by już dłużej przybierać takich rozmiarów, aby wytwarzała dwa odrębne światy. Uznając swe wzajemne pozycje, ludzie byłiby związani ze sobą na zasadzie kierownictwa i posłuchu. Między tymi wszakże, którzy rozkazują i tymi, którzy słuchają, nie byłoby już bariery. Rozkazujący wychodziliby z szeregów słuchających i podlegaliby ich kontroli. Kierownicy nie posiadaliby już dłużej tak wielu przywilejów i tak trwałego stanowiska, aby stanowić odrębną grupę. Eksperyment rosyjski przekreślił ową idealistyczną wizję społeczeństwa bezklasowego. Nie zmniejszył on dystansu gospodarczego między tymi, którzy są na najniższych i najwyższych szczeblach drabiny dochodów, nie zbliżył masy do nielicznej grupy, która rozkazuje.

Czy jest prawdą, że państwo stanowi tylko narzędzie dla klasy wyzyskiwaczy? Czy jest prawdą, że można, nawet w schemacie idealnym przejść logicznie od zniesienia własności prywatnej do zaniku państwa?

Jeśli się chce powiedzieć tylko tyle, że posiadacze środków produkcji wywierają zawsze wpływ na sprawy państwowe — często zaś wpływ decydujący — to niewątpliwie takie twierdzenie.

nie jest słuszne. Władza polityczna i potęga społeczna są ze sobą związane tysiącnymi więzami, widzialnymi i niewidzialnymi. Ale nie można stąd wnioskować, iż państwo jest tylko organem wykonawczym danej klasy społecznej ani też, że zasadniczy stosunek między elitą rządzącą a masami pokrywa się ze stosunkiem między wyzyskującymi a wyzyskiwanymi lub wreszcie, że stosunek ten ustaje z wprowadzeniem ustroju własności zbiorowej (kolektywnej).

Państwo (to znaczy ludzie, którzy dzierżą władzę centralną: królowie lub szlachta, administratorzy lub działacze polityczni) — wykonuje swą rolę, posiada swe własne interesy, swe ambicje, swe środki działania. Oczywiście, jest rzeczą niemożliwą zrozumieć np. przekształcenie «ancien régime'u bez uwzględnienia walki między królem i jego administracją z jednej strony, a panami feudalnymi z drugiej strony. Monarchia starała się bez przerwy rozszerzyć swój zakres działania i autorytet kosztem tych warstw, które posiadały równocześnie pewną część i władzy gospodarczej i władzy politycznej. Niewątpliwie przejście od monarchii feudalnej do monarchii absolutnej odbywa się równoległe z usuwaniem dawnych kadr, z żywszą wymianą handlową, z dochodzeniem do wpływów «trzeciego stanu». Państwo opiera się na nim, kiedy walczy z wielkimi magnatami feudalnymi. Tym niemniej państwo samo wykonuje pewną funkcję historyczną, nieprzejętą również w stosunku do interesów klasy kierowniczej. Interweniuje ono w walkach różnych grup elitarnych, dawnych i nowych, rycerzy i kupców — jako siła odrębna, często decydująca, zapewnia zwycięstwo jednych lub drugich.

Kiedy znów burżuazja, posiadaczka środków produkcji — usunęła mniej lub bardziej kompletnie przywileje wynikłe z pochodzenia i sama wydobyla się na pierwsze miejsce — to wtedy również nie istniała jednolita klasa wyzyskiwaczy, jednolita w poparciu swych interesów i mająca państwo na swe usługi. Naturalnie państwo i burżuazja są bardzo ogólnie zainteresowane razem w tym, aby nie obalać istniejącego porządku społecznego i utrzymać budowę państwa opartą na własności prywatnej. Nawet, gdy głosowanie powszechne oddaje władzę w ręce socjalistów, mają oni rzadko dostateczną siłę, aby móc zastosować w praktyce swe teorie aż do końca przeciwko sile «poru klas uprzywilejowanych. Ale elita współczesnego społeczeństwa kapitalistycznego (pomijając już nawet sprzeczne interesy między kapitalizmem przemysłowym a bankowym, między właścicielami fabryk a ziemianami, między tymi, którzy pracują dla rynku wewnętrznego a eksporterami itd.) — dzieli się na wyraźne grupy: kierowników gospodarstwa społecznego (maîtres de l'économie), polityków, administratorów, przywódców mas. W zależności od kraju i warunków chwili, siła względna każdej z tych grup jest różna. Od stu lat siła przywódców mas i siła państwa wzmogły się prawie wszędzie. Koncepcje polityków oraz siła woli tych, któ-

rzy utożsamiają się z potęgą państwa (ministrowie lub urzędnicy) spowodowały przeprowadzenie licznych reform, przekształcających w różnym stopniu ustrój i funkcjonowanie sił społecznych, równocześnie zaś zmieniających stosunek klas społecznych do siebie.

Inaczej mówiąc — nie docenia się roli historycznej państwa, jeśli stawia się z jednej strony klasę kierowniczą, z drugiej zaś władzę państwowe, poddane wyłącznym interesom tejże klasy (zresztą Marks w swych pracach historycznych nigdy nie popełnił podobnego błędu). We wszystkich okresach historycznych prawdziwa rzeczywistość to istnienie wielu grup wśród elity i interwencja państwa na rzecz jednej lub drugiej grupy już to w imię pokoju lub sprawiedliwości już to wskutek specyficznego imperializmu samego państwa.

Zastosujmy ten schemat do społeczeństwa po-kapitalistycznego, w którym w myśl hipotezy, zniknie własność prywatna środków produkcji. W jaki sposób własność zbiorowa wyrazi się w życiu realnym? Teoretycznie uważa się, że każda zbiorowość, już to regionalna, już to zawodowa, będzie sama właścicielką swych narzędzi pracy. Nie mówmy o trudnościach tego rozwiązania. W naszej epoce zupełnie inaczej rozwiązywano tę kwestię w Rosji, gdzie własność powróciła do samego społeczeństwa i do państwa, które jest jego wyrazem. *Odtąd ci, którzy rządzą państwem, są automatycznie kierownikami gospodarki (maîtres de l'économie)*. Ponieważ zaś poza tym zanikło tak charakterystyczne dla demokracji formalnej rozróżnienie między politykami wybranymi a administratorami mianowanymi, wreszcie ponieważ przywódcy mas utożsamiają się z kierownikami politycznymi — wynikiem tego jest całkowita unifikacja elity. Jest ona jedyna, wyłączna i ma na wprost siebie tylko masę narodu. Inaczej się wyrażając — społeczeństwo typu sowieckiego dostarcza aktualnego i prawdziwego przykładu tej socjologii, którą postuluje się teorie faszystowskie (np. socjologia Pareto) — a która uważa za zasadniczą przeciwstawność elitę i masy.

Zarazem rozumie się lepiej wskutek tego, dlaczego zwolennicy Stalina czepiają się wciąż socjologii masy, a z taką wściekłością odrzucają socjologię elity. Trzeba to odrzucenie zbadać psycho-analitycznie, gdy jest ono nieświadome. Wythumaczyć je wszakże łatwo — jeśli jest świadome — przez chęć ukrycia wielu spraw (camouflage). Nie uznawać pojęcia elity to znaczy nie uznawać specyficznego istnienia państwa, to znaczy obłudnie utrzymywać, iż państwo umiera wraz z klasami społecznymi (w sensie filozoficznym tego terminu), że koniec wyzysku gospodarczego łączy się w czasie z końcem wszelkiego wogóle wyzysku.

Socjologia, która zmierza do całkowitego i obiektywnego zrozumienia rzeczywistości — ma obowiązek łączenia dwu metod analizy. Jest rzeczą tak samo nieuczciwą nie uznawanie podziału na klasy według przesądów społecznych, tradycji lub działań

ności zawodowej — jak też zapominanie o podziale (istniejącym rzeczywiście we wszystkich społeczeństwach znanych w historii) na mniejszość, która ma w swym ręku stanowiska kierownicze i na masę, która znajduje się po przeciwnej stronie barykady. Co więcej, tylko połączenie tych dwu systemów myślowych (w analizie) pozwala na uchwycenie rozumowe ewolucji od jednego typu społeczeństwa do drugiego, jak też różnych odmian danego typu społeczeństwa.¹⁾

W swej książce *«Epoka organizatorów»* — Burnham dał pierwszy szkic tej syntezy. *Dyrektorzy*, ci, którzy rzeczywiście «nakręcają» maszynę administracyjną i przemysłową — jakkolwiek nie są ani właścicielami, ani finansistami — stają się klasą kierowniczą w tym sensie, jak byli nią do niedawna posiadacze narodowego kapitału. Kontrolują oni dostęp do środków produkcji i tworzą elitę społeczeństwa po-kapitalistycznego. Ale jakiegokolwiek znaczenie nadamy owej wizji stożków na całym świecie — zrozumie się wszystko lepiej, gdy się uwzględni równocześnie z jednej strony stosunki między różnymi klasami społecznymi, z drugiej zaś strony między klasami a elitą.

Tak więc cechą społeczeństwa kapitalistycznego nie jest tylko przewaga posiadaczy środków produkcji, lecz także różnorodność sił społecznych. Poza kierownikami życia gospodarczego także politycy, przeważnie wybieralni, czasami pochodzący z dawnej szlachty, ponadto administracja państwowa, sprawująca częściowo władzę. Organizacje mas ludzkich, stronnictwa robotnicze lub syndykaty zdobyły sobie także pewien autorytet. Właściwą cechą charakterystyczną każdego społeczeństwa kapitalistycznego stanowi zarazem podział na grupy społeczne i rozdział władzy między przedstawicieli owych grup. (Oba te podziały nie muszą koniecznie zgadzać się ze sobą: w niektórych krajach o większości chłopskiej władza może pozostać w rękach przedstawicieli mniejszości miejskiej.) Studia nad składem elity są równie nieodzowne, jak badania struktury społecznej. Obie te struktury nie są od siebie niezależne, lecz także jedna nie stanowi tylko odbicia drugiej. Inaczej mówiąc, społeczeństwo kapitalistyczne zawiera w sobie wiele typów instytucji politycznych, wiele możliwych odmian elit; podobnie rzecz się ma ze społeczeństwem rządzonym przez «dyrektorów».

Ideologia marksistowska klas społecznych — świadomie lub nieświadomie — dopuszcza się podwójnego zniekształcenia rzeczywistości. Kiedy mówi ona o zniesieniu klas w Rosji Sowieckiej, używa terminu «klasy» w sensie czysto filozoficznym: kategoria zdefiniowana przez swoją pozycję prawnospołeczną w procesach wytwórczości. Ponieważ cała ludność jest zaprzęgnięta w charakterze najemników do jednego i

¹⁾ Tutaj upraszczamy analizę. Samo pojęcie «klasy społecznej» jest dwuznaczne. Klasa (w znaczeniu marksistowskim) jest raczej koncepcją z dziedziny filozofii historii, niż socjologii doświadczalnej.

tego samego procesu wytwórczego — nie ma już «klas» w danym znaczeniu, ale pozostają grupy społeczne, które nazywano «klasami» na podstawie mniej lub bardziej ogólnikowej definicji empirycznej tego terminu¹⁾: pracownicy najemni w przemyśle, kadry i inżynierowie, urzędnicy, robotnicy rolni — nie są zrównani ani w swej stopie życiowej, ani w sposobie życia dlatego tylko, iż wszyscy razem są pośrednio lub bezpośrednio najemnikami państwa. Oczywiście, stracili oni możliwość przypisywania całego zła «rządowi 200 rodzin» lub kapitalizmowi. Walka na osi pionowej między pracodawcami i robotnikami zniknęła wraz z usunięciem pracodawców i uzależnieniem syndykatów od państwa. — Pozostała jednak walka na osi poziomej pomiędzy interesami zawodowymi (robotnicy i chłopci, przemysł środków wytwórczych i przemysł środków spożycia, etc.), chociaż nie wyraża się ona w sposób widoczny — pozostała też walka «pozioma» masy robotników z mniejszością rządzącą. Społeczeństwo «bezklasowe» typu sowieckiego nie usuwa konfliktów społecznych, lecz spycha je w podświadomość (refoule) metodami despotyzmu i przymusu.

W Związku Sowieckim utworzyła się znowu hierarchia społeczna, która jest równocześnie hierarchią w wydawaniu rozkazów, w wykonaniu funkcji technicznych i płacy. Owa potrójna hierarchia nie pokrywa się z sobą: tancerze i pisarze żyją na stopie bardzo wysokiej z tym, że nie mają żadnego wpływu w polityce. Niektórzy uczeni lub kierownicy trustów wykonują prace kierownicze, ale tylko dzięki swej kompetencji fachowej, — nie należąc do elity partyjnej i reżimowej. Na ogół wszakże te trzy zasady podziału hierarchicznego są szarmonizowane. Członkowie «Politbiura» sprawują równocześnie funkcje szefów głównych działów administracji państwowej. Pobierają pensje 30 lub 40 razy wyższe od niewykwalifikowanego robotnika, mieszkają w willach pełnych bogactwa i jeżdżą luksusowymi samochodami. W okresie braków żywnościowych otrzymują obfite racje dodatkowe. Nierówność, jakkolwiek oparta na innych podstawach, nie jest złagodzona w zestawieniu z krajami kapitalistycznymi (chodzi tu naturalnie o nierówność w zarobkach; nierówność kapitałowa jest mniejsza, ponieważ dochody przemysłowe nie przechodzą przez ręce jednostek).

Nierówność płac nie jest zasadniczo sprzeczna z doktryną socjalistyczną. Teoretycy owej doktryny rozróżniają okres budownictwa nowego ustroju, kiedy zarobki są proporcjonalne do wydajności w pracy oraz okres komunizmu, kiedy po nastaniu dobrobytu — będą one stosowały się do potrzeb ludzkich. Jeśli się usunie na bok wszelkie rozważania doktrynalne, to rzeczy-

¹⁾ Znikły tylko przesady i tradycje wznoszące bariery między grupami. Przżytki hierarchii arystokratycznej pozostałe w społeczeństwie burżuazyjnym są usunięte za jednym zamachem.

wiście zaakcentowanie nierówności płac jest zgodne z doświadczeniem w innych krajach i w innych ustrojach w okresach ubóstwa, kiedy wszystko jest podporządkowane dążeniu do zwiększenia wytwórczości. Ale w Sowietach do tej nierówności płac dołącza się zupełnie jawnie nierówność przywilejów, spożywanie przez klasę kierowniczą dużej części dochodu społecznego i to nie tyle dla zwiększenia ekspansji gospodarczej, ile przez samorzutny egoizm kastowy.

Zanim okrzyknijemy zdradę zasad lub zaprzeczmy faktem — zapytajmy, czy taka ewolucja nie była nieunikniona lub przynajmniej — nadzwyczaj prawdopodobna. W społeczeństwie demokratycznym XX-go stulecia, nawet w Stanach Zjednoczonych na ogół posiadacze środków produkcji sami nie sprawują wprost wysokich funkcji w administracji państwowej lub w życiu politycznym. Wywierają oni na urzędników lub ministrów pewien wpływ, różny w różnych okresach, — ale nie mianują sekretarzy syndykatów, ani członków Kongresu. Owe różne grupy są ze sobą w stałych stosunkach, równowaga sił między nimi jest zmienna, ulegająca ciągłym wahaniom, ale grupy same nigdy się ze sobą nie zlewają. Nawet, jeśli są one zgodne w sprawach istotnych, ich rywalizacja przy podziale zysków i władzy pozwala różnym grupom społecznym na zgłaszanie i obronę swych żądań. Natomiast społeczeństwo sowieckie przeciwnie odznacza się tym, że elita jest całkowicie zjednoczona i że zrobiono duży wysiłek, aby zmniejszyć, ile tylko można, różnicowanie się mas (la différenciation des masses).

Całkowite zespolenie elity było bezpośrednim wynikiem rewolucji 1917 r. Partia, niewielka liczebnie, opanowała państwo i bezlitośnie wyeliminowała dawne warstwy kierownicze oraz inne odłamy ruchu rewolucyjnego. Ona to wyszukała elementy nowej elity, uformowała je, dodała im kadry kierownicze; a tej elicie nadała taką samą jednolitość myśli i działania, jaką miało niegdyś kilkuset zawodowych rewolucjonistów, zgrupowanych wokół Lenina. Z partii do nowej elity, drogą rozwoju naturalnego, przeszedł duch ortodoksji i absolutnego posłuszeństwa. Zapewne, nowy reżim przez długi czas posługiwał się technikami, resztkami świata pochłoniętego przez falę rewolucji, i dziś jeszcze stawia na wysokich stanowiskach, ze względu na ich talenty, ludzi «bezpartyjnych», ale ci technicy, rozproszeni, nie stanowią żadnego czynnika fermentu i podziału. Poza to zniesienie własności prywatnej przenosi na kierowników państwa równocześnie całą władzę gospodarczą i polityczną. To «społeczeństwo bezklasowe» nie jest społeczeństwem bez władzy zwierzchniej, lecz jest poddane jednemu władcy: Państwu, które suwerennie ustala dochody wszystkich i każdego z osobna, a które decyduje o życiu i śmierci swych poddanych.

Wystarczy zresztą rzucić okiem na kraje bałkańskie, aby stwierdzić rysy charakterystyczne owych rewolucji, przygotowanych seryjnie. Najbardziej istotną rzeczą jest likwidacja dawnej struktury społecznej oraz utworzenie nowej elity. Tą ostat-

nią kierują w istocie zawodowi rewolucjoniści z partii komunistycznej z dodatkiem uczestników Ruchu Oporu, oportunistów, apolitycznych techników, szukających szczęścia, awanturników z dawnych klas społecznych oraz wczorajszych «kolaborantów», tym bardziej giętkich, im są łatwiejsi do «wykończenia». Wszyscy ci ludzie mają jeden rys wspólny: są całkowicie związani z nowym reżimem, albo dlatego, iż są mu oddani ciałem i duszą, albo dlatego, że ich życie jest w ciągłym niebezpieczeństwie. Reforma rolna usuwa ślady hierarchii tradycyjnej. Wszystkie przywileje są do dyspozycji elity rewolucyjnej. Warstwy ludowe, pozbawione swych zwyczajów i tradycji, stają się proletariatem, w łonie którego ustala się pewne różnice społeczne tylko po to, aby osiągnąć lepszą wydajność pracy.

Teoretycy prawa konstytucyjnego — odkąd roztrząsali problemy polityczne, stale podkreślali, że równowaga władz państwowych była warunkiem wolności ludzkiej. Ponieważ ludzie są tylko ludźmi, przeto oddawanie im władzy nieograniczonej jest poświęceniem praw jednostek. Owa teoria równowagi władz nie powinna stosować się wyłącznie do ciał konstytucyjnych, lecz rozciągać się na całość kształt stosunków wewnątrz społeczeństwa. Warstwa kierownicza na pewno nadużyje swego stanowiska, jeśli całkowicie zespolona — złączy w swych rękach absolutną władzę. Nadużyje zaś jej tym bardziej, im będzie miała spokojniejsze sumienie oraz im mniej będzie wierzyła w to, że społeczeństwo płaci zbyt drogo za usługi oddane mu przez przywódców, poświęcających się dla wypełnienia misji historycznej.

Czy ustrój oparty na własności zbiorowej i na kierownictwie centralnym pociąga za sobą, w sposób nieunikniony, ową unifikację elity? Niewątpliwie, można co do tego dyskutować. Można sobie wyobrazić, że pewnego dnia grupy syndykalne lub republiki związkowe sowieckie odzyskają część autonomii, że «wybory» staną się z powrotem wyborem pewnych osób, a przestaną być ceremonią aklamacji, że w następstwie tego masy z powrotem osiągną pewną kontrolę nad swymi szefami. Ale, jakkolwiek sąd można by sformułować co do przyszłych szans owej ewolucji, dwa fakty wydają mi się niezaprzeczalne: ekonomia typu sowieckiego prowadzi do ustroju monopartyjnego, a komuniści, tacy, jacy są, narzucają narodom despotyzm totalny.

Upaństwowienie gospodarki daje jako wynik bezpośredni i nieuchronny koncentrację władzy ekonomicznej i politycznej. Opór w stosunku do władzy absolutnej mógłby pochodzić tylko od przywódców mas lub administratorów. Ale pierwsi są «obłąskawieni», a funkcje drugich przechodzą na kierowników politycznych. Kolektywizacja życia gospodarczego pociąga więc za sobą w sposób nieuchronny przynajmniej w okresie początkowym — zespolenie się elity, co nie daje żadnych szans sprawie wolności człowieka. Zresztą, na razie nie trzeba wcale aż

analizować budowę elity po-rewolucyjnej, aby zrozumieć konieczność despotyzmu w społeczeństwie bezklasowym. Wystarczy tylko obserwować organizację i sposób działania partii, która zamierza stworzyć taką grupę społeczną. Partia komunistyczna podniosła eksperyment rosyjski do godności teorii. Myśli ona i to wyłącznie o objęciu władzy. Reszta, to znaczy przewrót społeczny — ma przyjść później.

Powie się być może, że partia komunistyczna posiada po prostu charakterystyczne cechy «kościół wojującego». Dopóki zwycięstwo nie jest zapewnione, wierni pozostają każdej chwili gotowi do bitwy i uzbrojeni. Porównanie takie, często przeprowadzane, zawiera pewną część prawdy. Ale teoria i praktyka partii bolszewickiej uczą nas czegoś więcej. Prawdopodobnie cechą oryginalną bolszewizmu stanowi odkrycie Lenina, że proletariatusam nie posiada świadomości swej misji, że bardziej mu zależy na związkach zawodowych, niż na socjalizmie, że stara się raczej o podniesienie swej stopy życiowej, niż o uwolnienie ludzkości od wszelkich więzów niewolniczych. Bolszewicy wyciągnęli stąd wniosek, że kadry partyjne winny składać się z zawodowych rewolucjonistów. Ci prowadziliby awangardę proletariatusa i usiłowałiby niszczyć wszystkie te organizacje robotnicze, które byłyby skłonne do współpracy i kompromisów z kapitalistami i które wskazywałyby inną, niż komunistyczną, drogę, wiodącą do socjalizmu.

Bolszewicy, rezygnując z idei spontanicznej ewolucji historii w kierunku socjalizmu — utrzymali pomimo tego i fatalizm wyniku końcowego (wskutek sprzeczności kapitalistycznych) i prawdę o powszechności tego wyniku (rewolucja proletariatusa jest końcem prehistorii i objawieniem prawdy dziejowej). Ale to nie sama reakcja mas wskazuje drogę w działaniu — lecz partia ma jako zadanie interpretowanie w każdej chwili koniunktury i dyktowanie decyzji, jedynie obowiązującej. Dają zaś komunistom tej interpretacji i decyzji autorytet tym bardziej stanowczy, że w istocie są one niepewne, gdyż nie można ściśle przewidzieć ani biegu życia gospodarczego, ani rozwoju polityki, ani ruchu cen, ani reakcji mas. Jak długo rewolucja zależała od nieuchronnej ewolucji zasadniczych sił istniejącego ustroju, partie socjalistyczne przyjmowały bez trudności istnienie różnorodnych tendencji w sprawach taktyki lub codziennej działalności. W rzeczywistości — rezerwowały one ortodoksję dla teorii o deterministycznym wyniku owej ewolucji.

Od chwili wszakże, gdy rewolucja staje się wypływem nie tamtego, nieuchronnego rozwoju wypadków, lecz działalności partii rewolucyjnej — owa działalność z kolei rzeczy musi przybrać charakter uświęcony, jak wszystko to, co ma związek z absolutną prawdą rzeczy ostatecznych. Partia, wiodąca masy do ataku, staje się tłumaczem prawdy historycznej, to jest absolutnej — szef zaś partii wznosi się do godności proroka, wykładowcy wiary religijnej, a opozycjoniści stają się heretykami kandydatami do piekła. Powtórzmy jeszcze raz: podobne objawy

są widoczne we wszelkich ruchach religijnych. Oryginalność bolszewizmu polega na zastosowaniu ducha prawowierności do działania, a nie tylko do doktryny.

Ponieważ zaś prawda, zależna od taktyki, ustawicznie się zmienia, przeto człowiek prawowierny wczoraj, staje się jutro heretykiem. Tylko wódz jest pewny, że nigdy nie grzeszy, albowiem on sam definiuje dobro. Odstępcy od bolszewizmu: trockiści — nie wyzwolili się z tego zaczarowania. Oni także uważają się za czynnik historii uniwersalnej, ich także powołaniem jest zaprzęgnięcie proletariatusa do wypełnienia jego misji ludzkiej; oni także muszą wskutek tego tolerować tylko jedną interpretację i jedną decyzję, muszą się dzielić, zwalczać i zająć, wzajemnie się wyklinać. Czy to w skali największego państwa na świecie, czy załosnej partii kilkuset wygnańców: intelektualistów i robotników — odnajduje się te same zasady, działa ten sam mechanizm.

Można postawić zarzut, że za czasów Lenina rzeczywistość inaczej wyglądała. Wewnątrz partii utrzymano demokrację. Przed rozpoczęciem akcji dyskutowano. Po powzięciu decyzji wszyscy ją uznawali, ale bez prześladowania lub denuncjacji opozycjonistów. Dyscyplina nie przekraczała ram, zapewniających skuteczność działania. Jest zupełną prawdą, że zastosowanie systemu zmieniło się od 30 lat, ale trzeba się zapytać, czy obecne stadium nie było już od początku przewidziane. Lenin wobec innych odłamów socjalistów był również bezwzględny, jak dzisiaj Stalin. Mówił, że kiedy bolszewicy są u władzy, miejsce mienszewików jest w więzieniu. Różnica polegałaby tylko na stosunkach wewnątrz partii. Przed 30 laty dyskutowano publicznie i otwarcie nad «linią generalną» partii i nawet Lenin niezawsze miał ostatnie słowo (np. w sprawie traktatu w Brześciu Litewskim). Istniała też między masami i partią ustawiczna wymiana poglądów: partia usiłowała odkryć głęboki i ukryty nurt, ich dążeń, aby je ujawnić, lecz nie dyktowała masom z góry linii postępowania, często niezrozumiałej.

Ale dla czegożby bolszewicy oszczędzali sobie samym tego traktowania, jakie stosowali wobec innych socjalistów? Mienszewicy lub rewolucyjni socjaliści nie zgadzali się na to, aby prawda historyczna była co chwila ogłaszana przez sztab bolszewicki¹⁾. Opozycjoniści wewnątrz ruchu bolszewickiego popełniają tę samą zbrodnię. Wpływ, prestiż i osobowość Lenina pozwoliły przez kilka lat na zachowanie pewnej wolności politycznej w dyskusji wśród kierowników partii. Kiedy Lenin umarł, nikt nie potrafił narzucić się na przywódcę ruchu za pomocą samej tylko swej indywidualności. Jeden człowiek mu-

¹⁾ Rozumie się, że spór między bolszewikami i mienszewikami dotyczył także spraw doktrynalnych. Np. w 1917 r. mienszewicy nie uważali za możliwą i przynoszącą dobre skutki rewolucję socjalistyczną w kraju nie uprzemysłowionym. Ale można przypomnieć, że rozłam nastąpił naprzód na tle spraw związanych z organizacją partii.

siał stanąć na czele ruchu przy pomocy brutalnej siły, to znacząco zapewniając sobie kontrolę nad partyjną biurokracją.

Wymiana poglądów między partią a masami była możliwa w okresie rewolucyjnym — gdy część proletariatu i partia były związane wspólnym postanowieniem zniszczenia «ancien régime'u». Gdy wszakże przyszło do budowy państwa socjalistycznego, jakżeżby masy mogły zgodzić się dobrowolnie na przymusowe oszczędności, na przyspieszenie tempa w uprzemysłowieniu kraju, na straszliwe ograniczenia i trudy? Trzeba je było zmusić do tego, aby ogłaszały, że cieszą się ze swego losu, ponieważ było niemożliwością przekonać ich swobodnie o ich «szczęśliwym życiu».

Technika obecna partii komunistycznej jest, jeśli się tak można wyrazić, w stadium ostatecznego udoskonalenia, ale logicznie wypływa ona z pewnego systemu myślowego i systemu działania, przyjętego od samego początku. Organizacja partii złożonej z zawodowych rewolucjonistów, słuchających swych przywódców jak żołnierze i oszukujących swych przeciwników sposobami policyjnymi (tworzenie własnych komórek w obcych organizacjach tzw. «noyautage», sabotaże itd.) — był to pierwszy i decydujący krok, wykonany przez odłam «leninowski» na początku XX-go wieku. Wyłączną troskę o skuteczność akcji, przekonanie, iż w stosunku do nie-bolszewików ma się prawo używać podstępów, obelg i kłamstwa — cechy zrozumiałe u rewolucyjnej sekty, słabej i mało znanej — odnajduje się dzisiaj w teorii i w praktyce, w postępowaniu partii komunistycznych na całym świecie oraz w stosunku Związku Sowieckiego do wszystkich innych krajów. Wreszcie zawilosci linii partyjnej łączą się z przymusowym uznaniem przez wszystkich «wiernych» w każdej chwili obowiązującej linii oficjalnej, choćby była ona najbardziej wykrzywiona; uświęcenie za pomocą absolutnej wartości celu ostatecznego stosuje się do wszystkich postanowień partii lub jej jedynych wykładawców wiary.

Owe trzy zasady: organizacji, moralności i metafizyki tkwią u podstawy wszystkiego. Pierwsza wyjaśnia, dlaczego partie komunistyczne ze spokojnym sumieniem odgrywają rolę «piątej kolumny» w służbie Związku Sowieckiego, dlaczego każdy bojowiec komunistyczny jest potencjalnie szpiegiem lub sabotażystą, zdrającą wobec własnej ojczyzny od chwili, gdy ta nie postępuje zgodnie z życzeniami dyplomacji Kremla. Druga zasada (moralności komunistycznej) tłumaczy, dlaczego obecna potęga Związku Sowieckiego pociąga za sobą ustawiczny stan wojenny, naprzód w życiu wewnętrznym narodów, później zaś między narodami. Trzecia zasada (metafizyki komunistycznej) wyjaśnia postępujące wyjątkowanie myśli i bezustanne «czystki», mieszanie serwilizmu i fanatyzmu obniżającą stale i degradującą inteligencję komunistyczną. Czy trzeba subtelnego rozumowania, aby wykazać, że tego rodzaju «wyzwolenie» przez

taką partię odczułaby stara Europa jako najgorszą formę niewolnictwa?

Wysiłek obrońców Związku Sowieckiego na Zachodzie Europy polegał od 20 lat na tłumaczeniu tego, co w reżimie sowieckim było nie do przyjęcia dla sumienia socjalistycznego — przez szczególne okoliczności, w jakich dokonywał się eksperyment sowiecki, a mianowicie przez pozostałości ustroju «świętej Rosji» i wrogość świata otaczającego.

Nikt nie przeczy faktom interwencji zagranicznych w czasie wojny domowej — zresztą szczególnie nieśmiałym i pełnym wąhań. Jeśli zwycięskie w 1918 r. demokracje stosowałyby politykę podobną do tej, jaką prowadziły Niemcy hitlerowskie i Włochy faszystowskie w Hiszpanii — to rewolucja rosyjska z 1917 r. nie mogłaby się utrwalić. Po r. 1921 kraje kapitalistyczne okazały przede wszystkim niezwykłą obojętność wobec «ojczyzny proletariatu». Ta ostatnia miała obsesję na punkcie «okrażenia kapitalistycznego». Tym niemniej pożyczala u kapitalistów maszyny, metody techniczne pracy i inżynierów, bez czego cała «budowa socjalistyczna» byłaby niemożliwa. Dopiero dojście do władzy Hitlera zagroziło naprawdę Związkowi Sowieckiemu; w tym samym stopniu zagroziło ono i demokracjom zachodnim. Jeśli zaś miały one prawdopodobnie zamiar odwrócenia napaści hitlerowskiej w kierunku wschodnim, Związek Sowiecki odczuwał chęć równie żywą zwrócenia tej agresji na zachód. W owej grze Sowiety okazały w końcu więcej zręczności. Tego rodzaju oddawanie sobie wzajemnej «niedźwiedziej przysługi» wskazuje tylko na odpowiedzialność, podzieloną między obie strony.

Przeszłość «świętej Rosji» poważnie zaciążyła na instytucjach «dyktatury proletariatu». Przy ubóstwie kraju nie dało się uniknąć podporządkowania trosk czysto ludzkich koniecznościom produkcji. Nierówność, niezliczone sposoby współzawodnictwa, ostrość dyscypliny złagodnieją być może wraz z podwyższeniem stopy życiowej i lepszym wychowaniem mas. Policja Stalina zapożyczyła prawdopodobnie wiele ze swych metod od policji carskiej.

Ale tego rodzaju argumenty, drogie dla ludzi dobrej woli, chcących, aby świat był inny, niż jest, nie dotyczą istoty rzeczy. Jak to już wykazaliśmy — sama budowa społeczeństwa bezklasowego czyni ogromnie prawdopodobną, jeśli nie nieuchronną — władzę despotyczną zunifikowanej elity. Technika działania przyjęta od początku przez partię komunistyczną i stopniowo wzmacniana w sensie autorytatywnym, stała się techniką działania rządu sowieckiego i źródłem «wojny na zimno» od chwili, gdy partia utożsamiała się z państwem rosyjskim i odkąd stało się ono jednym z dwu największych mocarstw światowych. Analiza pozwala na wykazanie bez trudu, do jakiego stopnia instytucje najbardziej odrażające, policja

polityczna, obozy przymusowej pracy, «czystka», procesy moskiewskie — są związane z samą istotą reżimu.

We wzorze sowieckim wydaje się rzeczka straszliwą nie tyle zniknięcie systemu parlamentarnego, którego zmierzch widać na całym świecie, ile raczej zniszczenie wszelkiego bezpieczeństwa osobistego. Za drobne przekroczenia lub nieświadome zboczenie z «linii» — każdy: robotnik, czy inżynier, bogaty czy biedny, pisarz czy urzędnik, ryzykują deportowanie na Syberię. Na pierwszy rzut oka występuje tu związek między systemem monopartii, który sam jest złączony ze «społeczeństwem bezklasowym» i z gospodarką kolektywną, a systemem państwa policyjnego. Monopartia typu faszystowskiego wytworzyła policję polityczną, sprytną i wszechwładną tak we Włoszech, jak też w Niemczech — jakkolwiek różnice w stopniu wpływów między policją włoską i niemiecką były znaczne. Gestapo i G.P.U. są to dla rządzącej monopartii konieczne narzędzia w działaniu. Nie ma tu żadnej przypadkowej zbieżności historycznej. Partia, która nie uznaje ani ograniczeń, ani kontroli — nie toleruje także opozycjonistów; ma ona dwa poważne powody takiej nietolerancji: naprzód uważa się za wyrazicielkę jednomyślną opinii narodu, opozycjonista zaś przez samo swe istnienie stanowi «dementi» takiej pretensji. «Państwo partyjne», państwo w rękach monopartii, które by dawało opozycjonście prawo do działania — przeczyłoby samo swej istocie. Ponadto opozycjonista nie posiada żadnych środków legalnego wyrażenia swoich poglądów, nie ma żadnych szans na zapewnienie zwycięstwa swym przekonaniom przy pomocy wymowy lub propagandy. Musi więc on albo się poddać albo uciec albo konspirować. W ustroju totalnym opozycjonista jest zawsze potencjalnym konspiratorem. Rządzący na podstawie logiki są skłonni uważać go z góry za takiego, a w każdym razie przypisywać mu ukryte myśli zamachów lub spisków. Przyznania się do winy oskarżonych w czasie osławionych procesów moskiewskich były po największej części fantastyczne, ale szły po linii jedynych możliwości, jakie się przed nimi otwierały. Opozycjonista staje się automatycznie zbrodniarzem w oczach kierowników państwa, jeśli musi rzeczywiście popełniać przestępstwa dla zwalczania władzy.

W myśl tej reguły Mussolini kazał uwięzić lub deportować tysiące Włochów, a Hitler dziesiątki tysięcy Niemców. Lecz w Rosji miliony ludzi przebywają w obozach koncentracyjnych. Czy chodzi tu tylko o różnicę w stopniu zaniepokojenia władzy, w wymaganii «prawomyślności», w działalności policji? Nie wierzę w to. W czasie wojny Hitler wydał miliony ludzi w ręce S.S. od chwili, gdy obozy koncentracyjne stały się zarazem obozami przymusowej pracy. W Rosji owe obozy stanowią jeden z czynników życia ekonomicznego.

Z tego tytułu wypełniają one dwie różne funkcje. Kolektywizacja gospodarki rujnuje system sankcji, za pomocą którego tradycyjny kapitalizm utrzymuje dyscyplinę wśród robotników

i selekcję wśród kierowników. Kierownicy przedsiębiorstw dysponują lub dysponowali w stosunku do swych robotników groźbą wydalenia. W czasach bezrobocia owa groźba ciążyła nad życiem proletariatu. W czasie, gdy brakuje rąk do pracy, gdy państwo interweniuje, dla ścisłego uregulowania sprawy przyjęcia do pracy lub zwolnienia z niej, groźba wydalenia traci większą część swej skuteczności. Toteż «opuszczenie dni pracy» (absentéisme) stanowi plagę w większości krajów, gdzie dyscyplina opiera się tylko na dobrowolnej zgodzie robotników.

Wszystkie te metody stają się nie do zastosowania w ustroju gospodarki kolektywnej. Ponieważ już z samej definicji musi istnieć stan całkowitego zatrudnienia ludności — groźba wydalenia już nie może działać; przeciwnie, taka groźba zadowalałaby potrzebę zmiany miejsca, zwalczaną przez władzę, w miarę ich sił, dla zapewnienia stałości stosunków. Od tej chwili reżim używa dla zwalczania spóźnień, zaniedbań lub nieusprawiedliwionych nieobecności — dwojakiego rodzaju sankcji: naprzód pozbawienie pewnej części zarobku, następnie zaś deportacji. Groźba obozu koncentracyjnego zastępuje groźbę wydalenia z pracy lub bezrobocia.

Kierownicy przedsiębiorstw i kadry (urzędnicy, majstrzy) są poddani w ustroju kapitalistycznym podwójnemu naciskowi: selekcji kadr dokonuje dyrekcja, administratorów zaś lub dyrektorów generalnych sędzi się na podstawie rozwoju przedsiębiorstwa. Jego bankructwo jest karą dla kierownika niekompetentnego lub nie mającego szczęścia. W ustroju kolektywnym przełożeni hierarchiczni w zasadzie są w stanie ocenić zasługi kierowników zakładów i wydajność ich pracy. Ponadto przywrócono przedsiębiorstwom niezależność finansową na tyle, że bilans wykazuje ich pomyślny rozwój lub upadek. Ale trudno rozłożyć należycie odpowiedzialność. Czy cyfry planu nie przydzieliły, być może, zadania niemożliwego do wykonania? Czy surowce nadeszły zgodnie z zamówieniami i terminami przewidzianymi?

Owe trudności w znacznej mierze tłumaczą, jaką rolę faktyczną spełniają «czystki». Społeczną funkcję «czystek» stanowi eliminacja ludzi nieudolnych w systemie, w którym dyrektorzy mają dążność do oskarżania się wzajemnego, a przełożeni do oskarżania podwładnych. Równocześnie ich funkcją psychologiczną jest przypisywanie wrogom państwa błędów popełnionych tu i ówdzie, przekształcanie niepowodzenia w sabotaż, nieudolności w konspirację. Można by określić, że obawa i niepewność polityczna zastępują obawę i niepewność gospodarczą, związane z liberalnym kapitalizmem. Łaska lub niełaska Kremla zastępuje pomyślną lub niepomyślną koniunkturę; są zaś one jeszcze trudniejsze do przewidzenia i tym groźniejsze, że gra tu się nie tylko o majątek, lecz także o życie.

Ponieważ nie ma mowy o tym, aby można było utracić czyjąkolwiek zdolność produkcyjną: robotników lub inżynierów — przeto obozy pracy przymusowej są po to stworzone, aby wchło-

nać owe możliwości produkcyjne i wyzyskać je na rzecz zbiorowości.

Równocześnie obozy zaspokajają pewną potrzebę prostszą, bardziej bezpośrednią i pilniejszą. Trudno jest uzyskać miliony robotników, koniecznych dla kopania kanałów, eksploatacji skarbow ziemi w okolicach podbiegunowych, wznoszenie fabryk na Syberii — przy samym tylko apelowaniu do ofiarności lub do współzawodnictwa socjalistycznego. Kierownictwo planowe siłą roboczą, integralną część «gospodarki kierowanej» — kończy się na systemie pracy pod przymusem. Robotnik ma iść wcale nie tam, gdzie by sobie życzył, lecz tam, dokąd go skieruje «Plan» i ci, którzy plan układają. Nie da się oddzielić wolności pracy od wolności rynku gospodarczego. Taka czy inna forma przenoszenia mas robotniczych jest konieczna; można wybierać między środkami: naciskiem ekonomicznym lub przymusem policyjnym.

Policia polityczna taka, jaka działa w Związku Sowieckim — jest osią zetknięcia się podstawowych instytucji systemu: monopartii, techniki dyscypliny społecznej i organizacji gospodarczej. Jak długo monopartia dąży do bezwarunkowego uznawania swej woli za jedyną legalność, jak długo żyje ona pod obsesją istnienia wrogów sprzysiężonych na jej zgubę, a ze szpiegostwa i donosicielstwa czyni podstawową cnotę uczciwego «bojowca partyjnego», jak długo podejrzliwość rozciąga się na wszystkich, na masę i uprzywilejowanych — tak długo ktoś może myśleć o ograniczeniu władzy N.K.W.D.? Jak długo władcy Kremla będą suwerennie decydowali o wysiłkach, do jakich zmusza się naród, jak długo stopa życiowa pozostanie niska, jak długo konieczności wynikłe z ustalonego z góry planu będą powodowały przesiedlenie milionów robotników do okolic słabo zaludnionych — dlaczego prorocy «nowego świata», przekonani o tym, że kształtują przyszłość — mieliby zrezygnować z wygody istnienia obozów pracy przymusowej? Bolszewicy ze spokojnym sumieniem przywłaszczyli sobie prawo narzucenia siłą swych poglądów na społeczeństwo napót nieświadomemu proletariatu, później opornym chłopom, naprzód narodowi rosyjskiemu, następnie zaś narodowi oddzielającym ich od Europy. Gdzież zatrzyma się tyrania elity, która nie wątpi ani o swej potędze ani o swej misji?

Z upoważnienia autora

tłumaczył T. K.

Tragedia kościoła greko-katolickiego w Polsce

WSTĘP.

Na pojęcie «kultura» składa się szereg czynników duchowych. Wolność wierzeń i przekonań religijnych oraz pełna swoboda praktyk religijnych — o ile nie są one sprzeczne z obyczajnością publiczną i obowiązującym prawem — stanowią czynnik podstawowy owej kultury.

Tolerancja religijna wiąże się zazwyczaj z demokratycznym ustrojem państwa i prawdziwą jego siłą wewnętrzną i zewnętrzną. Gdy duch fanatyzmu i prześladowań religijnych bierze górę jest to oznaką niezawodną osłabienia państwa, upadku życia wewnętrznego.

Związek Sowiecki, który zniszczył przez lat trzydzieści wszystkie organizacje kościelne na swoim terenie, zmuszony był dla wykrzesania pełni sił obronnych w czasie wojny z Niemcami, stworzyć pozory wolności religijnej w swoim państwie. Gdy wojna minęła, rozpoczął znów dawne prześladowania.

Przykładem jaskrawym jest próba likwidacji Kościoła greko-katolickiego na zabranych Polsce ziemiach południowo-wschodnich.

GROŹNE WIEŚCI.

Od połowy roku 1945 zaczęły napływać informacje, że okupacyjne władze sowieckie w Małopolsce Wschodniej przystąpiły do likwidacji Kościoła greko-katolickiego, jako jedynej pozostałości dawnej Unii kościelnej na terenie Rzeczypospolitej Polskiej.

W dn. 17 marca 1946 r. B.B.C. w Londynie podało następującą bałamutny komunikat:

«Radio Moskwa podaje dzisiaj, że Rada Kościoła greko-katolickiego w zachodnich okrugach Ukrainy wysłała ośrodkom do generalissimusa Stalina, iż odwołała Unię z Watykanem, ustanowioną w r. 1598 (sic!) i że powraca pod skrzydła starożytnego świętego rosyjskiego Kościoła prawosławnego. Postanowienie to powzięto we Lwowie w dn. 8 marca 1946. Kościół greko-katolicki ma większość wyznawców w tej części Ukrainy, która uprzednio była polską (!). Kościół

uznawał zwierzchnictwo Papieża, jednakże pod innymi względami nie trzymał się zasad Kościoła rzymsko-katolickiego (?). Za czasów carskich były pewne wysiłki ze strony Unitów, aby połączyć się z Kościołem prawosławnym (!!), jednakże régime carski wahał się z podjęciem skrajnych kroków z obawy, że może to wzmocnić wrogość chłopów polskich. Kościół unicki, oznajmiając swój powrót do prawosławia, wyraża wdzięczność Stalinowi za połączenie wszystkich ziem ukraińskich w jedną całość».

W dzienniku rosyjskim «Russkije Nowosti» Nr 47 z dn. 5 kwietnia 1946 ukazał się wywiad z Metropolitą Eulogiuszem, znanym rusyfikatorem Chełmszczyzny, jako «pierwszym zwia-
stunem prawosławia» na ziemiach Małopolski Wschodniej. Metropolita Eulogiusz z dumą przypomina, że on pierwszy podjął zadanie o charakterze misyjnym i że wtedy mówiono o nim w Dumie państwowej i w prasie liberalnej rosyjskiej, że krzewi prawosławie ogniem i mieczem. Metropolita Eulogiusz z rozczuleniem wspomina, iż w całej Galicji wschodniej ludność twierdziła, iż jest rosyjska, prosi o kapłanów rosyjskich i nie chce trwać nadal w «schizmie zachodniej».

Na rok 1945 — równocześnie z próbą likwidacji Unii kościelnej — przypa-
dło 350-lecie jej istnienia w Polsce. Papież Pius XII wydał 23 grudnia tegoż roku encyklikę «Orientales Omnes Ecclesias», w której zwraca uwagę całego świata na przesładowania Unitów pod okupacją sowiecką. Papież potępia Patriarchat moskiewski, z którego poduszczona akcja ta się odbywa i sławi historyczny fakt Unii brzeskiej, wyrażając głęboką wiarę, że nastaną jeszcze lepsze czasy dla Kościoła wschodniego, pozostającego w jedności kościelnej ze Stolicą Apostolską.

Gwałt, zadany Unitom w Małopolsce wschodniej, wywołał jeszcze kilka głosów. Niedługo po ukazaniu się Encykliki papieskiej zabrał publicznie głos Prefekt Kongregacji Wschodniej — kardynał Tisserant, stwierdzając, że polityka sowiecka na wschód od linii Curzona dąży do zniszczenia katolicyzmu, wyraźnie naruszając w ten sposób jedną z czterech wolności, głoszonych przez Prezydenta Roosevelta. Wobec tego — stwierdził kardynał Tisserant — że Rosja, poza jednym odłamem Cerkwi prawosławnej, nie uznaje innych Kościołów, praktycznie biorąc Kościół greko-katolicki musi zniknąć z powierzchni ziemi.

Niebawem też zabrał głos w tej sprawie prymas Anglii kardynał Griffin, mówiąc podczas kazania w Katedrze Westminsterskiej:

«Nawołujemy wszystkich, którzy uważają za świętość prawa człowieka i jego osobistą religijną i polityczną wolność, by przyłączyli się do naszego protestu przeciwko brutalnemu traktowaniu tych, którzy walczyli o wolność człowieka... Greko-katolicy Europy wschodniej byli i są ofiarami zaciętych prześladowań».

Biskupi greko-katolicy w Stanach Zjednoczonych i Kanadzie, reprezentujący kler unicki w liczbie 3.000 osób oraz setki

tysięcy wiernych w tych krajach, złożyli również wstrząsające oświadczenie o brutalnej likwidacji Kościoła greko-katolickiego w Polsce, żądając wysłania komisji międzynarodowej, która zbadałaby na miejscu wypadki tych wyjątkowych wprost prześladowań. Nic dziwnego — twierdzą ci biskupi unicy — że w tych warunkach wielu ludzi chroni się do lasów i przyłącza do rozmaitych organizacji podziemnych. Fakt, że w Małopolsce wschodniej agenci tajnej policji sowieckiej narzucani są ludności unickiej jako księża nowej religii, urągają zasadom Karty Atlantycznej, postulatowi wolności religijnej, leżącym u podstaw życia swobodnego narodów cywilizowanych.

Fakt stanowczej decyzji ze strony administracji sowieckiej zlikwidowania Kościoła greko-katolickiego w Polsce nie może ulegać najmniejszej wątpliwości, zwłaszcza jeżeli spojrzymy na te usiłowania na tle ogólnej i bardzo konsekwentnej polityki Moskwy wobec poszczególnych kościołów chrześcijańskich na przestrzeni ostatnich kilku lat.

POLITYKA KOŚCIELNA MOSKWY.

Sowieckiemu podbojowi Europy wschodniej i środkowej towarzyszy odrodzenie się tych haseł i zasad, na których dawna Rosja budowała swoją potęgę terytorialną od czasów Iwana Groźnego. Obok zasady «samodzierżawia» (jedynowładztwa) i jednej oraz jednolitej narodowości rosyjskiej, zasada oficjalnego prawosławia, jako posłusznego narzędzia rządu — oto program ustroju Rosji carskiej, który słusznie nazwał Jan Kucharzewski w swoim znakomitym dziele o Rosji «piramidą niewoli».

O ile dawna Cerkiew rosyjska usiłowała w okresie istnienia patriarchatu moskiewskiego (1589-1720) czynić mniej więcej samodzielne próby postępowania, o tyle po skasowaniu patriarchy, a w okresie rządzenia Cerkwią przez Synod świateobliwy, będący organem rządu, całkowicie zaprzęta się do polityki rządowej. Nawet okres rewolucji 1905-1906 nie przyniósł poważniejszych prób przywrócenia Cerkwi jej samodzielnej roli w życiu społeczno-religijnym.

Sobór ogólnorosyjski z r. 1918, choć odrestaurował ustrój patriarchalny, nie zdołał jednak utrwalić nowej organizacji i następny Sobór w r. 1923, zwany Czerwonym, dokonał tragicznego rozłamu w ustroju kościelnym. Obrany przed pięciu laty patriarcha Tichon został obalony, powstały wzajemnie zwalczające się i niezależne od siebie liczne odłamy cerkiewne, a polityka rządu bolszewickiego rozbijała do reszty organizm cerkiewny, biskupów zaś i duchowieństwo wyniszczyła w olbrzymiej większości przez liczne procesy polityczne i deportacje na wyspy Sołowieckie.

Jeden spośród hierarchów rosyjskich, ambitny samozwaniec metropolita Sergiusz (późniejszy, z okresu obecnej wojny, patriarcha moskiewski), utrzymał się przy władzy kościelnej przez

usunięcie prawnych zastępców czyli tzw. «strażników tronu patriarchalnego» i dokonał on w r. 1926 politycznej ugody z rządem sowieckim przez uznanie nowej władzy rosyjskiej.

Pozornie akt ten legalizował dotąd nieuznawany, a właściwy człon dawnej Cerkwi rosyjskiej w osobie metropolity Sergiusza. Jednak organizacja kościelna nadal nie istniała, bowiem rządząca Partia Komunistyczna najdrastyczniejszymi środkami wykorzystania religijny pogląd na świat oraz objawy życia religijnego, utrwalając gruntownie bezbożnictwo w całej Rosji Sowieckiej, jak długa i szeroka.

Trzeba było długich 18 lat, nowej wojny światowej i ogromu cierpień ludzkich i zniszczenia dorobku cywilizacyjnego, by powstały takie warunki, w których samozwańczy strażnik tronu patriarchy moskiewskiego mógł zasiąść na tym tronie po komedii wyborów, dokonanych przez Sobór biskupów (nie Sobór ogólnokrajowy, jak to nakazuje prawo kanoniczne), bez udziału duchowieństwa i wiernych w roku Pańskim 1944. Dla zwołania i skompletowania tego Soboru biskupów, jako cienia prawnego sposobu działania, należało w ostatniej chwili zwolnić z więzień i miejsce zesłania kilku biskupów prawosławnych. Po kilku miesiącach patriarcha Sergiusz umarł i miejsce jego zajął tym samym nieprawnym trybem działania (przez wybór dokonany tylko przez Sobór biskupów) metropolita leningradzki Aleksy, jako patriarcha moskiewski i Wszschrosji.

Pozornie restytuowany patriarchat moskiewski jest głową bez ciała. Jest najwyższą władzą cerkiewną w Rosji, bez organizmu kościelnego od dołu i bez «rządu nad duszami».

I taka właśnie Cerkiew staje obecnie do ścisłej współpracy z rządem sowieckim w jego imperialistycznej polityce w Europie i Azji i bodaj na całym świecie.

Niezależnie od tego czy Cerkiew rosyjska była współczynnikiem rządzenia w Rosji carskiej, czy też była prześladowana — jak do niedawna w Sowietach — zawsze dążeniem jej było poddanie swojej władzy kanonicznej innych prawosławnych organizmów kościelnych w różnych państwach i w różnych częściach świata. Ambitne zamierzenie stworzenia «III Rzymu» — centrum prawosławia w Moskwie dla całego świata, nie opuszczało nigdy Moskwy, jako siedziby centralnej prawosławnej Cerkwi rosyjskiej.

Najdobitniej odczuwał to na sobie Kościół prawosławny w Polsce od chwili swego powstania w dawnej Rzeczypospolitej i Wielkim Księstwie Litewskim, poprzez wieki aż do ostatnich czasów. Po krótkiej walce o istnienie niezależnych metropolii prawosławnych w Haliczu i Nowogródku w średniowieczu, a później w walce o zachowanie niezależności kościelnej od słynnego traktatu Grzymułowskiego z r. 1686, odstępującego Rosji Kijów wraz z siedzibą polskiej metropolii prawosławnej od końca wieku XVII i poprzez cały wiek XVIII ingerowała Rosja w sprawy wewnętrzne Rzeczypospolitej, a zagadnienie prawosławia polskiego (obok sprawy dyssydenckiej) uczyniła głównym

instrumentem swojej interwencji. Kanclerz Katarzyny II Panin zdecydował pod pozorem obrony prawosławnych i protestantów utworzyć w Polsce stronnictwo oddane na usługi Rosji. Prowadziło to już w prostej linii do rządów rosyjskich w Polsce, a niebawem też i do rozbiorów państwa. W ten sposób interwencja rosyjska w sprawy prawosławia polskiego stała się jednym z czynników rozbiorów Rzeczypospolitej.

Przez cały wiek XIX Cerkiew rosyjska w Polsce była narzędziem brutalnej rusyfikacji kraju. Proces rusyfikacji był jednak powolny z powodu odporności społeczeństwa polskiego. Nie pomogła likwidacja Unii kościelnej w r. 1839 na ziemiach litewsko-białoruskich i w r. 1875 na Chełmszczyźnie i Podlasiu. Nie pomogły prześladowania Kościoła katolickiego nawet przy metodach stałej deportacji biskupów, jak to się działo np. w Wilnie, gdzie, zaczynając od biskupa Kraszińskiego, poprzez biskupów Hryniewieckiego, Zwierowicza, Roppa i Michałkiewicza, aż do arcybiskupa Jałbrzykowskiego — wszyscy biskupi byli wywożeni na Sybir lub skazywani na wygnanie poza granice diecezji, czy zaboru rosyjskiego.

Cerkiew prawosławna polska przez dwudziestolecie odrodzonej państwowości polskiej (1918-1939) opierała się skutecznie zakusom Moskwy, zmierzającym do narzucenia zwierzchnictwa kanonicznego rosyjskiego, wykazując się prawnie uzyskaną autokefalią (niezależnością) w zakresie formalno-prawnym oraz znaczną teżyzną organizacyjną i samodzielnością w zakresie życia kościelnego. Nieszczęściem Kościoła prawosławnego w Polsce były spory i antagonizmy wewnętrzne na tle narodowościowym. Pomiędzy rosyjską z pochodzenia hierarchią kościelną i rzeszami wyznawców — Ukraińców, Białorusinów i częściowo Polaków — istniał antagonizm na tle języka w nabożeństwach i kazaniach oraz na tle obsady personalnej urzędów kościelnych. Hierarchia, cała prawie narodowościowo rosyjska, była nielada paradoksem wobec niecałych 100 tysięcy Rosjan na blisko 4 miliony prawosławnych w Polsce. To nienormalne zjawisko wytłumaczyć można sobie stosunkowo krótkim czasem, w jakim organizował się Kościół prawosławny w Polsce. Nieco dłuższy okres pozwoliby na normalne przygotowanie kadr kościelnych i hierarchii zgodnie z układem narodowościowym wiernych w samym Kościele.

To co uczynili Niemcy w czasie okupacji w Polsce przez rozbięcie organizacji cerkiewnej na 3 odrębne Kościoły: 2 ukraińskie i 1 białoruski, było akcją wyraźnie polityczną, obliczoną na jej politykę na Wschodzie w wojnie przeciwko Polsce i Rosji Sowieckiej. Był to jednak raczej szantaż polityczny, niż zamiar zrealizowania uczciwie pewnej koncepcji politycznej. Niestety, pozory zewnętrzne tej gry niemieckiej zwiodły Ukraińców w Polsce i częściowo w Ukrainie sowieckiej, a do życia religijnego i kościelnego akcja niemiecka wprowadziła demoralizację i chaos.

Wrz z przegraną wojną przez Niemcy, upadły projekty i

zamiary nieuczciwej gry. Na widownię wystąpiła polityka zwycięzców w tej części Europy, polityka rosyjska.

W polityce sowieckiej w Europie środkowo-wschodniej odróżnić należy dwa okresy: okres 1939-41, kiedy Rosja równoległe do Niemiec i w ścisłym z nimi porozumieniu realizowała cele zaborcze oraz okres 1944-45, kiedy po zwyciężeniu Niemiec w narzuconej sobie wojnie, Rosja zdecydowała utrwalić przewencyjne zdobycze pierwszego okresu i sięgnąć po znacznie ambitniejsze zadania — narzucenie swojej hegemonii całej Europie środkowo-wschodniej, od morza Bałtyckiego po morze Śródziemne i Adriatyckie z zapewnieniem sobie wylotów komunikacyjnych i politycznych na zatokę Perską i ocean Indyjski.

W okresie pierwszym — zaboru ziem wschodnich Polski i trzech państw bałtyckich oraz części Rumunii i Finlandii — Rosja reprezentowała w dziedzinie kościelnej ten sam program co Niemcy. Kiedy Niemcy tworzyli na terenach okupowanych Europy ośrodek ruchów kościelnych poddanych władzy kanonicznej arcybiskupa berlińskiego i metropolity Europy środkowo-wschodniej Serafina Laddego, Moskwa — przez metropolitę moskiewskiego Sergiusza narzucała swą władzę kanoniczną Kościołowi prawosławnemu na wschodnich ziemiach polskich, w państwach bałtyckich, Besarabii i Bukowinie oraz w części Finlandii. Ustanowienie egzarchy patriarchatu moskiewskiego dla kościołów prawosławnych tych państw, usuwanie prawowitych biskupów, nasyłanie oddanych sobie i wyświęcanie nowych, nieuznawanie niezależności dotąd istniejących w tych państwach kościołów prawosławnych — oto kolejne poczynania, włącznie do inkorporacji tych ziem do Związku sowieckiego, co znalazło swój wyraz nawet w konstytucji sowieckiej. Rządy rosyjskie zastosowały do poszczególnych kościołów te same metody polityczne i policyjne, co i do całego zajętego terenu, z tą tylko różnicą, że akty bezprawia były wykonywane nie tylko przez administrację i policję rosyjską (N.K.W.D.), lecz również i przez organy kościelne patriarchatu moskiewskiego.

Napaść niemiecka na Związek sowiecki w czerwcu 1941 r. zmienia radykalnie sytuację, a wielu spośród nastących biskupów z Rosji z zamordowanym później metropolitą państw bałtyckich Sergiuszem (nie mieszać z późniejszym patriarchą moskiewskim Sergiuszem), przechodzi na stronę niemiecką, wyrzekając się wspólnoty politycznej, a tym bardziej kościelnej z Moskwą i jej patriarchatem.

Wojna niemiecko-rosyjska niewątpliwie wzbudziła w Rosji wielkorosyjskie uczucia patriotyczne, a Cerkiew rosyjska zaprzęgała się do służby państwu, opierając na tym swoje nadzieje na ewentualne możliwości odrodzenia życia religijnego w Rosji.

Z chwilą zwycięstwa rosyjskiego nad Niemcami i reokupacji ziem nie tylko dawniej zajętych (nabytki terytorialne z lat 1939-1940), ale i okupacji prawie połowy Europy wraz z pań-

stwami bałkańskimi, Austrią i częścią Niemiec — Rosja rozwinęła przez patriarchat moskiewski gorączkową akcję na całym świecie, gdziekolwiek istnieją ośrodki prawosławne, a nawet i tam, gdzie ich nie ma, jak np. w Wielkiej Brytanii.

Rosja włączyła do patriarchatu moskiewskiego Kościoły prawosławne za tzw. linią Curzona, zręcznie kamuflującą linię Ribbentrop-Mołotow tak samo, jak Kościoły prawosławne państw bałtyckich, części Rumunii i części Finlandii. Sięgnęła następnie po dobra kościelne na Bliskim Wschodzie z Jeruzolimą na czele, upomniała się o zdjęcie anatemy z Kościoła prawosławnego w Bułgarii i odzyskanie przezeń swobody ruchów... w kierunku przyjaźni i bliższych stosunków kanonicznych z Moskwą, zagarnęła dla prawosławia Kościoły greko-katolickie na Rusi Zakarpackiej (powtórzenie w innym wydaniu zniszczenia Unii kościelnej w Polsce), ustanowiła «przyjazne stosunki» z patriarchami wschodnimi (Aleksandryjskim, Antiochijskim i Jerozolimskim), rozpoczęła przyjmowanie do patriarchatu moskiewskiego «zblakanych» pasterzy i owiec emigracyjnych z Paryża, Londynu, Berlina itp. z osławionym metropolitą Eulogiuszem na czele.

Macki swoje Cerkiew rosyjska zapuszcza coraz dalej. Z końcem 1945 r. metropolita Leningradu Grzegorz odwiedził Finlandię i zaproponował metropolicie fińskiemu Hermanowi powrót Cerkwi fińskiej do jurysdykcji patriarchatu moskiewskiego, a w styczniu 1946 r. ogłoszono w Pradze, że Cerkiew prawosławna w Czechosłowacji (nieliczna, bo 130 tysięcy wiernych licząca) przeszła z jurysdykcji patriarchy serbskiego do jurysdykcji patriarchy moskiewskiego. W lutym i marcu 1946 r. bawiła w Belgradzie delegacja Cerkwi rosyjskiej, na której czele stał metropolita Kirowogradu i Odessy, i niewątpliwie omawiała jak najbliższą współpracę obu Cerkwi pod warunkiem uznania prymatu Cerkwi moskiewskiej przez Cerkiew serbską. Sam patriarcha moskiewski oczekiwany był w Sofii na uroczystościach związanych z 1000-leciem śmierci Iwana z Relii, rumuński zaś metropolita Nikodem odbywał wizyty do Moskwy.

Bardzo ciekawym szczegółem jest realizowany przez patriarchat moskiewski plan powołania Instytutu religijnego w Jeruzolimie. Profesorami i słuchaczami tego Instytutu mają być orientaliści i adepci nauki orientalistycznej z różnych ośrodków uniwersyteckich w Sowietach. Szereg działaczy arabskich już twierdzi, że wszyscy wyznawcy Kościoła ortodoksyjnego na Środkowym Wschodzie zjednoczą się dokoła Związku sowieckiego i będą współdziałać z nim politycznie, jak to czynią już zresztą w zakresie organizacji kościelnej, poddanej kierownictwu patriarchy w Moskwie.

Ruchliwość Moskwy jest imponująca. Wykorzystuje ona nawet organizacje religijne, choć tępi w zasadzie religię i jej wewnętrzne instytucje. Obecnie na porządku dziennym jest zakrojona na wielką skalę akcja likwidacji Kościoła greko-katolickiego w Małopolsce wschodniej.

Przykłady te wystarczająco świadczą, jak równolegle do bezpośredniej akcji politycznej Sowietów, realizowanej drogą zabórów terytorialnych, dochodzi akcja równie polityczna, ale ubrana w formy religijne, stanowiąca jeden z głównych instrumentów polityki sowieckiej.

Ostatnio patriarcha Aleksy zainicjował w Moskwie zjazd wszystkich kościołów prawosławnych dla powzięcia decyzji, które zmierzać mają do uporządkowania spraw kościelnych po wojnie. Rozumieć to należy — do uznania jego, «patriarchy moskiewskiego i Wszechrusi», roli w życiu wszystkich Kościołów prawosławnych.

Patriarcha ekumeniczny czy konstantynopoliński (oba tytuły te mu przysługują) Maksymos odrzucił zaproszenie, stwierdzając, że tylko on ma prawo zwoływania takich zjazdów i przy okazji organ oficjalny patriarchy «Ecclesia» wypowiedział walkę komunizmowi i tym Cerkwiom słowiańskim z Moskwą na czele, które pozostają pod władzą sowiecką.

Patriarchat moskiewski zakwestionował w odpowiedzi swej prawa patriarchy konstantynopolińskiego do tradycyjnego i kanonicznego pierwszeństwa w świecie prawosławnym, ale zjazd moskiewski nie doszedł do skutku.

OWOCE UNII RELIGIJNEJ W POLSCE.

Unia Brzeska miała liczne i doniosłe skutki. Jej konsekwencje polityczne były raczej ujemne — prowadziły do walk religijnych, które w w. XVIII stały się przedmiotem obcych interwencji dyplomatycznych, a Rosja uczyniła z tego zagadnienia narzędzie mieszania się w wewnętrzne sprawy Polski.

Skutki kulturalne unii brzeskiej były w znacznej mierze dodatnie.

Nieuświadomione narodowo lub uśpione kulturalnie warstwy ludności ruskiej równane są wzwyż, a równocześnie kształtują swoją świadomość narodową w pojęciu wspólności i równości obywatelstwa w zuniowanej Rzeczypospolitej. Późniejsza resytycja Kościoła prawosławnego zastąpiła już większość społeczeństwa ruskiego wciągniętą w bliższe związki z państwem, poczuwającą się do wspólnoty państwowej i narodowej, narodowej oczywiście w sensie tradycji i zwyczajów Unii państwowej polsko-litewskiej.

Późniejsze dzieje Kościoła unickiego, nie zrównanego w życiu publicznym w prawach z Kościołem katolickim obrządku rzymskiego, wykazują obniżenie jego poziomu kulturalnego. Nierówne warunki upośledziły ten Kościół, a z jego wyznawców uczyniły też upośledzoną poniekąd warstwę społeczną, cofającą się w swoim rozwoju i wyznającą religię tzw. «chłopską», stanowiskiem swoim w państwie nie dorównującą społecznie i kulturalnie obrządkowi zachodniemu tegoż Kościoła katolickiego.

Stwierdzić jednak należy, że wśród wyznawców Kościoła unickiego, należącej etnicznie do białoruskiej masy chłopskiej,

dokonał się w okresie od rozbiorów Rzeczypospolitej do skasowania unii przez rząd rosyjski gwałtowny przełom, kiedy pod wpływem renesansu kultury polskiej w w. XIX na Litwie i Rusi oraz na skutek prześladowań rosyjskich, wyznawcy tego Kościoła przeżyli głęboki proces katolickiego i polskiego uświadomienia. Bohaterska postawa ludności unickiej na Chełmszczyźnie i Podlasiu przyćmiła może czyny oporu i wytrwania Unitów na innych ziemiach polskich, stwierdzenie jednak wierności tego ludu dla katolicyzmu i polskości obejmuje wszystkich Unitów.

Unicy, którzy dostali się po rozbiorach Rzeczypospolitej pod panowanie austriackie, nie zaznali martyrologii swoich braci spod zaboru rosyjskiego. W zaborze austriackim mieli oni znosne warunki istnienia, które wykorzystali w zakresie oświaty i silnego okrzepnięcia ich świadomości narodowej ukraińskiej.

Była to jedyna unia religijna w dziejach Kościoła, która jak dotąd, przetrwała lat 350, a dziś pada pod ciosami alianta państw anglosaskich — zwycięskiej w drugiej wojnie światowej Rosji Sowieckiej.

Należy jeszcze pokrótce spojrzeć na dzieje Kościoła unickiego w Polsce z wysokości zamierzeń i oceny Stolicy Apostolskiej.

Wspomniana Encyklika na 350-lecie Unii Kościoła ruskiego ze Stolicą Apostolską stwierdza na wstępie, że papież rzymscy z jak największą uwagą i życzliwością odnosili się zawsze do wszystkich Kościołów wschodnich, i że co ważniejsze, wierni obrządków wschodnich nie mają żadnego powodu do obaw, by wracając do jedności wiary, byli zmuszani do porzucenia swego obrządku i swych obyczajów. Po krótkim przedstawieniu historii powstania Unii brzeskiej, papież Pius XII omawia te trudności przez które przechodził Kościół unicki w dawnej Polsce i stwierdza, iż na skutek «chciwości niektórych magnatów, wrogości politycznej oraz zaniedbań w uprzednim przygotowaniu i wychowaniu kleru i ludności, nastąpiły ostre spory i długotrwałe klęski, tak, iż zdawało się często, że dzieło podjęte wśród jak najbardziej sprzyjających okoliczności, załamało się w sposób pożałowania godny». Uratowanie Unii zawdzięczać należy biskupom Pocijowi i Rutskiemu, których wysiłek zmierzał głównie w kierunku wychowania kapłanów i zakonników według wymogów prawa kościelnego i nauki teologicznej, ludu zaś — w cnotach i przykazaniach prawdziwej wiary. Wśród trudności, na jakie napotykała Unia, wymienia papież przede wszystkim stanowisko królów polskich.

«Najgorsze było — mówi Encyklika — że królowie polscy, którzy na początku byli uważani za opiekunów sprawy unijnej, później robili coraz większe ustępstwa wrogom jedności katolickiej, zmuszeni do tego naciskiem wrogów zewnętrznych i domowymi waśniami partii. To było powodem wytworzenia się takiej sytuacji dla dzieła unijnego, że, jak to wyznali sami biskupi ruscy, poparcia ono nie miało

znikąd, jak tylko ze strony papieży rzymskich, którzy Kościołem ruskim opiekowali się mocno i po ojcowsku...».

Istotnie, niedotrzymanie warunku przyjęcia biskupów unickich do Senatu upośledzało ich społecznie i tworzyło z nich jak gdyby biskupów gorszej klasy. Ale nie była to tylko wina króla, Sejmu i Senatu.

Encyklika papieska stwierdza, że wszystkim papieżom leżała na sercu obrona uprawnień i przywilejów hierarchii unickiej.

«Kiedy bowiem — mówi papież — dość liczni łacinnicy uważali obrządek ruski za последний i gdy nawet niektórzy biskupi łacińscy utrzymywali, że biskupi ruscy nie mają pełni praw i władzy biskupiej, lecz że są im podlegli — Stolica Apostolska odrzuciła te niesłuszne mniemania i dnia 28 września 1643 r. wydała dekret. Dekret ten wyszedł z kongregacji, zajmującej się specjalnie sprawami unickimi i postanawiał, że «ruscy biskupi unicy są rzeczywistymi biskupami i za takich należy ich uważać i takimi nazywać».

Stolica święta dekret ten zatwierdziła, jak również dekret tejże kongregacji postanawiający, że biskupi unicy korzystają wraz z duchowieństwem swoim z przywilejów: *tori, canonis, immunitatis i libertatis* — na równi z kapłanami obrządku łacińskiego.

Trzecią wreszcie trudnością była sprawa przechodzenia z obrządku greko-katolickiego, czy ruskiego jak wówczas mówiono, na obrządek łaciński — w tym zakresie Papież przypomina ustawodawstwo kościelne Stolicy Apostolskiej i szereg zarządzeń swoich poprzedników. Zakazują one przechodzenia duchownych na obrządek łaciński i daleko ograniczają możliwość przechodzenia świeckich na tenże obrządek.

Ku końcowi wieku XVII — stwierdza Encyklika — sprawa Unii wchodziła na tory dalszego rozkwitu z wielką korzyścią dla chrześcijaństwa. Wtedy to metropolita i biskupi Kościoła unickiego zebraли się na Synod w Zamościu w r. 1720, by naradzić się wspólnie nad sposobami zaspokojenia narastających potrzeb wyznawców wiary Chrystusowej. Uchwały tego Synodu, zatwierdzone konstytucją Papieża Benedykta XIII «*Apostolatus officium*» w dniu 19 lipca 1724 r., przyniosły społeczności ruskiej niemałe korzyści duchowe. Jak wiadomo, uchwały Synodu zamojskiego w pewnej mierze zlatynizowały obrządek ruski, co niejednokrotnie wywoływało zastrzeżenia ze strony zainteresowanych wyznawców. Toteż Encyklika papieska stwierdza w innym miejscu, iż «nikt jednak nie powinien dziwić się, jeśli ze względu na specjalne warunki Stolica Apostolska, pozostawiając ów obrządek nietkniętym w jego istocie, zgodziła się na wprowadzenie pewnych zmian pomniejszych, «lub je na pewien czas zatwierdziła».

Ze stwierdzeń Encykliki Papieża Piusa XII wynika jasno, jak głęboko na sercu leżała papieżom sprawa czystości obrządku wschodniego, dokoła którego, zwłaszcza w czasach późniejszych i nam współczesnych toczyły się zawsze spory. Jedni

uznawali, że skoro należą do Kościoła katolickiego to i obrzędy, w których wyznają wiarę, muszą być jak najbardziej zbliżone do obrządku rzymskiego. Inni uważali, że uniwersalizm Kościoła katolickiego polega na tym, iż mieszczą się w nim wszystkie obrządki, do wschodnio-słowiańskiego czy bizantyjskiego włącznie. Na tym tle powstała w Polsce paradoksalna sytuacja: metropolita Andrzej Szeptycki, szlachcic polski, przestrzegał czystości obrządku greko-katolickiego, z wyjątkiem może kwestii małżeństw duchownych. Wpływał on na to, by kler pozostawał w celibacie, wychodząc z założenia, że lepiej może wówczas się oddać służbie bożej. Tymczasem biskup Chomyszyn, Ukrainiec, był zwolennikiem latynizacji obrządku greko-katolickiego i z tego tytułu spotykały go nierzadko zarzuty ze strony własnego społeczeństwa ukraińskiego.

Powracając do Encykliki papieskiej na 350-lecie istnienia Kościoła greko-katolickiego w Polsce, to świadczy ona czym było przystąpienie do jedności kościelnej Kościoła wschodniego w Polsce w zakresie dobrodziejstw duchowych i kulturalnych, które spłynęły na społeczność ruską. To, że współczesne nam społeczeństwo ukraińskie należy do świata kultury zachodniej, i różni się od swoich pobratymców spoza wschodniej granicy państwa polskiego właśnie swoją przynależnością do świata zachodniego, jest w niemałej mierze dziełem unii brzeskiej.

KOŚCIÓŁ GREKO-KATOLICKI W POLSCE.

Jeszcze jedno zjawisko na marginesie życia Kościoła greko-katolickiego w Polsce godne jest uwagi. Oto ku końcowi w. XIX i w początkach w. XX odbył się wśród wyznawców tego Kościoła proces wykrystalizowania się świadomości narodowej ukraińskiej. Jest znaną rzeczą, że w procesie formowania się świadomości narodowej najmłodszych ruchów narodowych, jak litewski i białoruski, odegrali dużą rolę Polacy, rozkocharni w miejscowym obyczaju, mowie ludowej i folklorze. Tak samo w procesie ukraińskiego uświadomienia narodowego, który w dawnej Rzeczypospolitej znaczone był nazwiskami wybitnych hetmanów kozackich z niewątpliwym polonofilem Bohdanem Chmielnickim na czele, odegrał wielką rolę w czasach nam współczesnych polski szlachcic o zacięciu kosmopolitycznym Andrzej hr. Szeptycki, arcybiskup-metropolita lwowski. Miał on do pomocy wychowanych przez siebie kapłanów i do okrzepnięcia właśnie ukraińskiego ruchu narodowego, przyczynił się Kościół i ambona, bowiem młodzi działacze tych ruchów poświęcali się przeważnie stanowi kapłańskiemu i przez Kościół oddziaływali na swe otoczenie.

Andrzej Szeptycki przez czterdzieści kilka lat był dostojnikiem Kościoła greko-katolickiego, początkowo jako biskup stanisławowski, a później przez długie cztery lat dziesiątki, jako arcybiskup-metropolita lwowski. Metropolita Szeptycki reformował Kościół greko-katolicki, dążąc do nadania mu czystych

możliwie obrządków liturgicznych, wychowania możliwie bezżennego duchowieństwa, stworzenia silnego zakonu Bazylianów, którzy ujęli w swoje ręce naukę, oświatę i wychowanie. Długoletnim rządom metropolity Szeptyckiego Kościół greko-katolicki i społeczeństwo ukraińskie zawdzięczają bardzo wiele. Rozwój tego Kościoła i jego wyznawców, pomimo obowiązującego obrządku wschodniego, odbywał się w atmosferze kultury zachodniej. Stąd Ukraińcy z polskiej strony od granicy traktatu ryskiego należeli do świata kultury i cywilizacji zachodniej.

Na podstawie Konkordatu polskiego ze Stolicą Apostolską z r. 1925, Kościół greko-katolicki w Polsce stanowił samodzielną prowincję kościelną lwowską. Do prowincji kościelnej należało: arcybiskupstwo lwowskie oraz diecezje przemyska i stanisławowska. Cała prowincja kościelna liczyła 3.300.000 greko-katolików, 2.275 księży i 2.226 parafii.

Skład hierarchii był następujący:

- 1) Arcybiskupstwo lwowskie: arcybiskup metropolita A. Szeptycki, później — metropolita Ślipyj, dotychczasowy biskup koadiutor «cum iure successionis»; biskupi pomocniczy: ks. ks. Buczko i Butko.
- 2) Diecezja stanisławowska: biskup-ordynariusz ks. G. Chomyszyn, biskup pomocniczy ks. Latyszewski.
- 3) Diecezja przemyska: biskup-ordynariusz ks. Kocyłowski, biskup pomocniczy ks. Łakota.

Poza tę hierarchię greko-katolicką, urzędował w Polsce wizytator Stolicy Apostolskiej dla katolików obrządku wschodnio-słowiańskiego ks. biskup Czarnecki oraz istniała administracja apostolska dla greko-katolików na Łemkowszczyźnie w osobie ks. infułata Malinowskiego.

Prowincja kościelna lwowska obrządku greko-katolickiego miała szereg zakładów naukowych z Akademią Teologiczną na czele, a sprawny organizacyjnie zakon Bazylianów prowadził szeroką działalność kulturalną, oświatową, społeczną i charytatywną. Z katedry św. Jura całością kierował metropolita Szeptycki. O jego to 45-letnich rządach, z czego dwudziestoletnich w Polsce niepodległej, mówi Encyklika papieska:

«Nie możemy pominąć milczeniem wybitnej postaci metropolity Andrzeja Szeptyckiego, który przez swój niestrudzony, niemal 45-letni trud, dał dowód najwyższych zasług nie na jednym tylko polu i nie tylko w dziedzinie religijnej. Za czasów jego biskupich rządów powstało Towarzystwo Teologiczne, które dało duchowieństwu bodziec do starszego i głębszego studiowania nauki świętej; została założona Lwowska Akademia Kościelna, która zdolniejszej młodzieży męskiej dawała możność poświęcenia się na sposób uniwersytecki naukom filozoficznym, teologicznym i innym; rozwinęło się wszelkiego rodzaju piśmiennictwo w postaci książek, czasopism i traktatów, chwalone nawet zagranicą; pielegnowano piękną sztukę zgodnie z tradycjami i specjalnym geniuszem narodowym; pozakładano muzea i inne zbiory sztuk pięknych, pełne zabytków przeszłości;

utworzono wreszcie wcale liczne instytucje dobroczynne, niosące pomoc biednym i potrzebującym. Nie możemy również przemilczeć zasług, polegających na dużej i zbawiennej pracy stowarzyszeń pobożnych, męskich i kobiecych. Jako pierwsze wspomnieć tu chcemy klasztor Ojców Bazylianów i Siostr Bazyliank... Oprócz klasztorów bazylikańskich powstały nowe zgromadzenia zakonne mężów i niewiast, które rozwinęły niemniej chwalebna działalność... Powstały też liczne zgromadzenia zakonne świeckie, zajmujące się wychowaniem dziewcząt i pracą na polu miłosierdzia chrześcijańskiego».

Te słowa Encykliki papieskiej oddają w pełni obraz ruchliwej działalności Kościoła greko-katolickiego w Polsce i pozostają tylko zauważyć, że równie czynne i owocne było życie niższych komórek organizacyjnych Kościoła — parafii wraz z ich duszpasterzami. Obok życia kościelnego rozwijało się życie narodowe Ukraińców polskich, którzy posiadali własną, liczną reprezentację parlamentarną, bogatą prasę, rozgałęzioną sieć placówek spółdzielczych i handlowych, świadczących o dużym zmyśle gospodarczym i ekonomicznym społeczeństwa ukraińskiego w Polsce.

Dla ścisłości obrazu istnienia i położenia Kościoła katolickiego obrządku wschodniego w Polsce wymienić jeszcze należy parafie katolickie w obrządku wschodnio-słowiańskim czy bizantyjskim, podporządkowane jurysdykcyjnie ordynariuszom łacińskim, bowiem Konkordat polski nie przewidywał organizacji hierarchicznej i terytorialnej tego obrządku.

Geneza akcji misyjnej w tym obrządku jest bardzo ciekawa ze względu zarówno na długofalowość polityki watykańskiej w stosunku do prawosławia, jak i samego stosunku greko-katolików do tej akcji misyjnej. Jeżeli chodzi o to drugie — greko-katolicy nie mieli żadnej łączności z akcją obrządku wschodnio-słowiańskiego i do akcji tak pomyślanej wcale się zresztą nie nadawali. Kościół greko-katolicki był Kościołem narodowym ukraińskim. Tymczasem akcja obrządku wschodnio-słowiańskiego obliczona była na społeczność mniej skryształizowaną w zakresie narodowym.

W r. 1921, z inicjatywy biskupa podlaskiego ks. Przeździeckiego, Episkopat polski rozpoczął prowadzenie akcji misyjnej w obrządku wschodnio-słowiańskim na terenie ziem wschodnich, na Chełmszczyźnie i Podlasiu. Obrządek wschodnio-słowiański przejmował w całości obrzędowość Kościoła prawosławnego, co było obliczone na przekonanie prawosławnych, że uznając zwierzchnictwo papieża i wchodząc do Kościoła katolickiego, zachowują całkowicie drogą dla nich obrzędowość wschodnią, liturgikę bizantyjską.

Akcja w obrządku wschodnio-słowiańskim łączyła się ściśle z wielkimi zamiarami wobec prawosławia papieża Piusa XI, który zagadnieniu unijnemu i Kościołowi wschodniemu poświęcił bardzo wiele uwagi, wydając około trzystu dekretów, encyklik, instrukcji i listów w tej sprawie, oraz powołując specjalną «Komisję Pro Russia», uzależnioną bezpośrednio od

siebie z arcybiskupem d'Erigny na czele. Do kompetencji Komisji należeli przechodzący na katolicyzm prawosławni, niezależnie od ich narodowości, i byli oni wyjęci spod kompetencji Kongregacji dla Spraw Wschodniego Kościoła.

Akcja unijna w obrzędku wschodnio-słowiańskim na przestrzeni kilkunastu lat, aż do wybuchu drugiej wojny światowej, nie dała większych wyników. Pozyskanie około 20 parafii z nieznaną ilością wyznawców (około 30.000) oraz z klerem, nie stojącym na wysokim poziomie moralnym i intelektualnym, nie przysporzyło Kościołowi katolickiemu świadomych wyznawców, gdy tymczasem Kościół prawosławny pozabawił się elementu chwiejnego i niepewnego. Akcja ta w zasadzie chybiła celu, narobiła dużo rozgłosu i wprowadziła trochę zamętu w stosunki parafialne poszczególnych diecezji.

Akcja ta obrała fałszywą metodę stosowania ściśle wschodniego rytuału kościelnego, ściśle bizantyjskich obrzędów liturgicznych. Jeżeli chodzi o ludność terenów, na których akcja ta się rozwijała, ludność ta nie wspólnego z bizantyjskim rytuałem i rosyjskością właściwie nie miała. Należała ona do ortodoksyjnego Kościoła wschodniego, ale rosyjską z narodowości nie była.

Z chwilą odrodzenia się państwowości polskiej w r. 1918, ludność białoruska ziem wschodnich szybko wyzbywała się naleciałości rosyjskich i zgodnie ze swoją tradycją, jeszcze z okresu likwidacji Kościoła unickiego na tych ziemiach przez rząd rosyjski, niechętnie patrzyła na wszystko, co trąciło wschodem. Przechodząc na katolicyzm, ludność ta uważała, że zmiana wiary czy wyznania polega też na zmianie i obrzędów. W szczególności tę ludność raziło, że misjonarze w obrzędku wschodnio-słowiańskim przemawiali do niej w języku rosyjskim.

Akcja unijna w obrzędku wschodnio-słowiańskim czy bizantyjskim wywoływała znaczne zastrzeżenia nawet wśród duchowieństwa katolickiego. Tak np. ks. prałat Lubianiec, inspektor Seminarium duchownego w Wilnie, założył w Minojtach pod Lidą parafię misyjną, której zadaniem było nawracanie prawosławnych wprost na obrządek zachodni, łaciński. Akcja ta spotkała się z przychylnym zrozumieniem wśród białoruskiej ludności prawosławnej i ks. Lubianiec mógł się wykazać poważnymi wynikami swojej działalności.

Episkopat polski poświęcił dużo uwagi obrządkowi wschodnio-słowiańskiemu. Co roku z inicjatywy biskupa pińskiego, śp. ks. Zygmunta Łozińskiego, odbywały się w Pińsku «Konferencje Unijne», których plan został wydany w kilku pamiętnikach tych konferencji. Obradowano na tych konferencjach nad istotą i metodami akcji unijnej i usiłowano realizować potem w praktyce życia bieżącego wnioski, które wysnuto z tych obrad. Jak widzieliśmy z podanych powyżej cyfr — z bardzo małym skutkiem.

Na jednej z takich konferencji późniejszy metropolita śląski, a wówczas jeszcze rektor greko-katolickiej Akademii Teologicz-

nej we Lwowie, dowodził w swoim odczycie, że Kościół greko-katolicki w Polsce różni się aż stu odmianami liturgicznymi od właściwego obrządku wschodniego, którego zwolennikiem zdawał się być ks. Ślipyj. Dlatego właśnie Kościół greko-katolicki nie nadawał się do akcji misyjnej wobec prawosławnych, nie mówiąc już o jego wyjątkowym charakterze narodowym. Celem misyjnym, według inicjatorów akcji, miał służyć obrządek wschodnio-słowiański.

Wypadki czasu tej wojny wykazały, że Kościół greko-katolicki miał inne cele i ambicje. Te cele i ambicje nie obejmowały wszystkich prawosławnych, lecz tylko prawosławnych Ukraińców. Jest to rzeczą zupełnie zrozumiałą, skoro się weźmie pod uwagę, że jest to naródowy Kościół ukraiński.

Spółczesność ukraińska w Polsce w znacznej swej większości uznała, że z chwilą okupacji niemieckiej i śmiertelnej rozgrywki wojenno-politycznej pomiędzy Berlinem i Moskwą, nadszedł czas dla wznowienia idei oraz realizacji niepodległej Ukrainy. Społeczństwo to, znając srogi doświadczenia narodu ukraińskiego w państwie sowieckim, opowiedziało się w znacznej części za współpracą z Niemcami i dało się zwieść Niemcom w ich polityce tworzenia pozorów pseudoniezależności ukraińskiej, mającej prowadzić do przyszłej niepodległej Ukrainy.

Jak wiadomo, prawie 3/4 Ukraińców w Polsce stanowią greko-katolicy. Toteż powszechną uwagę zwróciło, że dn. 30. 12. 1941 metropolita Szeptycki wystąpił z listem pasterskim do wszystkich biskupów prawosławnych «na ziemiach ukraińskich». W liście tym metropolita Szeptycki stwierdza, że wśród sporów, dzielących Ukraińców, nie ostatnie miejsce zajmują sprawy religijne, gdy tymczasem jedność religijna może być potężnym czynnikiem w osiągnięciu jedności narodowej. Metropolita Szeptycki wzywa ukraińskich biskupów prawosławnych do rozważenia możliwości osiągnięcia jedności kościelnej w imię dobra narodu ukraińskiego.

Na tę ograniczoną inicjatywę unijną metropolity Szeptyckiego odpowiedział publicznym listem arcybiskup prawosławny krakowski Palladiusz stwierdzając, że od przeszło trzystu lat czekał już naród ukraiński na wezwanie do tej jedności. Arcybiskup wyraził nadzieję, iż przy dobrej woli ze stron obu — greko-katolickiej i prawosławnej — uda się usunąć rozłam, jaki powstał w końcu w. XVI, i będzie można powrócić do dawnej jedności religijnej Kościoła ruskiego. Ze stylizacji listu arcybiskupa Palladiusza wynika dość jasno, że ma on na myśli Kościół prawosławny w Rzeczypospolitej Polskiej przed powstaniem Unii brzeskiej w r. 1596.

Niebawem ukazał się drugi list pasterski metropolity Szeptyckiego, tym razem do inteligencji ukraińskiej, by współpracowała nad usunięciem trudności w osiągnięciu jedności religijnej. Równocześnie list ten stwierdzał, że sprawa jedności kościelnej pomiędzy obu kościołami jest rzeczą dalszej przy-

szłości. W tym drugim liście metropolita Szeptycki ujawniał podłoże całego zagadnienia oraz tej ograniczonej inicjatywy unijnej, oświadczając, że jako greko-katolik, a ponadto jako człowiek stary i schorowany, nie mógłby zostać metropolitą kijowskim, i że natomiast uzna chętnie — w warunkach jedności kościelnej — prymat przyszłego metropolity kijowskiego.

Ze stylizacji listu metropolity Szeptyckiego i arcybiskupa Palladiusza wynikało jasno, że istniała pomiędzy nimi kontrowersja zasadnicza: metropolita myślał o przystąpieniu Ukraińców prawosławnych do Kościoła greko-katolickiego, arcybiskup zaś sądził, że greko-katolicy Ukraińcy wejdą do Kościoła prawosławnego.

Ta inicjatywa unijna była czymś wyjątkowym w nienormalnych warunkach wojennych. Budowała ona w pewnej mierze na nieoczekiwanej okazji zwycięstw niemieckich i przejściowych okoliczności politycznych, podłożem jej było zagadnienie wybitnie polityczne, narodowościowe i celem ostatecznym nie tyle unia religijna, ile niepodległa Ukraina.

Kiedy niebawem odwróciły się losy wojny, przekreślając to wszystko, co było związane z rachubami na zwycięstwo niemieckie, inicjatywa unijna — jeśli wolno tak nazwać w danym wypadku po prostu zastosowany gwałt — wyszła ze strony nowych i ostatecznych zwycięzców. Inicjatywa ta nie wychodziła z założeń misyjno-religijnych, czy doktrynalno-wyznaniowych. Inicjatywa ta była wybitnie polityczna i zrodzona na gruncie imperializmu rosyjskiego. Przyświecała jej myśl zlikwidowania katolicyzmu na rzecz oficjalnej Cerkwi rosyjskiej, a przede wszystkim zmierzająca do zniszczenia dążeń niepodległościowych inteligencji ukraińskiej.

PRÓBY LIKWIDACJI KOŚCIOŁA GREKO-KATOLICKIEGO PRZEZ RZĄD SOWIECKI.

1. Akcja przygotowawcza.

W czasie tej wojny radio i prasa sowiecka atakowały osobę Papieża Piusa XII, zarzucając mu politykę proniemiecką i pro-włoską. Odkąd Cerkiew rosyjska rozpoczęła bliską współpracę z rządem sowieckim, również i jej przedstawiciele przyłączyli się do tego ataku.

Obecny patriarcha moskiewski Aleksy również zakwestionował instytucję Biskupa rzymskiego i traktował go jako jednego z licznych zwierzchników kościelnych licznych związków religijnych. W tymże liście «pasterskim» patriarcha Aleksy wzywał greko-katolików w Małopolsce wschodniej, po dokonanym zaborze tej części Polski przez Rosję Sowiecką, do połączenia się z Cerkwią moskiewską i przede wszystkim do wyrzeczenia się zwierzchnictwa Stolicy Apostolskiej. Wezwanie to patriarcha Aleksy ubrał w znaną frazeologię propagandy sowieckiej, mówiącej o konieczności połączenia się w jeden orga-

nizm narodowy — ukraiński i jeden organizm kościelny — prawosławny.

W kwietniu 1945 wydał on list pasterski do greko-katolików, w którym m. in. pisał:

«Od czasów odwiecznych byliście związani z Rosją i jej narodem przez język i obyczaje waszych przodków. Teraz Opatrzność Boska przywróciła Rosji jej dawne granice (?). Odtąd jesteście z nami na zawsze... Niestety, nie możemy odmawiać z wami wspólnej modlitwy. W okresie gdy byliście oderwani od ziem rosyjskich, przodkowie wasi zostali również oderwani od swej matki Kościoła prawosławnego i pod obcym wpływem wasi przodkowie, i wy, ich potomkowie, przyjęliście kierownictwo duchowe papieża rzymskiego i przyłączyliście się do dogmatów katolickich, które poniżają pierwotną czystość prawosławia greckiego».

Nawiązując do celów Hitlera podboju świata, patriarcha Aleksy mówił:

«...Do czego was wzywał metropolita Szeptycki i jego kontratry? Wzywali was, ażeby się poddać pod jarzmo Hitlera i głowy przed nim skłonić. Dokąd obecnie prowadzi was Watykan przez orędzia papieskie z Bożego Narodzenia i Nowego Roku? Do współpracy z poplecznikami faszyzmu i do upakarzającej uległości wobec Hitlera, największego kładaka, jakiego kiedykolwiek widziała historia świata... Zaklinam was, bracia moi, abyście podtrzymali jedność ducha z jednością pokoju. Rozerwijcie więzy, które was wiążą z Watykanem. Swymi zwykłymi sposobami prowadzi on was w ciemność i ruinę duchową. W tej chwili pragnie, abyście się odwrócili od całego świata, uzbrajając was przeciwko ludziom miłującym wolność. Pospieszcie powrócić w ramiona waszej matki — rosyjskiej Cerkwi prawosławnej».

W ślad za tym wezwaniem patriarchy Aleksego do odstępstwa greko-katolików od Kościoła, rozpoczęła się w terenie akcja poszukiwania kandydatów na odstępców. Równoległe do tej akcji władze sowieckie próbowały innych metod: perswazji i nakłaniania. Tak więc w listopadzie 1944 r. na zaproszenie władz sowieckich jeździła do Moskwy delegacja greko-katolickiego duchowieństwa z przeorem Klemensem Szeptyckim na czele. Moskwa zażądała wówczas od tej delegacji szczerzej współpracy Kościoła greko-katolickiego z władzami państwowymi. Gdy Kościół z tą współpracą nie śpieszył, nastąpiło wezwanie do Kijowa i do Moskwy metropolity Ślipyja i biskupa Chomyszyna. Tam żądano od nich przejścia na prawosławie wraz z całym Kościołem greko-katolickim. Bezskutecznie jednak.

Po odmowie wspomnianych dostojników kościelnych, władze sowieckie znalazły spośród duchowieństwa greko-katolickiego trzech odstępców od Kościoła. Temu triumwiratowi zlecono przeprowadzenie apostazji Kościoła, świadczą o tym dokument z dn. 28 maja 1945 r., adresowany do duchowieństwa greko-katolickiego w zachodniej Ukrainie. Dokument ten podpisał ks. dr H. Kostelnyk, ks. M. Melnyk i ks. A. Pelwecki. W odezwie tej ci trzech księży greko-katolicy, pochodzący z trzech die-

cezi: lwowskiej, przemyskiej i stanisławowskiej, pisali m. in.:

«Jest to oczywistym faktem historycznym, że Unia kościelna w dawnej Polsce została wykoncipowana i wprowadzona przez Polaków dla ich własnych celów. W dawnej Polsce Unia stała się najbardziej wydajnym i potężnym orężem dla rozkładania narodów ukraińskiego i białoruskiego i dla ich latynizacji i polonizacji. I gdyby nie było Rosji, która widząc nasz upadek w Polsce, zwołała nas spod panowania polskiego, naród nasz przestałby już istnieć przed «wiosną ludów» w w. XIX, ponieważ zostałby całkowicie spolonizowany. W w. XIX nasz Kościół unicki stopniowo otrząsnął się z polskiej dominacji duchowej; w ten sposób przyczynił się on do odrodzenia narodowego naszego ludu... W Polsce współczesnej (1920-1939) kontynuowaliśmy walkę, w miarę naszych sił, o nasze ideały narodowe. Równocześnie Polska starała się nasz naród polonizować i z tego powodu zerwaliśmy na terenie kościelnym nasze kontakty z Polakami. W ten sposób nasza unia nie stała się «unia mająca za cel reunie», ale faktycznie odłączyliśmy się od miejscowego Kościoła katolickiego. A ponieważ odgradziliśmy się jednocześnie od naszych braci prawosławnych na terenie kościelnym jak gdyby murem chińskim — nasz Kościół greko-katolicki stał się skostniały i znalazł się izolowany od wszystkich... Ażeby związać silnie nasz Kościół ze sobą, Rzym wprowadził celibat kleru pomimo sprzeciwu zarówno z jego strony, jak i ze strony laików. Polska prześladowała w dalszym ciągu prawosławie, nadużywając jednocześnie przywilejów, przyznanych w prawdziwej unii».

W dalszym ciągu ten list otwarty do duchowieństwa greko-katolickiego wspominał o zabieraniu kościołów przez rząd, o nowej unii w postaci obrządku wschodnio-słowiańskiego, od której kler greko-katolicki został wyłączony. «Celibat łamał — twierdzili apostaci — strukturę Kościoła i skazywał go na wymarcie». Unia, według autorów listu, jest historyczną pozostawnością, bo Ukraińcy są związani od wieków z prawosławiem.

«Jakżeż wtedy mógł — twierdzą ci apostaci — nasz Kościół unicki rozwijać się w tych nowych warunkach, znajdując się w orbicie świata prawosławnego, jeżeli ten, jako rezultat doświadczeń dziejowych utworzył przysłowie, które powiada, że największymi wrogami Rusi są Rzym i Krym, innymi słowy, Polska katolicka i Tatarzy? Unia nasza, która okazała się w Polsce współczesnej bez wartości dla kogokolwiek, nas samych włączając; stała się, jeżeli chodzi o przyszość, anachronizmem historycznym».

I tu następuje oficjalna zapowiedź próby likwidacji Kościoła greko-katolickiego.

«Dostojni ojcowie, informujemy was niniejszym, że za zgodą władz państwowych został utworzony Komitet Inicjatywy, mający na celu ponowne połączenie Kościoła greko-katolickiego z Kościołem prawosławnym... Celem Komitetu jest pomóc naszemu Kościołowi w wyjściu z chaosu bezsilny, w której się obecnie znajduje. Władze państwowe uznają tylko poczynania podjęte przez Komitet Inicjatywy, a nie uznają żadnej innej administracji greko-katolickiego Kościoła. Rozumie się samo przez się, że nasz Komitet Inicjaty-

wy stoi i będzie stał zdecydowanie na platformie szczerego patriotyzmu w stosunku do ukraińskiej S.S.R. i Związku Sowieckiego jako całości, ponieważ jest to podyktowane zdrowym rozsądkiem serca ukraińskiego. Wzywamy przewielebnych dziekanów ażeby zwołać kler w celu przedyskutowania tego poważnego zagadnienia i przeczytania im tego listu. Nasi zwolennicy spośród księży muszą jak najżybciej, i to we własnym interesie, stać się członkami Komitetu Inicjatywy, ponieważ będą potrzebowali naszych zaświadczeń. Diakoni mogą również stać się członkami Komitetu Inicjatywy i muszą mieć zaświadczenia od proboszczów swoich parafii, że są rzeczywistymi diakonami. Na skutek trudności komunikacyjnych, mogą księża wypełniać lokalne, zbiorowe deklaracje na piśmie, że należą do Komitetu Inicjatywy. Jeden z nich powinien dostarczyć te deklaracje do kancelarii Komitetu Inicjatywy. Celem pokrycia kosztów kancelaryjnych, jak również na fundusz wydawania książek, księża członkowie Komitetu Inicjatywy dokonywują jednorazowej składki w sumie 50 karbowaniców, diakoni 10 karbowaniców».

Ta odezwa kierowników Komitetu Inicjatywy połączenia Kościoła greko-katolickiego z Kościołem prawosławnym rosyjskim nasuwa od razu pytanie, co się stało z właściwymi kierownikami Kościoła greko-katolickiego — z metropolitą i biskupami? Zwłaszcza, że wymieniona odezwa stwierdza, iż jej autorzy są odtąd ustanowioną, za zgodą władz sowieckich (nie Watykanu, jak w dziejach Kościoła!) administracją kościelną. Przed kwietniem 1945 r., jak już wiemy, biskupi unicy byli nakłaniani do apostazji. Gdy wręcz odmówili, dn. 11 kwietnia zostali aresztowani i wywiezieni: metropolita Ślipyj, biskup Chomyszyn, biskup Łatyszewski, biskup Butka i wizytator apostolski biskup Czarnecki. Stąd rzeczą jest zrozumiałą, że przeszkody zostały usunięte i Komitet Inicjatywy mógł rozpocząć swoją działalność. Jedyny biskup spośród hierarchii unickiej został, do czasu, na wolności — był nim biskup Kocyłowski, ordynariusz diecezji przemyskiej, której część, zgodnie z nową granicą polsko-sowiecką, znalazła się po stronie polskiej. Ale i biskup Kocyłowski uległ losowi innych biskupów, bowiem po roku blisko został w brutalny sposób wywieziony do Rosji po aresztowaniu go w granicach rzekomo niepodległej i rzekomo suwerennej Polski.

Komitet Inicjatywy stał się panem położenia, mając poparcie najwyższych władz sowieckich.

W Komitecie Inicjatywy najważniejszą osobą jest oczywiście ks. dr prof. Kostelnyk. Warto tu nadmienić, że ten do niedawna profesor greko-katolickiej Akademii Teologicznej we Lwowie niedawno jak w r. 1936 był zaciętym zwolennikiem przynależności wszystkich Kościołów wschodnich do powszechnego Kościoła katolickiego i niejednokrotnie domagał się usunięcia zmięzmy i zjednoczenia wschodniej Cerkwi z Kościołem zachodnim pod zwierzchnictwem Stolicy Apostolskiej. Jest faktem ustalonym, że zmiana w jego poglądach nastąpiła w okresie, kiedy został zaaresztowany przez władze sowieckie (w latach 1939-1941), a po uwolnieniu z więzienia sowieckiego nie tylko pu-

blicznie zaczął głosić wręcz odwrotne poglądy, które znalazły swój wyraz w późniejszej jego działalności, lecz stał się pierwszym i naczelnym apostatą w Kościele katolickim w czasach współczesnych.

Powstaniu Komitetu Inicjatywy towarzyszyły tragiczne okoliczności: odbywały się deportacje księży i ludności ukraińskiej, przy czym władze sowieckie postępowały we właściwy sobie sposób. Rodziny były rozdzielane: mężów i ojców wywożono w jedne okolice Sybiru, a matki i żony w inne okolice w głąb Rosji. Dzieci oddawano do komunistycznych ochron. Ci, którzy zdołali uratować się przed deportacją i aresztowaniem, przyłączyli się w wielu wypadkach do partyzantów i żyją w lasach. Inni zbiegli ze swej ojczyzny i przebywają jako wygnańcy we Włoszech, Francji i innych krajach, jeżeli w myśl tajnych układów w Teheranie i Jałcie nie zostali przymusowo repatriowani pod rządami rosyjskimi w krajach anektowanych.

Równocześnie z odezwą Komitetu Inicjatywy do duchowieństwa greko-katolickiego, tegoż dnia 28 maja 1945 r. dr Kostelnik i jego koledzy zwrócili się z petycją do Rady Komisarzy Ludowych ukraińskiej S.S.R. W dokumencie tym pisali oni m. in. oklepane już i znane z poprzednich ich występow publicznych fałszerstwa historyczne, polityczne i teologiczne.

Autorzy petycji do ukraińskiego rządu stwierdzają cynicznie, że naród ukraiński czekał na wypadki i zamieszki światowe w celu wyzwolenia się spod rządów polskich.

«Skąd mogliśmy czerpać nadzieję? Nie ukrywamy... naród nasz w Galicji, związany przez intelektualne prądy i ruchy z Europą zachodnią, odżywał się ideami, zrodzonymi na zachodzie. Co więcej, naród nasz nie byłby inaczej zdolny do oparcia się agresji hipernacjonalizmu polskiego... Nie mogliśmy pokładać nadziei w Z.S.R.R., ponieważ obawialiśmy się jego rewolucyjnego ateizmu, byliśmy całkowicie obcy socjalizmowi, i co więcej, nie mieliśmy zaufania do dokonanego przez Związek Sowiecki rozwiązania problemu narodowościowego. Ale mądrość tego rozwiązania stała się widoczną w walce tych narodowości w szeregach Z.S.R.R. Te sowieckie narody faktycznie nie byłyby zdolne do maszerowania jako jeden naród i do przetrzymania tyłu poświeceń i ofiar dla swego kraju, gdyby nie były zadowolone z dokonanego rozwiązania problemu narodowościowego. Przyznajemy, że pod koniec okupacji niemieckiej nie mieliśmy nic, poza jedną, jedyną myślą: obawa bez nadziei. Popelniliśmy błąd, oceniając źle rzeczywistość sowiecką i prawdziwą misję Z.S.R.R. Pod kierownictwem swego pierwszego marszałka, niezrównanego Stalina, odważna i cudowna armia sowiecka okryła się nieśmiertelną chwałą... wyzwoliła Europę... i zbawiła wszystkie narody słowiańskie od zguby... Odwieczne marzenia Ukrainy zostały zrealizowane: wszystkie ziemie ukraińskie zostały ponownie złączone z macierzą, Wielka Ukraina powstała w braterskim związku z Moskwą i wszystkimi narodami sowieckimi; posiada już całkowite bezpieczeństwo i wszelkie możliwości najświetniejszego rozwoju. Marszałek Stalin wejdzie do historii na wieki jako mąż, który połączył ziemie ukraińskie. Wszyscy Ukraińcy zachodni dziękują mu najserdeczniej, chociaż nigdy nie będziemy mogli wystarczająco spłacić rządowi sowieckiemu

naszego moralnego długu... My podpisani pozostajemy na zawsze związani z określoną tu pozycją, której powagę rozumiemy i zawsze takimi pozostaniemy bez zastrzeżeń. Mamy pełne zaufanie do rządu sowieckiego. Chcemy pracować dla dobra naszej prawosławnej ojczyzny(!), ponieważ, skoro rząd sowiecki uczynił tyle ofiar aby nas wyzwolić, to czyż odmówi nam czegokolwiek, abyśmy mogli żyć?...».

W dalszym ciągu autorzy petycji stwierdzają, że Kościół unicki jest anachronizmem i powinien się znaleźć w Kościele narodowym bez cudzych wpływów, tj. w Kościele prawosławnym. Idea ta w części kół greko-katolickich była rozważana i tylko biskupi nie byli zdolni do zajęcia zdrowego stanowiska ani wobec sytuacji politycznej ani aktualnego położenia Kościoła. Wypadki historyczne przeszły ponad ich głowami i znaleźliśmy się sami na tonącym okręcie bez sternika. W Kościele zapanowała anarchia i dopiero Komitet Inicjatywy zdecydował się wyprowadzić Kościół z tego położenia i utrwalić go w wierze prawosławnej. Inicjatywę tę autorzy odezwę chcieliby mieć zatwierdzoną przez czynniki państwowe. Jak mówią oni «psychologia religii jest bardzo delikatnej natury i nie można pomyśleć o natychmiastowym przetworzeniu Kościoła unickiego w Kościół prawosławny. Potrzebny jest czas ażeby zachować honor duchownych, przekonać i wychować kler, spacyfikować i wychować wiernych itd.». Komitet Inicjatywy, który co dzień pozyskuje zwolenników w trzech diecezjach, chciałby rozpocząć rejestrację swych członków i rozpocząć publikację książek, napisanych pod panowaniem polskim. Na ogół chciałby podjąć kroki dla upewnienia się, czy nie będzie walki, ponieważ w tego rodzaju pracy walka utrudnia tę pracę. Komitet Inicjatywy chciałby podjąć kroki dla upewnienia się czy nie będzie żadnych opornych w terenie. Działalność Komitetu — wywodzą wciąż apostaci — musi być realizowana w zgodzie z władzami publicznymi i władzami Kościoła prawosławnego Wszechrosji, ponieważ jest to jedyna droga postępowania, mogąca doprowadzić nas do końca. Petycja kończy się prośbą o zatwierdzenie Komitetu Inicjatywy przez władze sowieckie i wyrażenie zgody na proponowaną akcję.

W międzyczasie i w oczekiwaniu na odpowiedź władz sowieckich — zresztą z góry uzgodnioną — Komitet Inicjatywy usiłował pozyskać nowych członków. Ku powszechnemu zdumieniu znalazł aż 42 duchownych, którzy dobrowolnie przystąpili do akcji odstępowania od Kościoła katolickiego. Odmawiających udziału w tej akcji władze sowieckie aresztowały tak, iż liczba opornych i aresztowanych księży wyniosła w początkach akcji od 300 do 500 osób. Dnia 18 czerwca 1945 r. nastąpiła odpowiedź ukraińskiego rządu na petycję apostatów.

«W odpowiedzi na deklarację waszą z 28 maja 1945 r. i zgodnie z instrukcją Rady Komisarzy Ludowych U.S.R.R. komunikuję:

1. Komitet Inicjatywy połączenia Kościoła greko-katolickiego z rosyjskim Kościołem prawosławnym jest oficjalnie

uznany jako jedyne kościelne i kanoniczne ciało, mające prawo kontroli bez ograniczeń parafii greko-katolickich w zachodniej Ukrainie i popierania ich połączenia się z Kościołem prawosławnym;

2. Tenże Komitet ma prawo do zarządzania tymi parafiami w porozumieniu z przedstawicielem Rady Komisarzy dla spraw rosyjskiego Kościoła prawosławnego przy Radzie Komisarzy Ludowych ukraińskiej Republiki i jeżeli tego będzie potrzeba — w miejscowych okręgach w zgodzie z lokalnymi przedstawicielami władzy;

3. W miarę jak postępować będzie rejestracja greko-katolickich dekanatów, parafii i domów religijnych, powinien Komitet Inicjatywy przesłać przedstawicielowi wspomnianej wyżej Rady wykaz dziekanatów, kleru i przełożonych domów religijnych, którzy odmawiają poddania się Komitetowi Inicjatywy).

To końcowe postanowienie wywołało w konsekwencji nowe i liczne areszty wśród duchowieństwa, bowiem cały szereg księży odmówił udziału w akcji odstępowania od Kościoła katolickiego. Był to okres największego nasilenia prześladowań. Kilkuset księży i zakonników zostało aresztowanych i deportowanych do Rosji, zakon Bazylianów utracił wszystkie swoje instytucje i posiadłości, szkoły greko-katolickie zostały zamknięte, a własność Kościoła skonfiskowana. Do jakiego nasilenia doszły prześladowania świadczy nienotowany pod rządami sowieckimi fakt zwrócenia się, z odwagą i poświęceniem, kilku wybitnych duchownych z petycją do Komisarza Spraw Zagranicznych Rosji Sowieckiej, Mołotowa, w dn. 1 lipca 1945 r. Petycja ta była wynikiem zgromadzenia księży w kościele św. Jura. Petycja ta miała następujące brzmienie:

«Na skutek zaarrestowania całego Episkopatu i wielkiej ilości księży greko-katolickich zachodniej Ukrainy i w konsekwencji zakazu, uniemożliwiającego jakikolwiek zarząd przez nas własny kler — Kościół nasz znalazł się w bardzo anormalnej sytuacji. Sytuacja ta została skomplikowana jeszcze bardziej przez fakt, że we Lwowie został utworzony Komitet Inicjatywy».

Petycja przytacza znane nam z działalności Komitetu fakty i stwierdza dalej:

«My, duchowni Kościoła greko-katolickiego nie odpowiadamy tutaj na historyczne niedokładności, zawarte w tym (Komitetu Inicjatywy) apelu; odpowiednie fakty są znane wszystkim. W obecnym liście życzymy sobie tylko podać do wiadomości nasze stanowisko wobec Z.S.R.R. i przedłożyć naszą prośbę rządowi. Prosimy rząd żeby przyjął przede wszystkim do wiadomości, że wyznajemy i mamy zamiar wyznawać najczystszy patriotyzm do ukraińskiej S.S.R. i do Związku Sowieckiego oraz mamy zamiar wykonać sumiennie wszystkie nasze obowiązki wobec państwa. Nie chcemy w żadnym wypadku angażować się w jakakolwiek działalność natury politycznej, lecz chcemy się poświęcić całkowicie pracy nad uratowaniem naszych dusz i dusz naszego narodu. Wierzymy, że jest to praca, którą możemy najużyteczniej wypełnić dla dobrobytu nie tylko Kościoła, ale również i państwa. Nasze stanowisko wobec inicjatywy

dr Kostelnyka jest całkowicie negatywne. Potępiamy jego działalność jako szkodliwą i całkowicie przeciwstawną tradycjom Kościoła i sprzeczną z prawdą, wypowiedzianą przez Chrystusa: «Będzie tylko jedna trzoda i będzie tylko jeden pasterz». Z tego powodu jest oczywiste, że nie możemy słuchać głosu, który wzywa nas do apostazji od wiary. Sytuacja, jaka się obecnie wytworzyła, może bardzo szybko doprowadzić do jednej z tych wojen religijnych, które, jak wskazuje historia, przynoszą straty nie tylko Kościołowi, ale również całemu narodowi. Z tego powodu prosimy nasz rząd ażeby zwolnił naszych biskupów z metropolita na czele. I prosimy rząd nasz, ażeby w trakcie oczekiwania na ich uwolnienie udzielił nam prawa regulowania wszystkich zagadnień w zakresie życia naszego Kościoła greko-katolickiego. Prosimy dalej ażeby, aż do zwolnienia metropolity i biskupów, legalna kanonicznie organizacja mogła administrować prowincją kościelną Lwów-Galicja. Chcemy wierzyć, że rząd przyjmie naszą prośbę przychylnie i przyjdzie nam z pomocą ile że konstytucja stalinowska gwarantuje wszystkim obywatelom Z.S.R.R., nas włączając, wolność sumienia i praktyk religijnych. Dlatego w imię sprawiedliwości, w imię sławnego zwycięstwa Z.S.R.R., prosimy dla siebie i dla naszego narodu w Ukrainie zachodniej o tę wolność administracji kościelnej, którą cieszyliśmy się w ostatnich stuleciach i do której zgodnie z ustawodawstwem sowieckim mamy prawo».

Petycję tę podpisało ośmiu wybitniejszych księży z wyższej hierarchii kościelnej, działając w imieniu wszystkich zgromadzonych księży w katedrze św. Jura w dn. 1 lipca 1945 r. Odpowiedzią rządu sowieckiego było zarządzenie dalszych aresztowań zarówno podpisanych w petycji księży, jak i ich zwolenników.

2. Akt likwidacji Kościoła.

Nacisk władz sowieckich w kierunku likwidacji Kościoła greko-katolickiego, nacisk od góry za pośrednictwem Komitetu Inicjatywy był bardzo silny. Cerkiew rosyjska, jako narzędzie działania rządu sowieckiego, dołożyła wszelkich starań, aby akcja likwidacyjna odbyła się jak najszybciej. Dnia 4 grudnia 1945 r. egzarcha całej Ukrainy oraz metropolita kijowski i halicki Joan wydał list pasterski do wyznawców greko-katolickiej Cerkwi, dowodząc, że jedynie prawdziwym i prawowitym Kościołem powszechnym jest tylko Kościół prawosławny. Metropolita nawołuje wszystkich greko-katolików do zerwania Unii z Watykanem i do przejścia na łono rosyjskiej Cerkwi prawosławnej. Stwierdza on, że imiona przywódców Komitetu Inicjatywy, księży Kostelnyka, Melnyka i Pelweckiego przejdą do historii, jako głosiciele powszechnej prawdy i Chrystusowej wiary. Akcja stwarzania faktów dokonanych, symulowania zgody i bałamucenia ludności znalazła swój wyraz najwyższy w czasie święta Jordanu w dniu 6 (19) stycznia 1946 r. we Lwowie. To tradycyjne święto kościelne zostało zainscenizowane przez apostatów greko-katolickich wspólnie z duchowieństwem prawosławnym. Wspólny udział w tym święcie przedstawiciele du-

chowieństwa obu wyznań: greko-katolickiego i prawosławnego miał wykażać, że zjednoczenie greko-katolików z prawosławnymi odbywa się drogą pokojową.

Już w lutym 1946 r. Komitet Inicjatywy złożył wizytę metropolicie kijowskiemu i omówił z nim plan szczegółowej likwidacji Kościoła greko-katolickiego. W końcu tegoż miesiąca przybyła do Kijowa pierwsza grupa greko-katolickich księży, w liczbie około 13, dla dokonania obrzędu przejścia na prawosławie. W liczbie tych księży znajdował się triumwirat, przewodniczący Komitetowi Inicjatywy. W niezwykle uroczystej formie odbyło się w przyspieszonym tempie wyświęcenie na mnichów, a następnie na biskupów prawosławnych ks. Pelweckiego dla diecezji stanisławowskiej i ks. Melnyka dla diecezji samborsko-drohobyckiej. Ks. dr Kostelnyk, pomimo iż grał czołową rolę w akcie odstępstwa, otrzymał tylko tytuł protoprezbytra.

Uroczystości kijowskie rozpoczęły właściwy akt likwidacji Unii kościelnej. W dniach 8—9 marca 1946 r. zebrał się we Lwowie Sobór greko-katolicki z prawosławnymi już przewodnikami Komitetu Inicjatywy na czele. Na Sobór przybyło 216 osób, z czego 204 księży i 12 świeckich wyznawców. Doniesienia ze źródeł sowieckich stwierdzały, że ci delegaci reprezentowali wolę 986 księży. Ze stwierdzenia tego wynika, że delegaci ci — część z nich była wybrana w dekanatach, a część wyznaczona przez Komitet Inicjatywy — reprezentują wolę około tysiąca ludzi, postanowili zlikwidować Kościół greko-katolicki, licząc blisko trzy i pół miliona wyznawców.

Na pierwszym posiedzeniu Soboru obecni byli również, w charakterze gości, biskupi prawosławni lwowski i tarnopolski Makary oraz munkaczewski i użhorodzki Nestor w towarzystwie kierownika kancelarii egzarchy kijowskiego, kanonika Rużyckiego. Ks. dr Kostelnyk w znany już nam i właściwy sobie sposób uzasadniał odstępstwo od Kościoła katolickiego. Po szeregu wystąpień innych delegatów, ks. Kostelnyk zaproponował zredagowanie podstawowych tez, wynikających z wygłoszonych referatów. Tezy te zostały ujęte w następujące punkty:

1. Zlikwidować Unię z 1596 r.,
2. Odtączyć się od Rzymu,
3. Powrócić do prawosławnej wiary praoojców,
4. Przyłączyć się ponownie do rosyjskiej Cerkwi prawosławnej.

(Tezy te zostały oczywiście przyjęte.)

Dnia 9 marca w katedrze św. Jura odbyła się uroczystość kościelna, podczas której 204 delegatów duchownych, przybyłych na Sobór lwowski, przystąpiło do prawosławia. Tegoż dnia została powzięta uchwała zasadnicza, której mocą, w posęgu inicjatorów Soboru, został zlikwidowany Kościół greko-katolicki w Polsce. Uchwała ta stwierdza:

1. Rzym sztucznie odpadł w XI stuleciu od pierwotnej Cerkwi prawosławnej w celu narzucenia swojej dyktatury

całemu Kościołowi; Unia kościelna była narzucona naszemu narodowi w XVI w. przez szlachecką rzymsko-katolicką Polskę, jako most prowadzący do polonizacji i latynizacji ukraińskiego i białoruskiego narodu; w obecnej naszej sytuacji, kiedy dzięki bohaterskim wysiłkom i sławnemu zwycięstwu Związku Sowieckiego wszystkie ziemie ukraińskie zostały zjednoczone i naród ukraiński został gospodarzem na swoich ziemiach, byłoby rzeczą niemądrą utrzymywać na przyszłość unickie tendencje i byłoby niewybaczalnym grzechem kontynuowanie bratobójczej walki, której przyczyną zawsze była i będzie unia kościelna. Wychodząc z tych założeń Sobór zdecydował odwołać decyzję brzeskiego Soboru 1596 r., zlikwidować Unię, oderwać się od Rzymu i powrócić do rosyjskiej Cerkwi prawosławnej.

2. Po decyzji połączenia się z rosyjską Cerkwią prawosławną Sobór uważa za konieczne zwrócić się do patriarchy moskiewskiego i Wszechrosji Aleksego z prośbą o przyjęcie greko-katolików do Cerkwi prawosławnej i o podanie swoich decyzji do wiadomości rządu sowieckiego.

3. Biorąc pod uwagę, że papież rzymscy zawsze prowadził samolubną politykę, Sobór wypowiada przekonanie, że w warunkach, kiedy narody milujące wolność, walczyły o swoje istnienie, Watykan był w całości po stronie krwawego faszystwu i występował przeciwko Związkowi Sowieckiemu, który wyzwolił nasz naród ukraiński z niewoli i zjednoczył wszystkie nasze ziemie w jedno wolne mocarstwo, a przez to samo uwolnił nas od ucisku narodowego i religijnego. Sobór w imieniu całego duchowieństwa i wiernych wyraża swoje głębokie podziękowanie meżom stanu Związku Sowieckiego i państwu ukraińskiemu w stosunku do których wszystkie narody Związku wykazały swoje zaufanie podczas wyborów do Rady Najwyższej Z.S.R.R.

4. W związku z powrotem do św. Cerkwi prawosławnej Sobór zdecydował wysłać depezę do patriarchy carogrodzkiego, patriarchy moskiewskiego i metropolity kijowskiego, jak również opracować od imienia Soboru wezwanie do całego duchowieństwa i wiernych Kościoła unickiego z wezwaniem powrotu do wiary swoich przodków.

Sam przebieg Soboru, jak i powzięte uchwały dostatecznie jasno wykazują cele polityczne inicjatorów Soboru. Depesza do Stalina całkowicie jasno charakteryzuje sukces, jaki udzielił Sobór lwowski imperialistycznej polityce Moskwy.

«Szcześliwi jesteśmy prosząc pana, wodza wielkiego Związku Sowieckiego, o przyjęcie naszego oświadczenia i naszej radości, że odtąd nic nie będzie dzieliło naszego zjednoczonego narodu ukraińskiego. W tym historycznym, epokowym momencie nie możemy nie wypowiedzieć panu uczuć największej wdzięczności za pana wielkie dzieło — zjednoczenie ziem ukraińskich, bowiem bez tego nie można byłoby nawet marzyć o likwidacji naszego cerkiewno-religijnego rozłamu».

Odezwa do duchowieństwa i wiernych Kościoła greko-katolickiego nie zawiera żadnych nowych argumentów natury teologicznej, historycznej i politycznej.

Dnia 4 kwietnia 1946 r. przybyła do Moskwy delegacja Soboru lwowskiego w składzie: ks. Kostelnyk, biskup Pelwecki,

biskup. Melnyk oraz ks. ks. Juryk i Łotoczyński, powitana w sposób uroczysty na lotnisku przez przedstawicieli Rady do spraw rosyjskiej Cerkwi prawosławnej. Następnego dnia delegacja była przyjęta przez patriarchę Aleksęgo, po czym odbył się szereg uroczystości kościelnych i świeckich. Rzecz znamieną, że delegacja była podejmowana jedynie przez przedstawiciela Rady do spraw rosyjskiej Cerkwi prawosławnej, natomiast Stalin nie przyjął tej delegacji i żadne przyjęcie na Kremlu nie miało miejsca.

Podczas pobytu w Moskwie, delegacja Soboru udzieliła wywiadu przedstawicielowi Tassa (urzędowa agencja sowiecka) na temat całości spraw, związanych z przejściem Kościoła greko-katolickiego na łono rosyjskiej Cerkwi prawosławnej. W wywiadzie tym ks. Kostelnyk i jego koledzy stwierdzili, że Sobór lwowski położył krew wielowiekowym ciężkim przeżyciom Cerkwi wschodniej pod jarzmem rzymskim, położył kres cerkiewnym sporom w narodzie ukraińskim i że obecnie nastąpił czas, kiedy «łączy nas i wiara, i historia, i dusza, i język, a równocześnie nie ma niczego takiego, co by mogło nas rozdzielać». W dalszym ciągu ks. Kostelnyk wyjaśnił, że Kościół greko-katolicki posiadał trzy diecezje: lwowską, stanisławowską i drohobycko-samborską (ta ostatnia nowoutworzona po przeprowadzeniu tzw. nowej granicy polsko-sowieckiej, bowiem część diecezji przemyskiej została po stronie polskiej). W tych trzech diecezjach istniały 102 dekanaty. Do powstałego Komitetu Inicjatywy przyłączyło się w drodze osobistych deklaracji 997 księży, co w stosunku do 1270 księży, istniejących w całym Kościele greko-katolickim zachodnich okręgów Ukrainy, stanowi 78%. Na Sobór przybyło 216 delegatów ze wszystkich dekanatów. W większości dekanatów delegat od duchowieństwa był wybrany na zebraniach duchownych, a w całym szeregu innych dekanatów, gdzie zebrania duchownych nie odbyły się, delegat został wyznaczony przez dziekana albo przez Komitet Inicjatywy. Niezależnie od tego, z niektórych dekanatów przybyli z własnej inicjatywy i inni duchowni, którzy zostali dopuszczeni na Sobór jako delegaci. Ks. Kostelnyk zapewnia, że Komitet Inicjatywy zaprosił na Sobór również i przeciwników połączenia się z Kościołem prawosławnym rosyjskim, jednak nikt z nich nie przybył, bowiem wiedzieli, że olbrzymią większość duchowieństwa składa się ze zwolenników połączenia się z prawosławiem.

W tym ustępie wywiadu zwraca uwagę fakt dopuszczenia do obrad Soboru z prawem głosu zarówno przybyłych księży z własnej inicjatywy, jak i wyznaczonych przez dziekanów lub Komitet Inicjatywy, a nie wybranych przez zgromadzenia duchownych w terenie. Również i statystyka ks. Kostelnyka wymaga sprostowań. Encyklika Papieska stwierdza, że Kościół greko-katolicki w Polsce liczył 2.275 księży. Rozbieżność w twierdzeniu ks. Kostelnyka wynosi cyfrę ponad tysiąc duchownych. Stąd wypływa wniosek jasny, że tych ponad tysiąc du-

chownych znalazło się w więzieniach sowieckich, lub na zesłanie w głąb Rosji. Tak samo jest wątpliwe czy cyfra 997 księży odpowiada prawdzie, skoro nie we wszystkich dekanatach odbyły się wybory delegatów i nie wszyscy delegaci mieli upoważnienie od duchowieństwa. Wprawdzie po stronie nowej granicy polskiej została część diecezji przemyskiej, ale skoro zostali aresztowani jej kierownicy w osobach biskupa ordynariusza i biskupa pomocniczego, to wnosić należy, że wytepieno też i poszczególne księży, aby pozbawić Kościół organizacji, a wiernych — życia religijnego. Za rzecz pewną więc uznać należy, że do prawosławia przystąpiło tylko 204 delegatów duchownych, przybyłych na Sobór lwowski, a ponadto 13 duchownych przyjętych do prawosławia w lutym 1946 r. w Kijowie. Na 2.275 ogółu księży — 217 księży stanowi tylko niecałe 10%!

Przedstawiciel Tassa zainteresował się również wiadomościami zagranicznej prasy o dokonywanych aresztach wśród duchowieństwa greko-katolickiego. Odpowiedź ks. Kostelnyka oczywiście, była przecząca. Nadmieniał on, że w kwietniu 1945 r. byli rzeczywiście aresztowani metropolita Ślipyj oraz biskupi: Czarnecki, Būtka, Chomyszyn i Latyszewski. Nie dodał tylko, że później jeszcze zostali aresztowani biskupi Kocytowski i Łakota — czyli cała hierarchia Kościoła greko-katolickiego w Polsce. Ks. Kostelnyk łaskawie dodał, że również zostało aresztowanych kilkunastu księży, lecz jak wynika z doniesienia «Lwowskiej Prawdy» z dn. 1 marca 1946 r. wymienione osoby były aresztowane jako obywatele Z.S.R.R. za «aktywną i zdraziecką działalność na rzecz niemieckich okupantów i akt oskarżenia został przekazany do trybunału wojennego».

Na zapytanie, jak zostały przyjęte decyzje Soboru przez duchowieństwo i wiernych, nastąpiła odpowiedź, że prawosławna świadomość nigdy nie była utracona przez Ukraińców — greko-katolików i że oni zawsze wykorzystywali wszystkie historyczne okazje do powrotu do wiary prawosławnej. Świadczyć ma o tym przejście greko-katolików na prawosławie w latach 1914-1915, jak również ruch prawosławny na Łemkowszczyźnie w latach 1925-1939. Ponadto ks. Kostelnyk podkreślił, że powstanie Unii, zamykanie i niszczenie cerkwi prawosławnych, przymusowe nawracanie prawosławnych Ukraińców na wyznanie rzymsko-katolickie, obowiązkowe wprowadzenie celibatu dla duchownych greko-katolickich i wiele innych poczynań, dokonywanych przez Watykan i dawną imperialistyczną Polskę — wszystko to wzmogło nienawiść do Watykanu i współdziałało we wzmocnieniu i rozszerzeniu prawosławnej świadomości. Wszyscy przyjęli decyzję Soboru jako zupełnie zrozumiałą akcję, podyktowaną życzeniem ludności i biegiem historii. W warunkach, kiedy cały naród ukraiński zjednoczony jest w jedno sowieckie państwo, byłoby absurdem utrzymywać rozłam kościelny, narzucany siłą przez Rzym.

Na tle przedstawionych faktów z najświeższej likwidacji Kościoła greko-katolickiego w Polsce, należałoby się jeszcze zo-

rientować w faktycznej sytuacji tego Kościoła, niezależnie od przechwałek propagandowych kierowników Komitetu Inicjatyw. Według posiadanych informacji, cała hierarchia Kościoła greko-katolickiego znajduje się nadal w więzieniu. Niesprawdzone dotąd pogłoski mówią, że spośród aresztowanych biskupów trzej zmarli w więzieniu: metropolita Ślipyj, biskup Chomyszyn i biskup Butka. Administrator apostolski dla Łemkowszczyzny ks. Malinowski podobno uszedł z Polski, a pozostaje to w związku z wywozieniem Łemków do Związku Sowieckiego. Również w więzieniu sowieckim ma pozostawać wizytator apostolski dla robotników ukraińskich w Niemczech ks. Werhun, który znalazł się na terenie okupacji sowieckiej.¹⁾

Wyznawcy Kościoła greko-katolickiego, o ile nie są jako Ukraińcy wywożeni w głąb Rosji z terenów pogranicznych, oczyszczanych przez Sowiety w myśl ich polityki «populacyjnej», stawiają czynny i bierny opór. Schodzą w podziemia i stają się męczennikami za wiarę. Radio watykańskie oświadczyło niedawno, że niecałe 5% duchowieństwa katolickiego podporządkowało się hierarchii prawosławnej. Ci spośród księży, którzy uniknęli deportacji lub więzienia, ukrywają się przed N.K.W.D. Masa narodu w dalszym ciągu pozostaje katolicka. Istnieje dobrze zorganizowany unicki ruch oporu, który utrzymuje kontakty z ruchem oporu unitów w reszcie Polski i Słowacji.

Obecny stan metropolii prawosławnej kijowskiej i halickiej, na skutek przyłączenia Kościoła greko-katolickiego do tej metropolii, niezwykle wzbogacił się formalnie, bowiem Kościół greko-katolicki w Małopolsce wschodniej miał szeroko rozbudowaną sieć placówek parafialnych, oświatowych i kulturalnych. Ta połączona metropolia—według źródeł rosyjskich—ma liczyć 16 diecezji z 6.200 parafiami. Co ciekawsze, zostały polikwidowane dotychczasowe Cerkwie rozłamowe, jak Cerkiew «Żywa», Cerkiew «Odnowiona», Cerkiew «Lipkowska» itd. Wszystkie te rozłamowe Cerkwie złożyły się na metropolię kijowską, nie bacząc na to, że niektóre z nich, jak «Lipkowska» i «Odnowiona» reprezentowały w prawosławiu herezję, a «Lipkowska» np. nie miała wyświęconej zgodnie z kanonami hierarchii.

¹⁾ Jedno z pism ukraińskich doniosło, że na przełomie 1946 i 1947 roku, trybunał wojenny w Kijowie ogłosił wyroki skazujące wszystkich aresztowanych biskupów greko-katolickich z Metropolita Ślipyjem na czele, oskarżonych o zbrodnie stanu przeciwko państwu sowieckiemu. Wyroki określają kary poszczególnych dostojników kościelnych po kilkanaście lat więzienia i zesłania. Z tego wnosić należy, że w okresie wydania przez sąd tych wyroków wszyscy biskupi byli przy życiu.

ZAKOŃCZENIE.

Do aktów przemocy z 1839 r. i 1875 r. przybywa nowy akt przemocy z r. 1946.

Pod tym aktem gwałtu religijnego kryje się wielkie zadanie polityczne administracji sowieckiej: likwidacja najbardziej uświadomionej części narodu ukraińskiego — inteligencji ukraińskiej, dążącej bezskutecznie do uzyskania niepodległości dla swego narodu. Toteż likwidacja Kościoła greko-katolickiego w Małopolsce wschodniej jest likwidacją dążeń do niepodległości narodu ukraińskiego, i to — w myśl intencji sowieckich — raz na zawsze.

Wiesław ŻYLIŃSKI.

WSZYSCY JUŻ WIEDZĄ, że najlepiej zaopatrzoną księgarnią we Francji jest

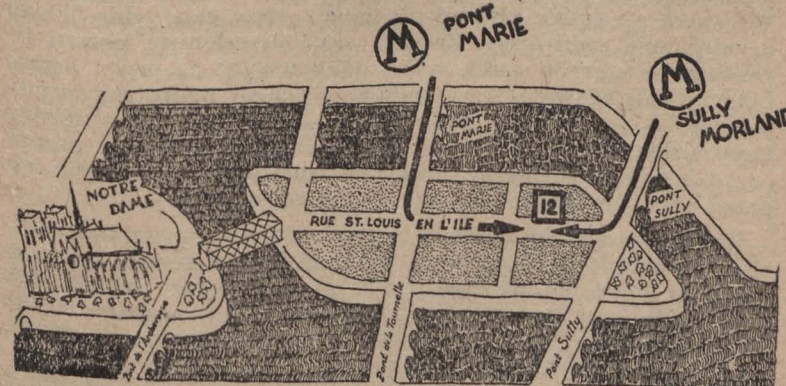
SKŁADNICA „LIBELLA”
KSIĄŻKI POLSKIEJ

12, rue St-Louis en l'Île, Paris (IV^e). Métro: Sully-Morland

POSIADAMY na składzie bogaty zapas książek, wydanych w Anglii, Ameryce, Francji, Polsce, Szwajcarii, Włoszech i na Bliskim Wschodzie.

WYSYŁAMY książki polskie i francuskie do Afryki, Anglii, Ameryki, Belgii, Holandii, Polski, Szwajcarii i na całą Francję.

Księgarnia nasza jest położona w najpiękniejszym zakątku Paryża — w pobliżu Notre Dame i obok Hotelu Lambert.



● **ŻĄDAJCIE BEZPŁATNYCH KATALOGÓW** ●

Weronika i Polifem

W zbutwiałym miasteczku, od stuleci obleganym przez mokre łąki, zwolna budzi się dzień.

Pierwsze dymy, nie mogąc przebić grubej warstwy wilgoci, leniwie pełzają po dachach. Za godzinę wszędzie zamglone słońce i nad smutną równiną Starej Marchii przeciągną z krakaniem niezliczone stada wron.

Uliczkami, zaciemnionymi z obawy przed nalotem nieprzyjacielskich samolotów, poczynają przemykać ludzkie cienie. Pada drobny deszcz. Lamy, spowite ciemno-niebieskimi zasłonami, kołyszają się na wietrze.

Zegar na wieży kościoła wydzwonił szóstą. Weronika otworzyła oczy: siostry Gawrońskie już wygładziły swoje łóżka i gotują się do wyjścia, Krawczykowa owija nerki ciepłym szalem, pani Rzęczykowa siedzi na kancie pryczy i splata włosy, pozostałe dziewczęta piją na stojąco poranną kawę, czerpiąc ją kubkami z dymiącego wiadra.

Weronika potrząsnęła czarnymi włosami, jakby na zażegnanie ostatniego akordu snu. Po krótkiej, ale żarliwej modlitwie, ubrała się pod kocem. Odkąd pani Rzęczykowa przy ostatniej kąpieli z uznaniem powiodła oczyma po jej obnażonym ciele i tyle różnych głupstw naplotła bez wstydu na temat jej urody, Weronika nie lubiła ubierać się jawnie, przy całej izbie, jak to czyniły inne dziewczęta. Zresztą, okna przesłonięte kusymi firankami ze starych gazet, wychodziły wprost na męski barak, i stałe jej się zdawało, że za szybami kręcą się podpatrujący mężczyźni. — «A niechta podpatrują, — zaśmiewały się siostry Gawrońskie, — co, zobaczą to jejich, a co zostanie — to nasze» — i bez lęku paradowały w rozchełstanej bieliźnie po izbie lub przed spaniem nagrzewały sobie nogi przy piecu.

Współlokatorci bynajmniej nie wiodły zakonnego trybu życia. Weronika nie pojmowała lekkomyślności swych towarzyszek, tak radośnie poruszających nieprzystojne tematy, tak skwapliwie grzeszących w myśli, w mowie i w uczynkach. Już od ósmego roku życia, to jest od owej niezapomnianej chwili, kiedy w rodzinnym Nowomalinie ukazała się jej w czasie choroby Matka Boska Siewna w złotym płaszczu i powiedziała z uśmiechem: «pamiętaj o różach dla mnie», Weronika żyła nieustanną tęsknotą do przywdziania śnieżno-białego habitu. Ta-

kiego samego habitu, jaki zdobił Świętą Teresę od Dzieciątka Jezus na obrazie w nowomalińskim kościele. Habitu, przepasanego białym sznurem. Z gruboziarnistym różańcem. Z małym, hebanowym krzyżykiem, na którym jaśnieje srebrny Pan Jezus. Od tego czasu dziewczyna żyła jak we śnie. W poszumie niewidocznych skrzydeł. W obłokach wonnych lilii. W promieniach muzyki. Niebieskiej muzyki złotowłosej Świętej Cecylii, na wszystkich oleodrukach grającej Panu Bogu na fisharmonii.

Brutalna wojna nie przyniosła dziewczynie ocknienia z cudownych snów. Tęsknoty do lepszego życia w sercu nowomalińskiego dziecka nie wygasają. A podsyca je mała, ale jakże droga, książeczka-przyjaciel pt. «Czym ja będę?» Napisana przez O. Leona Pyżalskiego. Wydana w Toruniu, w roku 1929. Nakładem O.O. Redemptorystów. W książeczce tej, подарowanej Weronice w dniu bierzmowania przez wikarego Jasińskiego, spoczywają zasużone macierzanki i garść ongi pąsowych, dziś już tylko fioletowych, płatków róży z rodzinnego ogrodu. Pewnego dnia za horyzontem malowniczej sadyby przestały dudnieć armaty, czerwony kur zbladł na niebie, i opadł kurz, wzbity na gościńcu przez obce wojska. A zaczęło i nadszedł jeszcze gorszy czas. Stukot kół towarowego pociągu, uwożącego dziewczętą z Nowomalina w obce strony, począł młodziutkiej a przerażonej tym światem Weronice złowieszczyć nowy los. Z fotografią poległego ojca, z uśmiechem rozpartego w nowiutkim mundurze starszego ułana rezerwy, z garścią ziemi, pobranej na pamiątkę z pobliskiego rozstania, z metryką chrztu świętego i świadectwem przystąpienia do pierwszej komunii, z nieodstępna książeczką ojca Pyżalskiego i wielu innymi pamiątkami, przeważnie odpuściami obrazkami i poświęconymi medalikami, zabranymi ze sobą na niepewne jutro do ceratowej torebki, Weronika przeżegnała przez szparę w zabitym deskami wagonie ostatni błysk czystego ojczyściego nieba, ostatni zapach nowomalińskich pól i pożegnalny furkot drewnianych skrzydeł pobliskiego młyna, zasadzonego na pagórku zachwyconego dzieciństwa.

A tutaj stale wieje mokry wiatr i żenie ciężkie chmury tuż nad szczytami nagich drzew.

Kiedy Weronika, po narzuceniu na roboczy drellich nieprzemakalnej płachty, wybiegła w poranny deszcz, na kolejowej bocznicy przetaczano już nowe wagony z burakami. Mała, odęta fabryczna lokomotywa podstawiła z sapaniem nowe piętnastotoniówki pod hydrauliczne spryskiwacze.

Przez czerwone cielsko fabryki przebiegał już głuchy dygot maszyn. Za chwilę dzienna zmiana zastąpi setki niewyspanych robotników. Wzdłuż wysokiego muru suszarni krajanki cukrowej, w świetle fioletowej lampy, ujrzała Weronika pochod obłąkanej, długą kolumnę jeńców sowieckich, wlokących się nogą za nogą pod bagnetami konwojentów. Człapali trójkami, w rozpiętych płaszczach. Ze spuszczonej głowami. Wypatrując niedopałków na bruku. Co chwilę któryś z nich, widząc rozsypane buraki lub upragnionego «fetka», wybiegał z szeregu. Stary,

siwy żołnierz-konwojent z bawarską porcelanową fajką, wtkniętą w poczciwy, jowialny grymas, powoli podchodził do schylonych i spokojnym, starannie wymierzonym kopnięciem napędzał ich do szeregu. Łoskot drewnianych butów przyskał o przeciwległą ścianę wysokiego magazynu i wracał dziwnie groteskowym echem jak szybko przeskakiwane klawisze ksyloforu. Dwóch zamykających pochód jeńców niosło na wygiętym drągu bańkę z kawą. Weronice przypomniał się obrazek z podręcznika Starego Testamentu: «młodzieńcy niosący gałąź winną». «Zdrastwujcie» — rzuciła im w przelocie. Ale znękani mołojcy nie podnieśli oczu spod baranich czapek.

Z drugiego końca dziedzińca, bez pośpiechu ludzi zaśszuczających, w obłoku czerwonokrzyskich *Chesterfieldów*, towarzysko parłując, nadchodzili starannie ubrani i niezłe odżywieni jeńcy francuscy, arystokracja wśród niewolników. Ociekający brylantyną Danziger, kupiec winny z Adzacji, obecnie wypisujący listy przewozowe w ekspedycji głównego magazynu, (gdzie cukier je się garściami), na widok małej Polki przyłożył rękę do kepi i puścił ogniste «oko». «To ten, który przyrzekł młodszej Gawrońskiej małżeństwo po wojnie» — przeszło Weronice przez głowę.

Na linii zbiórki «polskiego skrzydła» stał już Hartmann w gumowej pelerynie i z listą w ręku sprawdzał obecność: «Krawschik?» — «Hier!» — «Makowsky eins?» — «Tutaj!» — «Makowsky zwei?» — «Ady jezdem!» — «Gruschka?» — «Jestem!» — «Weronika?» — «Tu!» (Na nią, jako na najmłodszą w fabryce, wołano zawsze po imieniu), «Wenglowitsch?» — «Obecny!» — «Herr Sakschewski?» — «Jawohl, anwesend!» (Na Zakrzewskiego wołał Hartmann per «Herr»)... Dopiero pierwsza karta listy!... A tu zimny, kłuszący wiatr i deszcz z każdą minutą przybierający na sile. Dziewczęta zbiły się w szczękającą zębami gromadę. Hartmann po odczytaniu kilkudziesięciu nazwisk rozpoczął przemowę:

Jutro wyjeżdża. Do wojska. Trudno: wojna. Stary jest i schorowany, ale skoro młodzi siedzą po biurach, widać starzy są potrzebni na froncie. To wcale nie oznacza, że się boi, albo że szmerze przeciwko władzy. Pod Verdun również bywało gorąco. Wojna to przykra rzecz. Ale kiedy trzeba, to trzeba. Jakiś sens musi przecież być w tym wszystkim. A więc — pracujcie tutaj pilnie i chętnie, tak po polsku, jak wy to umiecie, a nie spotka was żadna przykrość. Koniec wojny niedaleki: V-1 i V-2 kładą najpiękniejsze miasta na Zachodzie w gruzy! Nowa tajemnicza broń jest już na ukończeniu, a wówczas... — jak powiedział Führer, a Führer wie, co mówi: — *es wird ihnen Sehen und Hören vergehen* (przejdzie im wzrok i słuch). Wróćcie do Polski, to ja wam mówię, Hartmann! Będziecie znowu jedli masło, «szpek» i gęsi. Ale następcy — lepiej się strzeżcie! To wielki wróg Polaków. Nie ma mu się co dziwić: jedynaka mu zabili w Warszawie. Tyle tylko chciał powiedzieć. Bardzo mu przykro wyjeżdżać z pięknej Starej Marchii na rosyjski front,

bo pracę fabrycznego dozorca pokochał szczerze. Dwadzieścia trzy lata w pracy, to nie byle co. Do miłego zobaczenia w dniu ostatecznego zwycięstwa! (Trześniak półgłosem: «Pies ci mordę liza!») A teraz — do roboty — rozejść się!

Pomimo ulewnego deszczu pan magister Zagrzewski w imieniu pracujących w cukrowni Polaków podziękował mówcy za «ludzkie traktowanie».

Weronice przypomniał się w tej chwili czerwiec 1940. Hartmann, upojony wejściem wojsk niemieckich do Paryża, kazał dziennej zmianie dodatkowo przepracować całą noc, aby wyśiłkiem uczcić to wielkie zwycięstwo. Albo smutna wigilia 1943: siedzieli przy choince i śpiewali kolędy, wszedł Hartmann, zdmuchnął świeczki, kazał wszystkim wstać od stołu i iść do roboty.

Zatrudniony przy pompowaniu melasy z głównego zbiornika do wagonów-cystern, prawnik Zakrzewski, uważany był przez władzę fabryki za «męża zaufania» grupy polskiej. Był to człowiek zarozumiały, współpracujących rodaków (z wyjątkiem b. starosty Jaskólskiego) i rodaczki (z wyjątkiem p. Rzęczykowej, żony znanego laryngologa warszawskiego) traktujący z góry. «Nie go, tobuza, wojna nie nauczyła» — mawiali robotnicy. Ale p. Rzęczykowa przy każdej okazji brała Zakrzewskiego w obronę: «tylko przez zaskarwienie sobie zaufania u przełożonych mecenas uzyska wpływ na polepszenie bytu pracujących Polaków, a więc dziękować mu powinniście, a nie obszcze kiwać go po kątach». Magister Zakrzewski miał dziwne szczęście do ludzi. Gdy go niespodziewanie naszedł w magazynie sam dyrektor fabryki, Zakrzewski akurat czytał książkę Rosenberga. Kiedy szukano po szafkach skradzionego cukru, w szafce Zakrzewskiego niespodziewanie znaleziono poezje... Baldura von Schiracha. Takie zainteresowania nie mijają bez echa. Dyrektor wydał polecenie, aby pana «Sakschewskiego» ze względu na jego wadliwą budowę nie przemęczać pracą.

Gdyby nie rzucająca się w oczy pobożność i łyzy, którymi jak na zawołanie wypełniały się jego duże wyblakłe oczy, ilekroć mówił o Kraju i o zbliżającym się dniu wyzwolenia, Weronika skłonnaby była uważać Zakrzewskiego raczej za człowieka nie-miłego.

Po odejściu Hartmanna na polską gromadę padł przestרח. Kto przyjdzie jutro? Grzanka twierdził, że ani chybi — Karentz, którego podobno nawet z Gestapo wyrzucono za pijaństwo i bi-jatyki. Zakrzewski, zapytany przez siostry Gawrońskie, wymienił starego Pastuschke, którego syn, zdaje się, poległ we wrześniu 1939. B. starosta Jaskólski, pracujący w ślusarni, wiedział na pewno, że na żądanie miejscowej policji przyjdzie zwykły bandyta, specjalnie wypuszczony z ciężkiego więzienia do terroryzowania Polaków. Pani Rzęczykowa słyszała o pewnym «olbrzymie z gór Harcu».

— Z gór Harcu? — zainteresował się Trześniak, — miałem kiedyś w Przemyślu kanarka z gór Harcu, pięknie śpiewał!

Słuchając tych rozmów, Weronika czuła bicie serca w gardle. Szwalnia worków, w której cerowała od czterech i pół lat bez przerwy, sąsiadowała z posterunkiem głównego nadzorca cudzoziemskich robotników tylko przez ścianę. Hartmann jaki był, taki był, ale do cerowania, jako do babskiej roboty, nigdy się nie wtrącał. A jeśli ten nowy zainteresuje się jej pracą i wykryje, że zamiast nakazanej normy — czterdziestu pięciu worków dziennie, za cichą wiedzą starej, pół ślepej Niemki, naprawiała dziennie tylko dwadzieścia worków? Z lękiem zasiadła do pracy. Cóż mnie, kobiecie, może zrobić? Przecież mnie nie pobije? A jeżeli uderzy w twarz? Zbyt często widziała bitych ludzi w fabryce, żeby ta myśl nie przejęła ją zgrozą. A jeśli i pobije, mój Boże — widać ofiara jej jest potrzebna i taka jest wola nieba. Chcąc uciszyć w sobie niepokój, wsunęła się w ulubiony kąpiel, za stertę worków i płóciennych chust do filtrowania buraczanej mazi, i z ulubionej książeczki zaczęła czytać od dawna znane słowa:

«Do Ciebie zwracam się, dziewico chrześcijańska, która przestałaś być dzieckiem, poczynasz myśleć, działać, żyć samodzielnie, czując wyraźnie, że odtąd już wobec Pana Boga i wobec ludzi odpowiedzialna jesteś za siebie. Poczynasz wchodzić w świat i w życie i chcąc nie chcąc musisz obrać jakiś kierunek życia, musisz sama rozstrzygnąć, jaką drogą pójdziesz przez życie. A tak liczne są drogi! Z różnych stron słyszysz nawoływanie: «Pójdź z nami! Nasza droga najlepsza, tylko tu znajdziesz prawdziwe szczęście!» I stajesz chwilami bezradna, z lękiem w sercu, pytając się: Czym ja w życiu będę? Jaką drogę mam obrać? Gdzie najpewniej znajdę szczęście prawdziwe, głębokie i trwałe?... W tej chwili zbliża się do Ciebie kapłan, który Ciebie osobiście nie zna i nigdy może w życiu nie pozna, ale miłuje duszę Twoją, bo ona własnością jest Chrystusową i obraz Boży na niej wyryty...» Gdy Pan Bóg powołuje duszę do życia zakonnego, to od pierwszych chwil jej istnienia otacza ją szczególną pieczęcią; łask wyjątkowych, choć może zupełnie ukrytych, jej użyczają, napełniając jej serce coraz większą niechęcią do świata i do jego marności... Taka więc dusza wybrana nie może się czuć dobrze wśród świata. A im dłużej zwleka z oddaniem się Bogu, tym boleśniejszą rozterkę w sercu czuć będzie. Niejednej nawet Pan Bóg cofnął łaskę powołania dlatego, że zbyt długo lekceważyła sobie głos Boży»...

Magister Zakrzewski zawsze potrafił się tak zręcznie pokreślić po fabryce, że wśród największej pracy, wpadał do p. Rzeczykowej «na ucałowanie rączek». Rzeczykowa miała pod sobą rewir III B, czyli 150 m² podłogi do wyszorowania. Spotykali się na płoteczki za dużą dębową szafą, w laboratorium dr Jahna i jego asystenta, Ukrainca Kirylenki. Doktor Jahn, kierownik dwuosobowego laboratorium, przez palce patrzył na te spotkania. Żonaty z nadwołżańską Niemką, odczytany w niemieckich

humaczeniach Tolstoja i Dostojewskiego, entuzjasta muzyki Czajkowskiego, czuł jakąś rzewną słabość do Słowian. W wypadku swego asystenta, Kirylenki, — jak złośliwi twierdzili — był to zwykły homoseksualizm.

— Droga pani Heleno, — zagał Zakrzewski, — już niedługo. Rozmawiałem z Danzigerem. On ma zawsze pewne wiadomości. A wówczas trzeba będzie przystąpić do organizowania wszystkich uciemnionych. Całą noc przegadaliśmy na ten temat ze starostą. Mamy już pewną gotową koncepcję, ale to są rzeczy nie nadające się jeszcze do ujawnienia. Podstawę naszego przyszłego działania stanowią będzie scentralizowanie wszystkich ośrodków dyspozycyjnych w rękach jednego sztabu. My nie będziemy mogli ścierpieć nieskoordynowanej akcji. W głębokim przekonaniu, że uda nam się, tu, na tej ziemi, na którą nas przywiał wicher historii, zbudować małą Rzeczpospolitą, jak gdyby suwerenne państewko, ale w charakterze dominium, podległego naszej przyszłej wyzwolonej ojczyźnie, która jak Fenix z popiołów... (Wyblakłe oczy prawnika zaszyły serdeczną mgłą. Żona laryngologa, nie mogąc pohamować wzruszenia, uściśnęła mecenasowi rękę)... Jeśli potrafiemy tu, na tej obcej ziemi, stworzyć taki potencjał twórczych wartości, iż nasz suwerenny obszar na skutek swej spotęgowanej siły atrakcyjnej w przeciągu jednego pokolenia wynarodowi miejscową ludność, jeżeli...

Pani Rzeczykowa lubiła ten szlachetny, metaliczny głos, który lekko drżał w chwilach uniesienia. Mimo woli porównywała mecenasu ze swoim mężem. O, nie tylko dzielili ich lata i wygląd zewnętrzny! Dopiero teraz odkryła, że jej mąż poza medyczną właściwie nigdy nie posiadał żadnych poważniejszych zainteresowań, że wielkie idee i ruchy polityczne były mu obce, że nie był zdolny ze swego laryngologicznego mózgu wykręcić jakiegokolwiek większej koncepcji, że wychodząc za doktora Rzeczykowskiego zabił sobie życie. Kiedy mecenas, czając się za wirówkami — odszedł do swego zbiornika z melasą, świadomość że do jutra nie usłyszy jego głosu, napełniła ją smutkiem. Wojna się skończy, — pomyślała z lękiem, — Adam wróci z oflagu, i znowu będzie pacjentem na Wilczej czy na Kruczej zaglądał w gardła i w nosy, Zakrzewski zaś... Mój Boże, a coż stanie się z tym wielkim, zaskoczonym przez życie, dzieckiem? Jak ułożą się jego losy i plany?...

W tejże chwili jeden z przechodzących Niemców klepnął ją z całej siły poniżej pleców. Brutalne wyrwanie z posępnej zadumy odczuła jak dobrodziejstwo.

Pod wieczór deszcz nieco przycichł i na chwilę przebił się szary księżyc. Pracowity dzień dobiegał końca. Ledwie nocna zmiana przez bramę i budki kontrolne wyłoniła się z ciemności, a dzienna — jak nurek wynurzony na powierzchnię wody, wypadła z rozpalonego wnętrza chwytając spieczonymi ustami chłodne powietrze, na dachach miasteczka zagrały syreny przeciwlotnicze. Punktualna, co wieczora muzyka wojny. I już megafony, zainstalowane na fabrycznym dziedzińcu, poczęły oznajmiać

swoje stereotypowe «dobry wieczór»: — «ACHTUNG! — ACHTUNG! — STARKE VERBAENDE SCHWERER KAMPFFLUGZEUGE IN ANFLUG AUF NORD-WEST UND MITTEL-DEUTSCHLAND!»

Przez pierwsze trzy lata wojny dyrekcja fabryki stała na stanowisku, że robotnicy polscy nie posiadają prawa do wykonywania zajęć, związanych z obroną przeciwlotniczą, jak również do zajmowania miejsc w podziemnych schronach fabrycznych. Od czasu, kiedy naloty przybrały charakter, nieprzeczuwany przez największych pesymistów, zaszła pewna ewolucja w poglądach miarodajnych czynników. I dzisiaj zarówno Polacy jak i Polki, w hełmach, z maskami, wiadrami, polewaczkami, szmacyanymi klapkami do gaszenia bomb zapalających i innymi insigniami ludzkiej bezsilności wobec zaczajonej w chmurach śmierci, przy akompaniamencie gwizdków, komend i przekleństw, jak tabun koni, podcinany łańcem po pęcinach, galopują na wyznaczone stanowiska. Hartmann nie zawahał się nawet przed stworzeniem osobnej polskiej straży ogniowej. Pierwszym hydrantowym mianowano p. Jaskólskiego, regulamin straży w języku polskim i niemieckim ułożył i własnoręcznie na powielaczu odbił: mgr Piotr Zakrzewski.

«Polski schron» mieścił się w tej części zabudowań fabrycznych, gdzie od pewnego czasu pod przykrywką fabrykacji cukru powstała umiejętnie zamaskowana wytwórnia syntetycznej benzyny. W cyniczny sposób wykopano pomiędzy dwoma basenami benzyny dużą dziurę, obłożono ją tuzinem betonowych kesonów, przykryto darnią i zaopatrzone napisem: *Kaltblut bewahren* («Przez nerw!»). Ponieważ lepianka nie posiadała wentylacji, co chwilę ktoś wbrew zakazowi wybiegał na świeże powietrze, aby uniknąć śmierci przez uduszenie.

Weronika w czarnym blaszanym hełmie, nasuniętym na dziecięcą twarz, wywołała zachwyty pani Rzęczykowej:

— Wyglądasz, moje dziecko, jak... jak...

— Jak Joanna d'Arc — odpowiedział p. Jaskólski, gładząc zmęczoną twarz dziewczyny życzliwym ojcowskim spojrzeniem.

— Świetne porównanie, — stwierdził mecenas, — od razu wskazuje na właściwe predyspozycje natury moralnej, zgodne ze spirytualistycznym systemem wartości, który światu zła doczesnego przeciwstawia idealny zaświat...

W tym miejscu Trześniak na głos zanieczyścił powietrze.

— Bydlę! — syknął mecenas.

— Niepoprawny idealisto! — pomyślała pani Rzęczykowa — i dla takich Trześniaków chce ci się budować suwerenną placówkę dominialną!

Przez niebo przeszedł pierwszy głuchy warkot.

— VORSICHT! — zachrypiało w głośnikach — ES GEHT LOS!

Warkot potężniał z minuty na minutę. Skulonym pod ziemią niewolnikom pojaśniały zmęczone twarze. Starosta wychylił głowę:

— Druga fala tuż nad kominem!

— Trzecia fala!

— Czwarta fala!

— Piąta!... Szósta!... Dziesiąta!... Całe niebo samolotów!

— Kierunek — Berlin!

Grzanka klepnął Trześniaka z uciechy w kolano, Krawczykówna wybuchnęła histerycznym śmiechem radości, Weronika czuła zwycięski rytm motorów w skroniach, w krtani, w pierśsiach, w każdej komórce swego ciała.

Trzysta rozloskotanych motorów grało na niebie muzykę świętej zemsty.

Nazajutrz przyszedł nowy dozorca. Zaczęło się od tego, że nie powiedział na zbiórce *Gut Morgen*, tylko rozstawił szeroko nogi i począł się bacznie przyglądać zebrany. Przerazona Weronika spostrzegła, że na lewym oku miał czarną przepaskę, a prawe płonęło wrogim blaskiem. Twarz miał suchą, policzki kościste, jakby po chorobie, a szczęki daleko wysunięte na przód. Pomimo deszczu stał z gołą głową. Na pierwszy ogień poszedł Zakrzewski:

— Jak stoisz, stary ośle?

Zakrzewski próbował odrzec coś grzecznie wiedeńskiego.

— Trzym pysk! — przerwał mu nowy dozorca po polsku. Po czym podszedł do stojącego i dał mu psztyczka w nos.

— Rosenberg i Baldur von Schirach — przyszło Jaskólskiemu na myśl i uczył coś w rodzaju złośliwej satysfakcji.

— Bardzo mi przykro... ale pan mnie najwyraźniej zmusza do... do pożalenia się panu dyrektorowi fabryki — począł marmotać przerażony mecenas. Ale nie dokończył, gdyż nowy dozorca jednym uderzeniem pięści cisnął go o ziemię. Potem podniósł zakrwawionego za kołnierz, ustawił na baczność pod murem i począł go wolno i długo bić po twarzy.

Weronika zamknęła oczy. Chciała się instyktownie uchwycić modlitwy, ale wszystkie słowa uciekły jej z głowy. Słyszała tylko trzask powoli wymierzanych policzków i głuchy jęk Rzęczykowej.

Kiedy otworzyła oczy, w skąpym świetle zaciemnionych lamp podwórzowych ujrzała zbliżającego się szybkim krokiem dyrektora fabryki. Odetchnęła z ulgą. Odsiecz dla Zakrzewskiego! W samą porę! Jakże wielkie było jej przerażenie, kiedy dyrektor, udając że nie widzi bitego, najspokojniej w świecie poprawił sobie melonik na głowie i otarłszy się o skrzydło dwuszeregu, zniknął w ciemnościach.

— A teraz marsz do roboty! — zakończył nowy dozorca swój pierwszy występ i wyjął grzebień. Z uśmiechem, jak po załatwieniu drobnej formalności, starannie zaczesał włosy.

Po południu wpadł jak burza do cerowni i począł liczyć worki.

— Ile masz lat? — zapytał Weronikę, przypatrując jej się z uwagą.

Ale przerażona dziewczyna nie mogła wydobyć z siebie głosu. — Czego się boisz? — błysnął zdrowym okiem — nie jestem wrogiem małych, ładnych dziewczynek.

Pół ślepa Niemka zachichotała znacząco.

— Co on powiedział? — spytała Weronika, zwolna przytomniejąc po wyjściu dozorca.

— Że nie jest wrogiem małych, ładnych dziewczynek — skrzywiła się stara cerowaczka.

...«Prawda, powiadasz mi, już przestałam być dzieckiem i pozynam coraz jaśniej pojmować cel, znaczenie i sens życia, — ale czy ja koniecznie już teraz muszę nadać wyraźny kierunek swemu życiu? Czy nie wolno mi tej sprawy odłożyć na później, kiedy będę miała lat 18 lub 20?..»

«Gdybyś poszła za tą radą, którą zapewne często już słyszałaś, wyrządziłabyś samej sobie wielką, prawe! niepowetowaną szkodę, i — co ważniejsze — zasmuciłabyś serce Boże»...

«Szczęśliwie, zaiste, te dzieci, które nawet czasu nie miały do zapoznania się ze światem, lecz bezpośrednio spod troskliwego oka macierzyńskiego, może już w 12 lub 13 roku życia, lub nawet wcześniej, przechodzą w środowisko zakonne!.. Jakże one błogosławić będą Opątrność Bożą później, gdy poznawszy złość i nędzę tego świata, przypomną sobie, że Pan Bóg w dobroci Swojej przeniósł je niejako ponad zepsutym światem prosto do świętych przybytków swoich!..»

«Dziś głos Jego usłyszycie, nie zatwardzajcie serc waszych! — Osądź samą siebie, dziewięć chrześcijańska, a jeśli sumienie ci powie, że jesteś powołana, nie wahaj się ani chwili...»

O ile zaś sama nie będziesz umiała się zdecydować, polegaj na zdaniu spowiednika i innych osób pobożnych i roztropnych, do których masz zaufanie... Bardzo często wzywa Duch św. duszę przez innych ludzi, którzy własnym przykładem lub słowem do tego nas zachęcają»...

Śmiertelnie znużonej Weronice wypadła ulubiona książeczka z ręki. Zasnęła. Za ścianami baraku przebiegał głuchy rytm fabryki. Do następnego alarmu lotniczego pozostawały cztery godziny spoczynku.

Błada twarz Weroniki poczęła we śnie nabierać żywszych kolorów, długie czarne rzęsy drżały w takt dygotu fabryki. Miliony śliskich buraków, rozbulgotane mazią centryfugi, syczące kamienie wapienne, niekończące się sterty worków, duszący żar kotłowni i brudny, kleisty deszcz — pozostały daleko, za falochronem kurczowo zaciśniętych powiek...

...W górach Harcu miłość pachnie ziołami i śpiewem kanarków. Na ścigające się od stuleci strumienie, na korzenie pełzające po mchu i śpiące salamandry ścieka z gałęzi lępkie żywiczne słońce. W dole buchają parą lokomotywy, przecinając tekturowe miasteczko na dwie połowy. W dole gwizdzą mechaniczne piły tartaków, a tutaj gwizdzą kos w zaroślach. W dole

wiszą afisze pełne świata i wojny, a tutaj wierzchołki drzew czeszą niebo liściastym pióropuszem, listek strącony ptasim skrzydłem spada kórkociągiem ku ziemi i coś przebiega pod wachlarzem paproci.

— Weroniko, masz warkocze podobne do wahadeł ściennego zegara!

— Weroniko, masz lewy warkocz dłuższy od prawego o trzy pocaunki!

— Weroniko, kukułka!

Na uroczysku bije leśne źródło. Kto napije się źródlanej wody przy kukaniu harceńskiej kukułki, dożyje setnego wieku!

Pobiegli cienistą ścieżką, dopadli lodowatej wody, pomaczali włosy, oczy i usta, a potem pieli się w milczeniu na kopiec usiany leśnymi konwaliami. Na samym szczyście góry wytrysnęła ze śmiechem — kwitnąca jabłoń. Jabłoń? Jaka jabłoń? Nowomalińska jabłoń z proboszczowego sadu.

— Weroniko, pamiętaj! Weroniko, nie zagłądaj! Nie zagłądaj mi w twarz, Weroniko!..

— Jezu! — krzyknęła Weronika i z przerażenia usiadła na pryczy: nieznamy miał twarz nowego dozorca, a kiedy zdjął czarną przepaskę z oka, trysnęła krew z oczodołu.

Nasunęła koc na głowę i na przelaj z rozkołysanym sercem poczęła się modlić.

Na dworze dygotała fabryka i padał nocny deszcz.

Powoli miały ciężko spracowane dni, odmierzane nowymi transportami buraków i kartofli do suszarni, zniaczone lamentem lotniczych syren, awanturami nowego dozorca i starym, przyjaznym warkotem nieba.

Miało się ku wiosnie. Słońce pokazywało się coraz częściej. Dymy na dachach zwolna prostowały się ku niebu. Deszcze się piły łagodniej. W południe przelatywał uliczkami kojący wiatr i mokre łąki za szosą dymyły coraz widoczniej.

Po okresie kampanii cukrowej nadszedł czas ekspedycji surowego cukru do rafinerii w Tangemünde. Zbliżał się okres suszenia buraków i kartofli dla wojska oraz pora remontu maszyn w cukrowni. Większość polskich robotników przetrzucono do robót w zakonspirowanej części zabudowań. Systematycznie szykanowany Zakrzewski, pod czułym okiem nowego dozorca kulał teraz beczki z benzyną. Gdyby nie elektryzująca wiadomość od Danzigera, że Amerykanie zdobyli most na Renie, 200-litrowe beczki wydawałyby mu się dzisiaj cięższe! Odmłodzony o kilka lat kulał je z uśmiechem, szybko i zręcznie jak duże piłki. Dobry humor mecenasa doprowadzał dozorcę do pasji. «Jak oni zawsze wszystko wiedzą! Prędzej i lepiej od nas! Musiało się znowu coś złego wydarzyć!» — domyślał się jednooki i z irytacji podstawił pracującemu nogę. Mecenas upadł jak długi. Stuknął czołem w żelazną obręcz, ale szybko pozbierał się i z zamysłonym uśmiechem kulał beczki dalej.

— Jeśli wojna nie skończy się w parę tygodni, wykończy mnie

na amen — szepnął Zakrzewski tego wieczora pani Rzęczykowej w schronie.

Dawno już nie spotykali się w laboratorium. Doktor Jahn, widząc że łaskawość zwierchności odwróciła się od mecenasa, odmówił im prawa azylu.

Rzęczykowa spojrzała na zapadnięte oczy pana Piotra. Na ostro naciągniętą skórę na policzkach. Na jego sine i spieczone wargi. W świetle okrytej kirem żarówki wyglądał przejmująco. «Mój dobry, zacny, szlachetny i kochany Piotrze!» — chciała szepnąć z tklivością, ale zabrakło jej odwagi i tylko przelknęła kilka łez, od dawna duszących ją w gardle.

— Gdybym miał nie doczekać, — ciągnął zamyślony mecenas, — realizacją mej koncepcji zajmie się starosta. To już uzgodnione. Chodziłoby wówczas o jak najszybsze wytworzenie atmosfery solidarności i wzajemnego zaufania. A wówczas... nie jakaś demokracja, plutokracja, oligarchia czy monarchia, ale tylko to, cośmy przez tyle wieczorów dyskutowali z kochanym starostą: autokratyczne rządy trustu mózgow! Elita uczo-nych na czele pierwszego eksperymentalnego organizmu suwerennego... Siła spistości wewnętrznej i tajemnica przyszłych sukcesów naszego nowotworu terytorialnego leżeć będzie w więzi ideologicznej, łączącej wszystkich mieszkańców. Na morzu industrializacji i cywilizacyjnego chaosu wyłoni się wyspa prawdziwie bukoliczna...

— Jaka? — zaniepokoił się starosta, walcząc z coraz większą sennością.

— Bukoliczna, panie Karolu, czyli nadziejsko szczęśliwa.

Tej nocy pani Rzęczykowa nie mogła zasnąć. Przed zmęczonymi oczyma jawiła się jej blada twarz Piotra, chwilami podobna do pośmiertnej maski. W szumiących uszach pulsowały jej martwe słowa: «gdybym miał nie doczekać...» Poczęła się modlić o więcej bomb i samolotów, o więcej śmierci dla Niemców.

O jedenastej w nocy trzeci z kolei alarm. O dwunastej odwołanie. O pierwszej w nocy przeraźliwy ryk syren. O drugiej w nocy odwołanie. Godzina nieprzytomnego snu. O trzeciej nad ranem znowu zawyły wściekłe syreny. Bombardowali gdzieś w pobliżu. Ziemia skowyczała pod nogami. Szyby wypadały z okien. O czwartej nad ranem — odwołanie. A o szóstej pobudka, łyk kawy, kęs suchego chleba i biegiem do roboty.

Kobiety z niewyspania dostawały wymiotów i snuły się na nogach jak po ciężkiej chorobie. Głodni i przepracowani jeńcy, rozdrażnieni jak dzikiej zwierzęta, o byle głupstwo rzucali się na siebie z przekleństwem i pięściami. Francuzi dawno już wyzbyli się swej elegancji. Niemcy wpadali w furję bezsilnej wściekłości. Lecz próżno wygrażali pięścią niebu.

O dziewiątej rano śmignęło w górze kilkanaście rączych myśliwców. O dziesiątej rano — przeleciało z trzaskiem kilkadziesiąt czteromotorowych fortec amerykańskich. O dwunastej, właśnie pokazało się słońce, nowa czarna chmura z łoskotem wtargnęła

na niebo. Myśliwce i bombowce. Znowu szeroko rozlana rzeka srebrnych, jak odłamki zwierciadła połyskujących skrzydeł. Znowu kilkadziesiąt ciężkich, opasłych bąków, sunących tuż nad fabrycznym kominem. A za nimi, przed nimi, pod nimi, nad nimi i wokół nich, jak niezmordowane owczarskie pieski, popędzające stłoczone stado na gościńcu, uwijają się chyże myśliwce. Całe niebo gwiazdze, trajkoce, brzęczy, huczy i kotłuje się nad ludźmi. Całe niebo odrywa się od widnokręgów i leci naprzód! Jak wielkie żelazne drzwi, wyrwane z zawiasów. Jak rozpadający się dach, w ostatniej sekundzie przed runięciem na przerażone oczy, ogłuszone uszy, oszalałe serca i zastygły oddech. Dach śmiertelności warkotu, trzęsienia ziemi i końca świata.

Weronice, osaczonej przez warkot i nieludzkie zmęczenie, było już wszystko jedno. Nie miała sił biec na drugi koniec fabryki do schronu. Zabijają, to zabijają. Usiadła na schodach szczękającej drzwiami i oknami suszarni i pomimo pękającego piekła na niebie — osunęła się w czarną studnię upragnionego snu. Nie zbudziła jej nawet nowa niebosiężna syrena, z zadowoleniem oznajmiająca przelot ostatnich formacji.

Nowy dozorca, wracając ze schronu do pracy, już z daleka spostrzegł śpiącą dziewczynę na schodach. Przerażona Rzęczykowa, chcąc zapobiec nieszczęściu, pobiegła zbudzić Weronikę. Ale dozorca odsunął jej usłużność krótkim ruchem ręki i ku zdumieniu całej gromady —

— Nie budźcie jej, — powiedział — niech śpi, jest zmęczona.

Potem podszedł na palcach do śpiącej i przypatrywał się jej przez dłuższą chwilę.

Zakrzewski mrugnął znacząco do pani Heleny: «ha, tuś nam!»

— Święta i jej krwawy błazen — szepnęła mu w ucho Rzęczykowa.

— No, no, no! — pokiwał głową starosta.

Nadchodziły ostatnie dni brunatnej Pompei. Generał Patton ostrym pancernym klinem wierał się coraz głębiej w dymiące trzewia Niemiec. Samoloty wogóle już nie schodziły z nieba, jakby nocowały w obłokach. Nad małym miastem zawisła chmura lęku. Burmistrz zmarł na serce przy radioaparacie. Miejscowy garnizon wyruszył z niedoszkołonymi rekrutami w pole. Co trwożliwsi neopoganie zaczęli na nowo chodzić do kościoła. Jednooki przychodził teraz do służby stale pijany. Danziger radził pakować tłumoczeki. Komunistą Willy, stary wyżeracz, radził cicho siedzieć: «zanim bydlę zdechnie, może jeszcze kopnąć!»

— Obóz Adama pewnie już oswohodzony — myślała ze smutkiem pani Rzęczykowa.

Młodsza Gawrońska przez tłumacza (starostę Jaskólskiego) zapytała Danzigera, czy obietnicę zawarcia małżeństwa po wojnie traktuje poważnie, bo od kilku dni zaczyna ją mdlić.

Kirilenko rezwał z dr Jahnem. «Dość tej zażyłości z lupieżcami Ukrainy!» — powiedział.

W sąsiednich fabrykach już właściwie nie pracowano. Nie było surowca. Zniszczone tory i dworce utrudniały kontakt ze światem.

Dyrektora fabryki, który wszystkim komisjom i biurom wojskowym przez tyle lat okupywał się workami cukru, niespodziewanie powołano pod broń. «No to i koniec wojny za pasem» — szydził majstrowie.

Jeńcy sowieccy budzili się z odrętwienia i już nie człapali z garbem smutku. Konwojent z porcelanową fajeczką kopał ich cóż raz łagodniej.

Mecenas Zakrzewski w chwilach wolnych od kulania beczek dwoił się i troił nad opracowywaniem statutów komisji porozumiewawczej podbitych narodów. Niestety, im bardziej przybliżał się wyteśniony dzień wyzwolenia, tym więcej oporów psychicznych piętrzyło się dokoła! Nawet starosta zaczął wyraźnie tracić wiarę w celowość dalszych wysiłków:

— Flagę na ratuszu chętnie wywieszę, wszystko, co tylko zechcesz, proklamuję, ale...

— Ale co? — denerwował się mecenas.

— Ale obawiam się, że mogą być trudności z Eisenhowerem.

— Najpierw — planowała sobie Weronika, mrużąc jedwabne rzęsy z zachwyty, — pójdę piechotą do Częstochowy i przez dwie noce będę leżała krzyżem przed cudownym obrazem. Potem pojedę do Nowomalina. I od stacji biegiem co tchu do wioski. Szeroką piaszczystą drogą, po kostki w białym piachu, potem na przelaj przez koniczynę, pędem pod młynarzową górkę, z radosnym tupotem przez stary drewniany mostek, jeszcze kilka metrów, jeszcze trzy zdyszane kroki i już znajoma furтка, znajome kwiaty, znajome drzwi, klamka skacząca w mokrych, zamglonych oczach... O Jezusieчку najstódszy!

— A my się stąd nie ruszymy, choćby po nas samolot przysłali, póki temu ślepakowi gardła nie przetniemy nożem! — słubowali sobie Trześniak z Grzanką.

A tymczasem ślepek postanowił wprowadzić nowy rygor.

— Nie krzyczcie hop, póki nie przeskoczycie — powiedział na zbiórce — wyrzycie lepiej, głupcy, za bramę!

Rzeczywiście, za bramą przeciągały niekończące się szeregi wojska ciągnącego na zachód.

— A ciebie, panie Zakrzewski, w razie czego biorę na siebie — zaśmiał się gardłowo. Nastąpiła zła cisza. Na bruku dudniły buty niemieckich piechurów.

Im uważniej Weronika przyglądała się nowemu dozorczy, tym większy chwytal ją lęk. Bo tym jaśniejsze jej się stawało, że jednooki jest... diabłem. Upewniały ją w tym przekonaniu zarówno niezwykle ostre rysy dozorczy, jak i jego ciemno-śniada cera i wrogo płonące oko. I samogon zeń buchał zupełnie jak siarka z diabła, i kosmyki sterczących włosów nad czołem najwyraźniej układały się w rogi...

Kiedy zwierzyła się ze swego domysłu koleżankom, pani Rzęczykowa zaśmiała się zjadliwie:

— Jak dla kogo? Dla niektórych — nie taki znów ten diabeł straszny, jak go malują...

Krawczykówna przerwała paradowanie w bieliźnie pod oknami i dodała:

— Dla tych, co to modlą się pod figurą, a mają diabła za skórą...

Cała izba zaczęła złośliwie chichotać.

— O co im chodzi? — zdziwiła się Weronika — czyżbym palnęła jakieś głupstwo? Chciała powołać się na liczne opowiadania i dziesiątki powieści, potwierdzających istnienie diabłów na ziemi, ale zabrakło jej odwagi.

— Nie strugaj ze siebie aniołka — rzekła jej młodsza Gawrońska.

— O Jezu, znowuż ci mnie czegoś mdli — dodała po chwili. Weronika wzruszyła ramionami, nie rozumiejąc.



Krytycznego dnia, przed pobudką, mgr Zakrzewski zapisał w swym pamiętniku:

«Naród polski jest od stuleci świadkiem krzyżowania się na swoich ziemiach dwóch odmiennych koncepcji życia: wschodniej i zachodniej. Nowa mała Rzeczpospolita poza granicami Kraju będzie musiała stworzyć trzecią koncepcję, wybierając z obydwu dotychczasowych to wszystko, co w nich dla rozwoju ludzkości jest najpożyteczniejsze. Będzie to koncepcja centralna, prawdziwa *aurea mediocritas* dla przyszłych pokoleń! *Sic volo! Sic iubeo! Polonia Aeterna!*»

Krytycznego dnia, przed pobudką, Weronika czytała przy lichej żarówce:

«W miarę postępu duchowego stawać się będziesz coraz zdolniejszą do owocnej pracy dla dobra bliźnich. Gdybyś pragnęła jedynie tego, by zbyt ciężko nie grzeszyć i tak uchronić się od piekła, to zapewne nie jesteś z liczby powołanych. Zdarza się co prawda, że ta i owa dusza cierpi wewnętrznie i niekiedy wprost nieszczęśliwą się czuje, ale to już bywa często jej własna wina. Nie spełnia ohochniezo tych ofiar, do jakich ją Pan Bóg powołał. Lecz niech tylko wróci do pierwotnej gorliwości, a Pan Bóg hojniejszym się okaże dla niej, niż kiedykolwiek...»

O dwunastej w południe wychynęło słońce. Po chwili — wprost w oczach — poczęły z nieba znikać chmury. Nad dachami miasteczka rozkołysał się wspaniale napięty błękit.

— Wiosna narodów! — spojrzal w górę mecenas — gdybym był poetą, użyłbym porównania «słońce jak Marsylianka»...

Weronika pomimo protestów starej Niemki otworzyła w cęrowni okno na rościęż. Fala łagodnego powietrza wpłynęła do

zatechłego wnętrza. Dziewczyna wystawiła twarz na wiatr i na słońce. Na zmęczonych powiekach uczuła życzliwy oddech przedwiośnia. Z przyjemnością wsłuchiwała się w łopot własnych włosów wzdłuż skroni. Z uniesieniem wciągnęła kilka haustów świeżego powietrza. Czują jak opada z niej smutek i zmęczenie, jak wszystko w niej budzi się z odrętwienia, jak odżywa, weseleje i śpiewa! Wszystko dobre, co się dobrze kończy! Wiosna! Słońce! I z każdą godziną przybliżająca się Wolność!

O piątek po południu jednooki zbliżył się do Zakrzewskiego i bez słowa kiwnął nań palcem. Przeszli rampę kolejową i cały dziedziniec. Szli dość długo, przez rojne hale i puste zakamarki wśród labiryntu wysokich zbiorników i grubych rurociągów, oplecionych gałązkami metalowych spirali. Im dłużej szli, tym większy niepokój ogarniał mecenasa. Wreszcie poczęli się pięć po znanych, krętych schodkach i stanęli na rusztowaniu przed małą, aluminiową cysterną.

— Kto zamykał wczoraj zapasowy zbiornik?

— Ja — odrzekł Zakrzewski.

— Czym zakręciłeś?

— Jak zawsze. Dużym francuskim kluczem.

— Kran zakręciłeś?

— Zakręciłem.

— Mutry obciągnąłeś?

— Obciągnąłem.

— No to spójrz na wskaźnik!

Mecenas spojrział na szklaną laskę i w tej chwili poczuł, jak mu wszystka krew poczyna ściekać do serca: wskaźnik pokazywał ZERO!

Zbiornik był pusty! Jeszcze wczoraj przed wieczornym alarmem zapisał kredą na kontrolnej tablicy: 700 litrów. Jeszcze wczoraj...

Myśl, podcinana batem przerażenia, pracowała szybko. Gdzie jest benzyna? Jeżeli naprawdę wyciekła, muszą być jakieś ślady, musi być kałuża. Spojrział w dół. Posadzka była sucha. Gdzie jest benzyna? Przecież 700 litrów nie wsiąkło przez noc w betonową posadzkę! A może wskaźnik się zepsuł? Uderzył pięścią w zbiornik. Odpowiedział głuchy dźwięk.

Zbiornik jest pusty, zbiornik jest p u s t y, ZBIORNIK JEST PUSTY!

Defekt rurociągów? Wykluczone! Posadzka jest sucha! Po prostu ktoś opróżnił zbiornik w nocy! A więc kradzież albo... prowokacja?...

Chciał myśleć dalej, ale nagle uczuł kompletną pustkę w głowie. Pot wystąpił mu na czoło i ogarnęło go bolesne zmęczenie w mięśniach nóg i ramion.

Jednooki, jakby czytając w myślach Zakrzewskiego, zaśmiał się krótko:

— Sabotaż!

Mecenas chciał coś odpowiedzieć, ale wrogie spojrzenie dozorca spętało mu głos w gardle, chciał odrzec, że za to co się

stało w nocy, może być odpowiedzialny jedynie stróż nocny, że... Ale chociaż coraz nowe myśli tłukły mu się w skroniach, czuł coraz bardziej zaciskającą się pętlę strachu na gardle.

— Chodź — uśmiechnął się jednooki i począł go prowadzić w stronę fabrycznego aresztu.

— Jestem niewinny! — krzyknął na głos Zakrzewski — to ja-kaś podła intryga!

— Intryga — zdziwił się dozorca i jednym ciosem pięści wbił Zakrzewskiemu dalsze słowa w gardło, — doświetlenia intryg służą w tym kraju sądy doraźne!

Zakrzewski umilkł i spuścił głowę. Bez słowa protestu pozwolił się dozorczy związać. Jednooki wyjął z kieszeni przygotowany postronek i bez pośpiechu związał mu w areszcie ręce i nogi. Potem obalił spętanego na betonową posadzkę, drzwi zamknął na klucz, klucz schował do kieszeni i gwizdząc wyszedł. Zakrzewski jak przez filcową kotarę posłyszał oddalające się kroki, uczuł dudnienie krwi w tyle głowy i wpadł w omdlenie.

W chwilach nagłych nieszczęść mózg p. Rzeczykowej pracował niespodziewanie jasno i szybko, bez toksyny lęku, bez chwili wahania i słabości. Tak było podczas wrzesniowego oblężenia Warszawy, kiedy z płonącego domu potrafiła wynieść niemal cały swój dobytek. Tak było przed rokiem, w czasie «nakrycia» konspiracyjnej komórki na Pradze, kiedy wśród fali aresztowań, tak jak stała, znad brzegów Wisły wymknęła się aż za... Łabę. Tak było i teraz. Wiadomość o nieszczęściu mecenasa, ku zdumieniu Jaskólskiego, przyjęła z suchymi oczami i z niezmałym oddechem.

W całej sprawie — zaczęła się zastanawiać — są pewne jasne punkty. Uplłynęły już dwie godziny, ale policja jeszcze nie przyjechała z miasteczka. Normalnie zjawia się w kwadrans. Kiedy Kubik ukradł kilogram cukru, zjawiała się w pięć minut po «wypadku». Oznaczałoby to, że jednooki jeszcze nie zatelefonował po policję. Mało tego — o wsadzeniu pana Piotra do aresztu nie powiadomił nawet władz fabrycznych. Jak dotąd — nikt jeszcze nie przybiegł z biura. Dlaczego jednooki nie zadzwonił po policję? Dlaczego nie zawiadomił dyrekcji fabryki? Czyżby nie chciał wziąć na siebie zasługi wykrycia sabotażu? To przecież takie jasne: on nie ma żadnych dowodów przeciwko mecenasowi. Dowodów? A po cóż dowody? Polaków zwykło się sądzić bez dowodów, bez świadków i bez przewodu sądowego. Wystarczy sam fakt, że są Polakami. Dlaczego jednooki nie zadzwonił po policję? To jasne: sam spuścił w nocy benzynę do beczek (a może ją ukradł?) i boi się odpowiedzialności. A teraz spostrzegł, że zabrnął w swym wybryku za daleko. Czyli, że przetrzyma mecenasa przez parę dni w areszcie, nasyci się zemstą, widząc jego przerażenie, będzie mu co chwilę groził sądem polowym, rozstrzelaniem, powieszeniem... ale w końcu go wypuści? A jeżeli nie wypuści? A jeżeli zadzwoni po policję? A jeżeli już zadzwonił?

Rzęczykowa czuła, że jeszcze kilka minut, a ogarnie ją fala paraliżującego lęku.

Należałoby porozmawiać z nocnym stróżem. Czy i kto kręcił się w nocy wokół cystern A może sam jednooki? Stróż przychodzi dopiero o ósmej. Teraz jest siódma. Niepotrzebna strata czasu. Każda minuta jest droga. Jaskółski twierdzi, że mecenas przez całą noc spał obok niego. Ale cóż znaczy dzisiaj alibi? Przeszły sposób wykazywania niewinności. Gdy dojdzie do przesłuchiwań, Piotr śledztwa nie przetrzyma, zaczyna go bić, przyzna się do wszystkiego, nawet do rzekomego «sabotażu». Czy rzekomego? A może mecenas naumyślnie nie zamknął kranu? Ale Jaskółski twierdzi, że podłoga była sucha! 700 litrów (trzy i pół beczki) nie mogło wyparować. Zaraz... zaraz... a jeżeli jednooki zechce..

W tej sekundzie przyszła jej nowa myśl do głowy. Widać najlepsza z dotychczasowych, bo uśmiechnęła się sama do siebie...

Starosta Jaskółski do tej samej myśli doszedł znacznie wcześniej i szybciej. Z jednookim — powiedział sobie — trzeba po prostu pogadać. Któż to ma zrobić jak nie Weronika!

Pobiegli do niej czym prędzej.

Ostatnie zajście żywo wstrząsnęło polską gromadą. Mecenasa od daty pierwszego występu nowego dozorca całkowicie odzyskał sympatię towarzyszy niedoli. Pamięć ludzka, a zwłaszcza polska, odznacza się szlachetną nietrwałością. (*Obit Sakschewsky, natus est Zakrzewski* — pokpiwał sobie w myśli starosta).

Weronika, chociaż dawniej nie czuła sympatii do Zakrzewskiego, szczerze żartowała się jego losem. Ostatnimi bowiem czasy, kiedy mecenas na skutek nieustannych szykan jednookiego, coraz częściej i żarliwiej mówił o wschodzącej jutrzence wolności, przy wydatnej pomocy p. Rzęczykowej, zwolna wyrastał na prawdziwego męczennika.

Widząc łzy w oczach pani Heleny i strapioną twarz starosty, uczuła lęk o życie uwięzionego.

— Łada dzień mogą wejść Amerykanie — próbowała pocieszyć panią Helenę.

— Ach, moje dziecko, — westchnął starosta — na to nie ma co liczyć...

— Może go uniewinnią — podsunęła cicho.

— Kogo raz zamykają, tego już nigdy nie uniewinniają. Chyba że cud Boży albo nagła śmierć ocaliłoby go przed dalszymi męczarniami...

— Do ciebie się zwracam, moje dziecko — rzekła miękko pani Helena, obejmując dziewczynę w pól — abyś modłami swymi zechciała uprosić niebo o szybki ratunek dla nieszczęśliwego. Pamiętasz, coś mi kiedyś opowiadała, Weroniko? Z wielu tysięcy dziewcząt właśnie ciebie powołała Matka Boska do świętej służby swojej! Ciebie sobie upatrzyła! W tobie sobie umitowała!

W twojej duszy szlachetnej, w twoim sercu niewinnym...

Weronika poczuła na twarzy jej zimny policzek.

— Módl się za niego, córeczko, — ciągnęła pani Helena, —

wstaw się za nim, biednym, do Matki Boskiej, twoje modlitwy na pewno zostaną przez Nią wysłuchane... Tyle niedoli dokoła! Takie wielkie nieszczęścia zsyła Opatrzność na biedny naród polski! Za jakie grzechy nas karzesz, o Panie?... Duch nieprawości chodzi po ziemi, szatan przewrotny...

W tym miejscu staroście się wydało, że Rzęczykowa galopuje na złym koniu. Tracił więc ją lekko butem w nogę.

...i wokół naszej gromady krąży siła nieczysta. Rację miałaś, Weroniko! Jednooki to diabeł wcielony. Twoje serce pierwsze go przeczuło, ale myśmy cię wówczas nie pojowali!...

Starosta nabierał coraz większej pewności, że Rzęczykowa gra na złej nucie. Wtracił się więc zgrabnie:

— Gdyby chodziło o kogoś innego, mniej wartościowego! Ale tutaj chodzi o pana Piotra. Nie wiem, czy słyszałaś, Weroniko, bo dotychczas było to otoczone wielką tajemnicą, kim właściwie jest mecenas? Dzisiaj możemy ci powiedzieć wszystko: to wódz, ukrywający się w przebraniu robotnika. Jeden z najlepszych i największych synów naszej ojczyzny! Plany, jakie już teraz przygotował na okres powojenny, przyniosą pożytek całemu narodowi polskiemu...

— I kościołowi świętemu — wtraściła Rzęczykowa.

— Całemu światu — licytował starosta.

— Dureń, wszystko zepsuje przez swoje gadulstwo! — pomyślała Rzęczykowa.

Zegar wybił w pól do ósmej. Starosta i Rzęczykowa spojrzeli po sobie. Prędzej, prędzej! — przeszło im jednocześnie przez skronie.

— Weroniko, pomódl się za niego — szepnął ciepło starosta.

— Cóż pomoże sama modlitwa bez dobrych uczynków? —

zamyśliła się Rzęczykowa — tu trzeba coś czynić, ale co?...

— Ale co? — zaszepił się starosta — wszystko zależy od jednookiego.

— Tylko od niego zależy, — potwierdziła Rzęczykowa, — czy pan Piotr zostanie skazany na karę śmierci czy będzie wolny i razem z nami doczeka powrotu do wolnej ojczyzny...

— A gdyby... — podsunął starosta.

— Gdyby co? — spytała pani Helena.

— Sam już nie wiem, co czynić — rozłożył ręce Jaskółski i głos mu nabrzmiął wzruszeniem — przecież ja do niego nie pójdę, bo mnie tak samo aresztuje jak pana Piotra...

— Ja bym natychmiast poszła — poczęła się niecierpliwie Rzęczykowa, — Bóg mi świadkiem że pierwsza poszłabym prosić o darowanie życia Piotrowi, bo uważam to za swój chrześcijański obowiązek wobec Boga i wobec bliźnich, ale nie wiem, czy Anioł-stróż będzie stał za moimi plecami w czasie tej rozmowy...

— Zwariowała! — pomyślał starosta,

...za mało modliłam się ostatnio, za mało myślałam o Panu Bogu i Najświętszej Paniencie...

— Bezczelna baba! — wzdrygnął się w duchu Jaskółski.

Nastąpiła chwila ciszy. Spojrzeli na dziewczynę z oczekiwaniem.
— To może ja pójdę — szepnęła Weronika.

Odtechnęli.

— Każda minuta jest droga! — zaczęli ją poganiać. — Nie wolno ci się spóźnić! Pamiętaj, tu chodzi o życie człowieka!

Weronika wstała z pryczy i wyprostowała się z uśmiechem. Poczowała w sobie nagle jakąś moc przedziwną, która ją przeniknęła jak strumień łaski. Dopiero teraz zaczęło jej świtać, że spotkanie, które ją czekało, przeczuwała właściwie już od dawna, że na dnie duszy, za ścianą snu i lęku wizja tego, co miało wkrótce nadejść, drzemała w niej od wielu lat. Jakby budziło się w niej jakieś inne, drugie życie, przyczajone od niepamiętnych czasów. Jednocześnie ogarnęła ją dziwna radość, jaką daje człowiekowi zwycięskie pokonanie własnego lęku.

Zapowiadał się jakiś niezwykły wieczór. Już ósma, ale jeszcze nie ma alarmu. Już ciemno, ale na bezchmurnym niebie jeszcze nie widać gwiazd ani księżyca.

Weronika szła przez zmierzch jak w lunatycznym uśpieniu. Dopiero wchodząc na brudne wydeptane schody spostrzegła, że na każdy brany stopień przypadają dwa uderzenia serca. Były to jednak uderzenia tak głucho, jakby nie z jej piersi.

Kiedy weszła do jego pokoju, siatkówka jej rozszerzona oczu poczęła notować szczegóły obrazu z zaostrzoną wyrazistością. Pokój był mały i kleił się od brudu. Kotara na oknie zrobiona z fabrycznego worka. Na samym środku stał żelazny piec z długą, dymiącą przez szpary rurą. Usłyszała syk mokrego torfu. Na piecu stał duży aluminiowy garnek, w którym coś się gotowało, bo co chwilę para podrzucała pokrywkę. Niedaleko drzwiczek od pieca, wśród rozsypanego popiołu, leżały wysokie, zabłocone buty. Na połowym łóżku leżał czarny gumowy płaszcz od deszczu. W powietrzu unosił się zapach dymu i alkoholu.

Jednooki stał w kącie izby w białym swetrze, z rękami w kieszeniach spodni i wolno rozdeptywał nogą niedopałek papierosa. W świetle słabej żarówki ostre rysy jego twarzy zlewały się w jeden trójkąt, przekreślony czarną opaską.

W pewnej chwili Weronika przeraziła się, gdyż niespodziewanie usłyszała swój własny głos. Brzmiał dziwnie obco i drewniano. Im dłużej i głośniejsze mówiła, tym cudzej brzmiały jej własne słowa.

Jednooki wyjął ręce z kieszeni i podszedł do pieca. Pokrywka hałasowała coraz głośniejsze.

Nagle chwycił ją przestraszona cisza, jaka nastanie po wypowiedzeniu ostatniego zdania. Mówiła coraz wolniej i coraz ciszzej, aż uczuła pierwszy mroźny podmuch lęku. Myśli poczęły jej się plątać w głowie. Słowa zapadały z powrotem w gardło.

Jednooki podchodził coraz bliżej.

Rosnący trójkąt jego twarzy począł szybko wirować wokół czarnej opaski.

Otworzyła usta, aby krzyknąć, ale dźwięk zastępnął jej w gardle.

Chciała cofnąć się o krok w tył, ale nogi wrosły jej w ziemię. Przestraszony chwycił ją za włosy.

Coraz szybciej wirujący trójkąt rósł z każdym ułamkiem sekundy.

I nagle syknęła z bólu. Uderzył ją w oczy snop ostrego światła.

Chciała instynktownie zasłonić twarz rękami, ale płonące oko dozorczy poraziło jej mięśnie.

Podniósł ją z ziemi jak dziecko i wziął na ręce.

— Nie zaglądać mi w twarz, Weroniko! — przebiegło jej w ostatnim strzępie sekundy przez głowę. Usłyszała brzęk spadającej pokrywki i osunęła się w ciemność.

Od strony Bergen słychać było nieregularną strzelaninę. Tylko od czasu do czasu coś wybuchało, aż szybko skakały w oknach. Przez miasteczko przelatowali w popłochu motocykliści w hełmach. Do biura od samego rana nikt nie przyszedł. Za bramą fabryki, jak okręty oblepione wodorostami, przepływały zabłocone limuzyny, z piramidami walizek na dachach.

Tysiące uciekinierów parły ze wschodu na zachód, niosąc straszne wiadomości o płonącym Berlinie. Tysiące uciekinierów parło z zachodu na wschód, gnane łoskotem amerykańskich czołgów.

Rozwścieczony oficer SS, nie mogąc przepchnąć kolumny sanitarnej przez zatarasowaną drogę, rozkazał spychać prywatne auta do rowu. Z limuzyn wyskakiwali oburzeni dostojnicy partyni. Kobiety dostawały ataków hysterii.

Nagle ktoś krzyknął w tłumie:

— *Die Amerikaner!*

Wybuchła nieopisana panika. Oszałały tłum rzucił się do ucieczki, ale u wylotu ciasnej ulicy zbił się w gęstą, rozedrganą krzykiem, rękami i nogami masę. Żołnierze wpadali do bram i do mieszkań. Odpinali pasy i odrzucali broń. Ranni wyskakiwali z ciężarówek, kuszący się na szosie. Na rynku były dzwony, na dachach wyły syreny, z ratusza spłynęła biała flaga.

— FEINDALARM!

Po kilku minutach uliczki opustoszały. I tylko kilku stratanym, leżało na jezdni.

— AMERIKA KOMMT! — wył jakiś ranny w rynsztoku — AMERIKA! — AMERIKA!

Od strony Bergen zaleciał pierwszy odgłos trzasku.

— Jezusie! — krzyczał na pół przytomny Trześniak.

Trzask rósł z sekundy na sekundę.

— Chorągiew polską na komin! — ryknął starosta.

Już ich było widać. Czarny pas dymiącego warkotu.

— *Vive la France!* — wrzasnęli Francuzi i rzucili się sobie w objęcia.

Już ich lepiej widać! Pas rośnie w oczach! Cała dudniąca barykada żelaza!

Konwojent z porcelanową fajeczką przesadził parkan i począł uciekać w stronę mokradel.

— *Udiraj! — Udiraj!* — krzyczeli mołojcy.

— Gdzie jest jednooki? — biegła Grzanka z siekierą po dziedzińcu — gdzie jest ten sk...!

Wszczął się krzyk i głośny płacz radości.

Wolno posuwająca się ściana ciężkich czołgów zatrzymała się w obłoku niebieskiego dymu tuż u wylotu miasteczka.

W tej chwili nad dachami przeleciało z gwizdem kilka samolotów, rzucając tysiące ulotek.

Po oddaniu ostrzegawczej salwy w powietrze, Amerykanie zwolna wjeżdżali do miasta. Zrobiła się wielka cisza. Nikt już nie krzyczał, wszyscy chłonęli oczyma widowisko, porównywali je w myśli ze swoją, od lat pieczołą na dnie serca wizją, otwierali usta i ściskali ręce na piersiach.

Na każdym czołgu siedzieli kilku omączonych pyłem żołnierzy w dużych szerokich hełmach, pokrytych siatką ze sznura. Przyłożoną do policzków broń kierowali w okna. We wszystkich oknach łopotwały już białe prześcieradła, ręczniki i chusty.

Dudniący pochód stanął. Żołnierze nie odrywali broni od policzków.

Wybiegł błydy pastor w sutannie z ogromną białą flagą w ręku, i wraz z jakimś staruszką poddali miasto.

Znowu zerwał się gejzer okrzyków.

Mecenas z gotowym memoriałem w języku angielskim i francuskim za pazuchą wybiegł przedstawić się amerykańskiemu dowódcy.

Pani Rzęczykowa w pośpiechu rozdawała zebranim na dachu dziewczętom przygotowane kwiaty.

— Murzyn! Murzyn wyszedł z czołga! — piszczały z uciechy siostry Gawrońskie.

— *Go home!* — krzyknął pierwszy zaczepiony przez Zakrzewskiego żołnierz.

— *My name is Zakrzewski* — przedstawił się mecenas. — *I am a Polish leader.*

— Pani Rzęczykowa, pani Rzęczykowa — jakie ładne chłopcy! — klaskała młodsza Gawrońska.

— *Go home* — powtórzył żołnierz, mrużąc oczy.

— *Excuse me* — ponowił rozmowę mecenas — *I am...*

Siedzący na burcie czołga żołnierz zdzielił go butem w piersi.

— JeJ kwiatów nie dawajcie! — krzyknęła Krawczykówna, patrząc na Weronikę.

— Powiedz nam lepiej, gdzie twój ślepy ptaszek wyfrunął? — szarpnęła ją za ramię Gawrońska.

Mecenas odszedł od czołga ze łzami w oczach.

Weronika spojrzała błagalnie na Rzęczykową, wyczekując od niej ratunku, ale Rzęczykowa była zajęta wiązaniem bukietów.

Amerykanie zaczęli rzucać w tłum paczki papierosów. Jeden z nich wziął małe dziecko na rękę i posadził je na czołgu.

Weronika poczuła łzy w oczach. Sama już nie wiedziała, czy

to były łzy radości czy łzy upokorzenia. Pomimo choroby zwlekała się z pryczy, aby na własne oczy ujrzeć dzień triumfu. Od dwóch dni, to jest od dnia, w którym Zakrzewski odzyskał wolność, trawiła ją gorączka.

Bez słowa zeszała z dachu i drżąc z zimna, wróciła do swej cerowni.

Położyła się na stercie worków, przy otwartym oknie.

Na dworze słychać było krzyki, śpiewy i oklaski. Święto dochodziło do zenitu.

— *Jeszcze Polska nie zginęła!* — zaintonował starosta.

— Jednak Bóg ich pokarał — pomyślała Weronika i po raz pierwszy od tamtego czasu uśmiechnęła się.

...*póki my żyjemy!* — dolatywało z podwórza.

— *Maskwa maja, charoszaja!* — huknęło w drugim kącie podwórza.

Od strony Bergen nadjeżdżało coraz więcej łoskotu i trzasku. Górą słyły formacje samolotów, srebrno prując powietrze na strzępy.

...*«już tam ojciec do swej Basi mówi zapłakany...»*

Do cerowni wpadło słońce i położyło się na workach.

— Taki sam dzień, o jakim sobie zawsze marzyłam — pomyślała Weronika — chorągiew na kominie, i kwiaty, i śpiewy, i słońce, i dzwony kościelne...

...*«patrzaj jeno, pono nasi biją w tarabany!»*

Poczuła dotyk słońca na twarzy.

— Niech żyje Ameryka! — krzyknął starosta.

— Niech żyje! Niech żyje!

— I Anglia! I Francja! Niech żyją!

Nagle rozpląkała się na głos. Do cerowni wdary się skoczne i radosne tony, wprost spod serca wyjęte!

To chłopcy z sąsiedniej wioski przygnali zaprodukować Amerykanom swoją amatorską orkiestrę:

— *«Łączko, łączko, łączko zielona...»*

Magister Zakrzewski był w swoim żywiole. Nie zrażając się pierwszym niepowodzeniem, rzucił się razem ze starostą w wir pracy organizacyjnej. Powstał «Tymczasowy Naczelny Komitet Porozumiewawczy» (T.N.K.P.). Pani Helena prowadziła kartotekę i wydawała legitymacje. Mecenas w dniu 3-go Maja przemawiał na balkonie o koncepcji centralnej. Jadła było w bród. I ubrać się było w co, bo rozweseleni mołojcy złupili wszystkie magazyny w mieście. Ach, jak oni to robili! Ślubne welony darli na strzępy, cylindry dziurawili jednym uderzeniem pięści, pierze z pierzyn fruwało po całym mieście jakby śnieg padał, radioaparaty leżały w rynsztokach, nagie manekiny z wosku ciągnęły za nogi po ulicy, a gdzie spostrzegli szufladę, to w nią nasrali. W końcu ze śpiewem wymaszerowali zwartym oddziałem na wschód, prowadząc po dwa rowery na osobę. Tak jest, prowadząc. Na naukę jazdy jeszcze nie było sposobności. Po Amerykanach nastali Anglicy. Nie było już tak wesoło i mniej

strzelano w powietrze. Ale mecenasa traktowano grzeczniej. W pokoju *Town majora* podawano mu krzeselko i z cierpliwością wysłuchiowano jego koncepcji.

Danziger po kryjomu przed młodszą Gawrońską ulotnił się w rodzinne strony, do żony i dzieci. Pewnego dnia przyjechał polski oficer łącznikowy. Z nabożeństwem dotykano jego polskich odznak. Był krępy, znakomicie odżywiony i wygolony. Typowy kasynowy mopsik. Nosił laseczkę w rękę i co drugie słowo mówił *sorry* albo *okey*. Z miejsca wziął się za Zakrzewskiego i jego małą Rzeczpospolitą. Zabronił mu przemawiać z balkonu. Niewierny starosta natychmiast wszedł z nim w konszachty i sam się obwołał prezesem wszystkich miejscowych Polaków. Nie pomogły protesty pani Rzęczykowej, Zakrzewski poszedł w odstawkę.

Tymczasem Rosjanie po wzięciu Magdeburga stanęli na Łąbie. W dniu 3 lipca 1945, w myśl dawno zapadłego porozumienia, Anglicy mieli opuścić miasto i oddać je wojskom sowieckim, gdyż w tym punkcie Niemiec «należał się» im jeszcze kawałek ziemi na zachód od Łąby. *Town major* zarządził natychmiastową ewakuację wszystkich Polaków na zachód. Niemców ogarnęła panika. Poczuli masowo uciekać w stronę Uelzen. Ale *Town Major* kazał zabarykadować szosy i uciekinierów zatrzymywać siłą.

O siódmej rano nadjechały angielskie ciężarówki na punkt zborny.

Dzień zapowiadał się upalny. Na niebie nie było ani jednej chmurki. Dwóch polowych żandarmów asystowało ewakuacji. W białych szelkach i pasach, z długimi rękawicami stali bez życia, jak dwa posągi, nieczułe na wszelką dołę pozabrytyjską. Oficer łącznikowy w trzy ówciowym paltociku, w nowiutkim bereczku ze srebrnym orzełkiem kołysał się na piętach i odczytywał robotników po nazwisku.

Wyczytany chwycił swe toboły i rzucał na ciężarówkę, po czym gramolił się do wnętrza. Pierwsza załadowana ciężarówka ruszyła z polską chorągiewką na zachód.

— Szybciej, do jasnej cholery! — denerwował się oficer — za godzinę wchodzi tu sowieciarze!

Mecenas załadował swe akta do teczki i wdrapał się na górę. Po czym Rzęczykowa. Starosta z Trześniakiem. Grzanka z Krawczykówną. Siostry Gawrońskie. Młodziej Gawrońskiej podano rękę. Teraz ładowano ich bagaż. Było tego co niemiara. Pół magazynu złupionego przez mołojców.

— Szybciej, do jasnej cholery! Na drugim końcu miasta stoją bolszewicy z zapalonymi motorami.

Jeden z żandarmów spojrzął na zegarek.

— Jeszcze pięć minut!

— Kiedy Weronika podeszła ze swoim drewnianym kufrem do auta, oficer spostrzegł ze zdumieniem, że nie było jej na liście.

— Ta niech tutaj zostanie! — krzyknęła Krawczykówna.

— Cicho, dajcie spokój — szepnął starosta.

— Nie! — zaprotestowały Gawrońskie — ta z nami nie pojedzie.

— Dlaczego? — zdziwił się oficer.

— Bo ona żyła z Niemcem! — odkrzyknął ktoś z głębi ciężarówki.

— Z największym mordercą Polaków w naszej fabryce! — potwierdził ktoś inny.

— Nie brać! Nie brać jej! — odezwały się głosy.

— Proszę odejść — odsunął oficer Weronikę laseczką — wasze miejsce jest gdzie indziej.

Weronika chciała się instynktownie ucześcić wozu, ale nie ruszyła się z miejsca. Spuściła głowę, i poczuła bicie serca w środku czoła.

— Odjazd! — krzyknął oficer i wskoczył do budki szofera.

Motor zaszczekał. Wóz drgnął. Nieruchomi żandarmi wskoczyli na błotniki.

Ciężarówka podskoczyła kilka razy na wybojach i ruszyła z miejsca. Potem robiła się już coraz mniejsza i mniejsza, aż zniknęła w obłoku skłębionego kurzu.

Weronika stała jeszcze chwilę, po czym otuliła się płaszczem. Chciała płakać, ale łzy nie płynęły jej z oczu, chciała gdzieś biec, ale nie wiedziała dokąd, chciała się modlić, ale nie wiedziała o co.

Zeszła z głównej szosy na boczną drogę, a potem bezwiednie skręciła w bok i szła na przełaj łąkami. Jak tu zielono — zdziwiła się.

Trawa chłodziła jej nogi. Szelest trawy uspakajał jej wewnętrzny dygot. Zanurzyła ręce w trawie. Czuliła chłodny, miękki dotyk soczystej, zielonej trawy. Obejrzała się dokoła. W dali leżało miasteczko, na szczycie kościelnej wieży paliło się słońce, na dalekich drogach powiewały wstęgi kurzu.

A tutaj, jak okiem sięgnąć — zielona równina, aż po horyzont. Na samej krawędzi nieboskłonu ujrzała samotne drzewo. Ucześciła się tego punktu jak ostatniego ratunku. Przeskakiwała rowy i zaskakiwała, przechodziła po wąskich kładkach. Chwilami biegła. Chwilami przystawała, mocując się z własnym oddechem.

Robiło się coraz jaśniej. Przez zielenie przechodziły smugi żółtego wiatru.

W pewnej chwili zamknęła oczy i zaczęła iść w zupełnie innym kierunku. Wreszcie weszła na szeroką drogę, której z daleka nie było widać. Poczuła żwir pod nogami. Ocknęła się z zamyslenia i z gonitwy. Kilka metrów przed nią szedł dziwnie znajomy mężczyzna w czarnym, gumowym płaszczu.

Dobiegła doń i bez słowa wsunęła mu rękę pod ramię.

Był to jednooki. Poszli razem.

Ukraina

Fragmenty

1

Zielenią wzgórz się rwałaś w dale ślepe,
po nocach bujnym szeleściłaś ślepem,
Peruna pochwalalaś i Swaroga,
nie wiedząc jeszcze gdzie jest twoja droga.
W zradne objęcia hebrajskiego czaru
przyzywał cię podstępny głos Chozarów,
i Pieczyng wabił w dymne swe namioty
nad koczowniczych ognisk płomień złoty.
Żeć winna radość była nazbyt miła,
raj Mahometa również odtrącałaś,
i próżno pieśnią rozhuczanych dzwonów
wołała Roma na papieskie łono.
Aż inna moc i mroczny dech cię owiał:
w ornatkach ze starego złotogłowa
Bizancjum szło ku tobie znamienite,
opadło cię urocznych wieków mitem
i, święte i obtudne, przyjaźń kłamiąc,
dało ci piaszcz cesarski z własnych ramion.

2

Gdzie u porohów zradnych rozszalała
dnieprowa fala łamie się na skałach
i wiatr nad ługiem płacze tęsknym tonem,
tam hodowałaś kwiaty zapóźnione
okrucieństw, bohaterstwa i poświęceń,
i tkalaś szaty z nich ku własnej męce.
Nie wskrzesić żadną sztuką tajemniczą
tych czasów, co przewiały ponad Siczą!
Bohdana uczta, krwawym snem kozaczym
zamknęłaś krąg, który ci Bóg wyznaczył.
Jak słońce, już bezsilne, kiedy gaśnie
wśród mrocznych chmur i zgnitych slot, tak właśnie

w rudych bajorach, na moskiewskich błotach
dogasta twych pożarów łuna złota.
W jasnym płomieniu obudzonej sławy
stanęłaś jeszcze w czarnych dniach Pottawy,
kiedy w legendę wiódł bojowe szyki
król zwyciężony, twój ostatni wiking.
Ściśnięte Piotra prawicą złowieszczą,
trzeszczały kości od straszliwych pieszczot,
i bezlitosny czas twe ciało smagał.
Spragniona, głodna, nędzna i półnaga,
tyś wypełniła niesyte mokradła
czuchońskich pustek własnych dzieci padłem.
Z twych kości, co wśród torfu kamieniły,
z ciał ludzkich, co na mrozie zastygały,
fundament rósł — i ku bezludnym wydmom,
jak błotna zmora, jak tajemne widmo,
rozlana po zatrutych, mglistych polach,
liszajem petzła nowa metropolia.
Powoli puchło ciężką, wzdętą tuszą,
na strach Gruzinom, Finnom i Inguszom,
Kirgizom i Czerkiesom nienawistne,
Imperium nienażarte i zawistne.
Puchło i rosło w zgnitej ćmie tumanów,
w świsty sybirskich tajg i brzęk kajdanów,
w szum ukraińskich grabów i kasztanów.

3

Czym wzbierał nasz wiek
w głosy zdyszane,
co rosnę w jęk,
w bezskrzydły lament,
czym gniew się w męce
rosł i rozniecał,
tłumiony poprzez stulecia;

krzyk, co się zdart
na łachman rozpaczy,
kipiący war
nadziei i płaczu,
nienawiść i zemsta głucha,
to wszystko naraz wybucha
w ekstazie ducha.

Wijące skrzydła łun
tam nad wiekami.
Przestrzeń bez granic
tutaj przed nami.
To czas nasz rozkwita
na nieba szczytach
w blasku ognistych świtań.

Dniom nadchodzącym na znak
trąby wołają w górze.
Już wieszczą ptak
burzę świata wyróżył.
Komu żywioły huczycie,
komu dzwonicie
o płomienistym świecie?

Stysz, idzie z góry
w burzy i w gromie,
uderza o mury
trawiący płomień,
smaga nam skronie,
wzbiera i płonie
ogień i wicher Bożych dłoni!

4

Tobie, pramatko, składam hołd
z tych czarnych lat, zanim je pył okryje.
Lecz cóż ci lęk, co drżące krtanie zdjęt,
i śpiew, co wilczym głosem wyje!

To nam pustkowie pól i groźny czas,
włóczęga, której kresu nikt nie dojrzał.
A tobie, tobie piękno gwiazd
i przyszłych świtań złota zorza.

Nam tylko iść przez smutek lat,
wśród nocy, której stawa nie zaświeci,
a tobie już wiosenny, młody świat
w skrzydłach sztandarów rwie naprzeciw.

Z obczyzny stron daleki wiatr,
wspomnieniem do twych rąk dobiegnie kiedyś
o męce dawno zapomnianych lat,
o snach dzisiejszej naszej biedy.

Lecz cóż ci ten tragiczny szept,
tobie, co w dniach wrodnych i surowych,
wpatrzona w światła swych dalekich meł,
odchodzisz, nie zwróciwszy głowy!

Idących czasów ciężki pług
niech zdepcze i przeorze nas ze szczerem.
Przyszłości wypatrując nowych dróg,
skrzydlate stoją już okręty.

Szeroka przestrzeń patrzy w krąg,
już w żaglach wiatru siła wieszczą,

i ktoś zamachem krzepkich rąk
bramy otworzył im na przestrzał.

Myśmy odeszli w wieków dal,
co przeminęła jako śpiew nasz ślepy.
A już lemieszów błyskająca stal
rozdziiera ostro czarne stępy,

już święty deszcz pokropił łany żyt
i gęsty ktoś wywija się z ukrycia,
i wszystko z ziemi pnie się wzwyż
do słońca, ciepła i do życia.

Przełożył Józef ŁOBODOWSKI.

Trzy sonety o Salomei

PAWŁO FYŁYPOWYCZ

*
* * *

Na próżno prorok szedł z bezładnej kniei,
na próżno gniew judejską ziemię kroczył —
są tylko białe dłonie jej i oczy,
tylko namiętny taniec Salomei.

I cały teatr w ślepych żądź zawieci
stanął, jak w wichrze rąk jej i warkoczy,
a gdy ci serce słodki czar zamroczył,
już umknąć mu nie mogłeś mieć nadziei.

Uroda wieczna! Zmysłów straszna siła!
Tybyś lud cały w ogniu spopieliła,
iżby nad niebo twoją rozkosz przeniósł!

W twych rękach misa z jego głową krwawą,
i życie swoje chętnie dasz za prawo
na wieki w ludzkim ostać się marzeniu!

Nota tłumacza: Jurij Klen podaje w swoich wspomnieniach o neoklasykach kijowskich następującą historię zamieszczonych trzech sonetów. W lecie roku 1919 wystawiono w Kijowie „Salome” Oscara Wilde’a, i jeden z poetów, Pawło Fyłypowycz, przejęty tańcem aktorki, grającej rolę tytułową, napisał sonet, w którym dał wyraz swemu zachwytowi. Inny neoklasyk, Mykoła Zerow, ustosunkował się krytycznie do treści utworu Fyłypowicza, a w odpowiedzi na wiersz swego przyjaciela Zerow napisał również sonet na ten sam temat. W kilkanaście lat później Jewhen Małaniuk podjął

MYKOŁA ZEROW

*
* *
*

*Tam lewentyjski księżyc sprawia czary
i krew gorącą w każdym sercu burzy,
tam miłość wzrasta kwiatem dzikiej róży,
i wszystko we krwi .. berta, wieńce, tiary.*

*A wieszcz zwiastun nieminionej kary
gromami słowa spokój nieba chmurzy...
Johanaan... Bóg go za narzędzie użył —
w jego kazaniach puszcza i pożary.*

*I Salomea... toż to dziecko — dziecko! —
a już otrutą spija się zdradziecką,
idzie z nią miecza cień i zemsta dzika.*

*O, duszo moja! — żegluj w owe strony,
gdzie wpośród skał, od słońca rozżoconych,
stoi wysmakta, jak promień, Nauzyka.*

JEWHEN MAŁANIUK

*
* *
*

*To nie w Judei... To nad Ukrainą.
proroka głos w struchlatej przestrzeni,
i rudy dym nad stepem snut się sinym
i dzwon alarmu strachem serca niemił.*

*I zwała dal... Syn marnotrawny ziemi,
zapartszy dech, w ślad dziewczki wzrokiem płynął,
za ruchem nóg, pojącym go, jak wino,
za jej biodrami, w tańcu węzowymi.*

*Tańczyła wolno, szła w zmysłowej nucie,
mistrzyni grzechu i znawczyni uciech,
padalec w przezroczyściej mgły zawojów —*

*o, nie, nie Sulamita ciemnowłosa,
nie Ruth, chodząca po dojrzałych kłosach,
lecz Salomea — mroczna zguba gojów.*

Przełożył Józef ŁOBODOWSKI.

problem Salomei, idąc na ogół po linii interpretacji Zerowa. W walce z trudnościami technicznymi przy przekładaniu trzech sonetów, tłumacz zmuszony był zrezygnować z kilku rymów męskich, zastępując je żeńskimi.

Obca wolność

*Odmierza czas drzenie liści słonecznych tak wielu
i spokój piękny jak myśl dziecinna na drzewach się rozpiął.
Ku zielonej przestrzeni mnie skieruj,
abym wolna nareszcie wyrosła,
jasny Boże, co w rękach masz gromy,
chociaż serce ciche od dobroci.*

*Zapomniałam już kraju, choć wszystko
z niego w świecie ma dla mnie początek:
przecież w drzenie słonecznych liści
wiatr się polski wieczorem zaplątał,
przecież żyta są jasne jak na wsi,
w której zawsze ludzie strachem żyją.*

*O daleka, żołnierska ojczyzno,
trudnie rąk i cmentarzu młodości
i tułaczko bez rachuby lat.*

*W obcych drzewach polski błdzi wiatr,
błyszczą trawy i chwieją się chwile.
O daleka, żołnierska ojczyzno,
trudnie rąk i cmentarzu młodości —
na ramionach cały nosisz świat —
obca wolność bez własnej wolności.*

Do Matki w kraju

*Ziemia tu, o zachodzie jest prawie bolesna,
biały kurz drzewa nikłe jak serce oblepił.
Matko moja najświętsza, ciszo moja srebrna,
wiem, że siwe powieki zamknęłaś, lecz nie śpisz.*

*Ty jesteś chwil dalekich jesienną modlitwą —
i ręce, jak w dzieciństwie składałam Ci u kolan —
Droga moja, cóż znaczą drobne moje pismo,
kiedy chwile samotne jak ciernie nas bolą?*

*Niedługo wejdą gwiazdy. Te same co u was.
Każda z nich jest tęsknotą, albo mym spojrzeniem.
Kiedy patrzysz na gwiazdy, to sobie wytłumacz,
że mieszkam w Tobie cała, jak przed mym istnieniem,*

że mnie, co jestem ziemi mej rodzinnej promień,
na nowo dla tej ziemi znękaney urodzisz,
bym się mogła znów oddać jej w powszednim bólu,
jak oddałam już wszystko: krew, młodość i młodość.

Józefa RADZYMIŃSKA.

Przyszłość

Może zmienią się profile miast.
Więcej ruin — jak bruzd na twarzy.
Może ciężko ukłęknie ten świat,
Tak, jak ludzie klękają starzy.

Może rzekom przybędzie szeptów,
Łkań bolesnych, które spłyną drżąc,
Kiedy księżyc na kształt okrętu
Srebrną, w żaglach swych, uniesie noc.

Może przyjdzie wszystko zapomnieć,
Nawet bajki z dziecinnych lat —
Byle tylko utrzymać w dłoni
Gałąź życia, którą wstrząsa płacz.

Ale młodość z lirycznych nut
W ustach naszych, w oczach — zostanie.
Tylko mi się już nie smuć, nie smuć
Cyraneczko miła, kochanie.

Popatrz, jak nasz synek maleńki
Pośród traw się trzepoce jak ptak —
To jest uścisk gorący i piękny,
To ust naszych najczulszy smak.

Jan OLECHOWSKI.

Modlitwa o zdjęcie apatii

Opiekunko skrzyżowanych dróg,
opiekunko rozstajnych dróg,
Magdaleno,
Mario Magdaleno,
któraś złociste włosy
rozsypała Chrystusowi do nóg
znużonych wędrówką do nieba —

zdejmij z moich oczu i rąk
zdejmij z moich piersi i ust,
apatie,
od której ucieczki nie mam.

Pozostał już tylko mił,
gdy życia z rozstajnych dróg
zawrócić nie umie nic,
odwrócić nie umie nikt.

Józef BUJNOWSKI.

„POD PRĄD”

Pismo polskiej myśli niepodległej w Szwajcarii
(wychodzi 3 razy w miesiącu)

ADRES REDAKCJI I ADMINISTRACJI:
FRIBOURG 2, case postale 10, SUISSE.

DO NABYCIA:

FRANCJA: «Libella», 12, rue St-Louis en l'Île, Paris IV^e.
Librairie T. Pajor, 47, rue de l'Université, Paris
VII^e (cena 15 fr.).

W. BRYTANIA: Centralna Skł. Książek S.P.K., 57, Edbrooke
Road, London W. 9, (cena 6 d.).

BELGIA: Księgarnia Polska, 42, rue Defacqz, Bruxelles
(cena 7 fr.).

WŁOCHY: J. Miecznikowski, Via dei Villini 18, int. 4,
Roma (cena 25 lir.).

Najnowsza historia Polski

Na rumuńskim rozdrożu

(Fragmenty wspomnień)

II.

...Po rozmowie z Drymmerem czekać miałem na to potrzebne mi zaświadczenie. Urzędnika z niezbędną pieczęcią chwilowo nie było. Postanowiłem wyzyskać tych kilka minut jeszcze na rozmowę z kolegami. Wiedziałem, że nie powiedzą mi wiele — jedni sami jeszcze nie wszystko wiedzą, inni ze zrozumiałych względów muszą być dyskretni. Chcę jednak chociażby przez wymianę wrażeń wprowadzić jakiś porządek do kłębiących się moich własnych uczuciowych i myślowych reakcji...

...Przypominam sobie dziś jakiś pokój, w którym kilku kolegów segreguje pośpiesznie stopy papierów. Potem — jakiś ciemny korytarzyk, jakieś schodki i jeszcze jedną werandę na tyłach willi. Wreszcie — pokój większy, wyglądający na salonik, a w nim prócz kilku skupionych przy radio naszych urzędników — grupka panów ze stałego otoczenia Prezydenta. Przez otwarte szeroko drzwi do drugiego — jadalnego — pokoju widzę siwą głowę siedzącego przy stole Prezydenta, jego małżonkę i panią Beckową. Odruchowo chcę się cofnąć — trafiłem tu, błędząc, mimo woli, jestem nieludzko zmęczony, brudny, zakurzony straszliwie. Koledzy jednak zatrzymują mnie. Oh! — zburzył się tu już wszelki porządek, nie ma w tej chwili już żadnego podziału na prywatne mieszkanie ministra i jego biuro. Ktoś uprzejmie podstawa mi fotelik, ktoś przynosi szklankę herbaty z kromką chleba. Bardzo to ubogo — mówi ktoś — ale i pan Prezydent ma na ostatnią w Polsce kolację jakieś kluski z wiejskim serem. Przyjmuję to z wdzięcznością — dopiero teraz — siedząc w tym foteliku ze szklanką herbaty — czuję, jak potwornie jestem znużony i jak bardzo głodny...

Rozmowa moja z kolegami rwie się wciąż, bo co chwila ktoś odchodzi, wraca i znika znowu. Temat główny — to oczywiście przekroczenie granicy, wyjazd do Francji, no — i wystąpienie

Rosji. Dyrektor Michał Łubieński opowiada mi o dramatycznej rozmowie naszego ambasadora w Moskwie, Grzybowskiemu, z Potiomkinem; dowiaduję się też o naszej reakcji. Wystąpienie placówki dyplomatycznej ministra Becka określa wystąpienie Rosji jako akt niesprowokowanej agresji. Odrzucamy z protestem dziwaczne insynuacje Moskwy, — nasze oddziały na pograniczu stawiają zbrojny opór nowemu najazdowi, — od naszych aliantów zachodnich oczekujemy zajęcia stanowczej postawy wobec Rosji. Jakżeż zachowają się nasi sojusznicy? Co muszą, co mogą, co zechcą uczynić wobec tej jawnej spółki niemiecko-rosyjskiej? Moskwa, uzasadniając swój gwałt — kłamie, że rząd polski uciekł z kraju; szybkość, z jaką czołgi sowieckie zbliżają się tu, do Kut, jest chyba wymownym świadectwem tego kłamstwa. Kłamie Moskwa również, krzycząc o jakichś rozruchach ukraińskich — widzieliśmy w czasie ewakuacji i widzimy wciąż jeszcze tu, jak spokojnie i lojalnie zachowuje się ludność ukraińska. Dopiero dziś elementy komunistyczne usiłują stworzyć pozory jakiejś zdrady tej ludności.

I ta rozmowa — jak inne tutaj — rwała się co chwila. W przerwach dość częstych zwraca uwagę cisza, panująca w sąsiednim pokoju, gdzie po posiłku wieczornym siedzi jeszcze Prezydent Rzeczypospolitej. Domyślam się — jaki tam musi panować nastrój! To przecież ostatnie chwile pobytu na ziemi polskiej. Raz jeden tylko słyszę, jak prowadzona tam cicho rozmowa ożywia się nieco. Ktoś z obecnych przy niej opowiadał mi później, że Prezydent z głębokim smutkiem i żalem mówił o śmierci Marszałka Piłsudskiego. Nie ma go wśród nas w godzinie tej najcięższej próby — na tym strasliwym zakręcie dziejów. O! — gdyby żył! Nie sposób przewidzieć, co by się stało i jak potoczyłyby się wypadki. Ale przecież na pewno nie byłoby tak, jak dziś. Może Hitler wogóle nie odważyłby się wystąpić przeciwko nam. Runął jednak! Naród cały wykazał tyle wspaniałej zwartości i determinacji, tyle gotowości do największych poświęceń i ofiar! Armia bije się po bohaterku i mimo to — po dwóch tygodniach, po siedemnastu dniach — taki bezmiar nieszczęścia! Bóg chyba nie był z nami w tej wojnie — zesłał niezwykłą pogodę, ani kropli deszczu przez cały ten czas, co musiało w dużej mierze ułatwić Niemcom walkę z nami. Minister Beck podnosi przy tym, że nie przegraliśmy jednak wojny — przegraliśmy tylko pierwszą bitwę w tej wojnie. Wojna zachwiała gmachem naszej państwowości, ale przecież nie może go zniszczyć. Polska walczy w ramach wielkiej koalicji, która bije się z kolei nie za Polskę, bo nie ma takich odłamów szlachetności w polityce międzynarodowej, lecz o swoją własną przyszłość. Hitler tej walki wygrać nie może, my w pierwszym z nim starciu spotkaliśmy się z niepowodzeniem, bo sprzymierzeńcy nasi spóźnili się z pomocą. Ale za to i teraz, i na przyszłość tym większe mają wobec nas obowiązki...

...Muszę jednak już iść. Słyszę zresztą, jak ktoś z zewnątrz woła mnie i szuka. Znużony — dźwigam się z wygodnego fotela

lika. Zegnam się z kolegami. Dyrektor Łubieński — ściskając mi dłoń — chce wierzyć, że spotkamy się niebawem w innych — jasnych — warunkach. Niestety — któż z nas wówczas przypuszczać mógł, że spotkamy się dopiero za osiem lat — w londyńskiej mgle!..

...Na dole konsul Samborski wręcza mi zaświadczenie dla tej policji w Kosowie. Jest już zupełnie ciemno. Długo, powoli przedzierać się muszę przez zatłoczone ulice; ludzie, znużeni siedzeniem w wozach, powyłazili na zewnątrz, tłoczą się na jezdni, wypełniają po brzegi chodniki. Docieram wreszcie do miejsca, gdzie czeka na mnie Marysia z panem J. Spada tu na mnie jednak ciężka niespodzianka. Pan J. — po długich wahanjach — uznał, że nie ma prawa opuszczać rodziny w tak ciężkiej godzinie i bez pożegnania prawie odjechał. Odczuwam to, jak cios najcięższy, bo przecinający ostatnie już z ocalałych nici nadziei. Jestem dość odporny — nogi jednak jakoś dziwnie uginają się podę mną. Siadam i — zbierając rozpierzchłe myśli — szukam znów odpowiedzi — co robić? Jechać końmi gdzieś w nieznanie zupełnie góry? Zaryzykować? — może leśniczemu wystarczy powołanie się na pana J.? — Zostać w Kutach, przecze-kać, ukryć się gdzieś — ale gdzie? Z tej szarpaniny wewnętrznej wyprowadza mnie Marysia: nie ma innej rady, tylko — jeśli jest na to czas — trzeba dołączyć się do ministerstwa i razem z nim przekroczyć granicę. Jest to istotnie jedyne rozsądne wyjście, choć bardzo ciężko mi się z tym pogodzić. Wracam raz jeszcze do Starych Kut. Panuje tu już ruch przedwyjazdowy. Dowiaduję się, że już przed paru kwadransami był od premiera telefon z wiadomością, że bolszewicy przekroczyli Dniestr i są już w odległości 30 klm od Kut. Miejsca dla siebie w żadnym z odjeżdżających już stąd aut znaleźć nie mogę — wszystkie przepełnione są ponad miarę. Szczęśliwie jednak zjawia się p. Kajetanowicz, kierownik techniczny naszej służby radiotelegraficznej. W wozie jego — dużej ciężarówce ze sprzętem — jest sporo wolnego miejsca, ale muszę się śpieszyć — wóz stoi na podwórzu szkoły w Kutach i ruszy najdalej za pół godziny. Chcę już odejść — ale właśnie ukazuje się w drzwiach sylwetka Prezydenta. Przy nim — minister Beck. Idą w kierunku aut, w śmiertelnej ciszy wśród zebranych. Z głową opuszczoną czekam na chwilę ich odjazdu...

...Jednakże — patrząc uparcie przez swą szparę w czarną noc, na ostatnie skrawki ziemi ojczystej — nie dostrzegłem wcale szlabanu. W nieprzeniknionej ciemności utonął nawet graniczny most. Gdy ciężarówka nasza — po dłuższym nieco ruchu bez przerwy — zatrzymała się przed jakimś małym domkiem z oświetlonymi oknami — stojący na ganku Żyd poinformował nas łamaną polszczyzną, że jesteśmy już w Rumunii, jest stąd bowiem do granicy polskiej dobry kilometr drogi...

A więc — już się stało! Idzie stąd na mnie jakby lodowaty powiew śmierci. Ten cmentarno-pogrzebowy nastrój po chwili

pogłębia się we mnie jeszcze bardziej, słyszę bowiem, jak Marysia zaczyna cicho szlochać. Pochyłam się nad nią, dźwigam ją ku sobie, tulę do piersi, bez słów wodzę ręką po jej włosach...

Tego, co się dzieje w mojej głowie, myśleniem nazwać nie sposób... Jestem jakby zanurzony w gęstej, szarej mgle — jakieś strzępki myśli — obrazów wypływają z tej mgły i toną w niej znowu po chwili... Myśleniu temu zresztą nie sprzyja otoczenie. Bo radiotelegrafiści Kajetanowicza, uważający się za gospodarzy w ciężarówce, zachowują się nader hafaśliwie. Patrzę na nich z rosnącym zdumieniem. Opuszczenie Polski, przekroczenie granicy — wszystko to mijają bez wrażenia. Klóczą się między sobą o jakieś drobiazgi, opowiadają sobie jakieś «tłuste kawały». Gdy trwa to dłużej — reaguję, nawet mocno. Skutkuje to o tyle, że panowie ci zmieniają temat i zaczynają — wśród niewybrednych dowcipów — «krytykować» stosunki w ministerstwie i wyrażać swoje sądy o ludziach, przed którymi tak niedawno jeszcze najpokorniej zginali karki. Poczucie bezkarności, rosnące stopniowo w bałaganie ewakuacyjnym — dochodzi u nich w tej chwili musi do swego szczytu. Cóż to jest? Skutek nagłego załamania się drabiny społecznej i zaniku dotychczasowych dyktansów — złość, wyrosła ze zmęczenia i szukająca byle powodu do wyładowania się, ukrywana dotąd zawiść — czy po prostu wyzwolone chamstwo?

Z sytuacji — mimo wszystko coraz bardziej nieznośnej — wybawia mnie nagły ruch i krzyki na zewnątrz. Ktoś — podniecony bardzo — opowiada o brutalności Rumunów, robiących rewizję. Gdzieś na przodzie — jakiś «dziad» rumuński nie otworzył, lecz rozbił czyjaś walizkę — protestująca pani została w odpowiedzi pchnięta brutalnie i tak mocno, że upadła na ziemię, kalecząc sobie ręce i twarz. Opowiadający klnie: «psia krew, bydlę! dał też nam Pan Bóg sojuszników!» — zapowiada też, że niech tylko «te huncwoty» spróbują tak z nim — a prać będzie po pyskach, aż to «ich król w Bukareczie usłyszy». Dodaje jeszcze, że ta «rumuńska hołota» nie ma szacunku i dla żołnierzy. Jakiś młody chłopak broni oddać im nie chciał — trzymał swój karabin oburącz, przyciskał do piersi. Obskoczyli go ze wszystkich stron. Chłopak broni się — nie! nie odda karabinu! — niech go puszcza! — nie chce iść do tej Rumunii — chce z karabinem wracać do Polski!.. Ale gdzie tam! — Obskoczyli, powalili go na ziemię, skopali, karabin mu wydarli!..

Wyłażę z głębi ciężarówki — zeskakuję na ziemię. Któż to opowiada? Widzę przed sobą słusznego mężczyznę w płaszczu wojskowym, na czapce dostrzegam generalskie wężyki. Nie znam go — przedstawiamy się, wymieniamy jakieś nic mi nie mówiące nazwisko. Zdążył już trochę ochłonać z oburzenia. Może powie mi coś o tym, jak było i jest z naszą walką na froncie? W odpowiedzi jednak — macha ręką. Oh, niechże to diabli! Był sopo- powiedzi jednak — macha ręką. Oh, niechże to diabli! Był sopo- bież na emeryturze, jak wojna wybuchła — włożył mundur i zaczął się starać o przydział. I tak z Warszawy przyjechał z

córką aż tu. Bez przydziału. Narzeka na bałagan ewakuacyjny, dosadnie opisuje, co widział i z czym się spotykał po drodze. Odsyłali od Annasza do Kaifasza! — aż tu, do Rumunii. «Z córką tak podróżował pan generał? — pyta prowokacyjnie jeden z radiotelegrafistów. — «No, z córką» — odpowiada — gdzie miałem ją rzucić?»... Czuje się przy tym jakby trochę zmieszany. Coś zaczyna niepotrzebnie mówić o tym, że mundur włożył, bo szczerze pragnął być w wojsku, a nie dlatego, by przez mundur ułatwić sobie koszmarną podróż przez całą Polskę. Sytuację kłopotliwą i przykrą przecinają Rumuni. Oficer w białych rękawiczkach — bez płaszcza, choć deszcz pada, — salutuje i po francusku prosi grzecznie o wydanie broni, jeśli ją ktoś ma. Broni nie mamy — zaciekały go skrzynie z ciężkim sprzętem radiowym, pokazujemy mu jednak list kurierski. «Ah! — to ministerstwo spraw zagranicznych. Przepraszam»... Zasalutował — odszedł. Brutalności w tym nie dostrzegłem za grosz. Obejrzałem się. Generał stał obok — na twarzy wyraz niezmiernego zdumienia...

Byłbym chyba nie pamiętał o nim po tylu latach; scena ta jednak odtąd żywo stoi mi przed oczyma. Bo od niego właśnie — już po tej «brutalnej» rewizji — dowiedziałem się, że i Wódz Naczelny opuścił Polskę. «Nie! nie! — zapewniał mnie generał — to nie pogłoska! Sam go na własne oczy widziałem. O, tu! — niedaleko — przed komorą celną — może przed godziną widziałem, — sam widziałem, jak wysiadał ze swojego wozu!»...

Po wszystkich przejściach ostatnich dni — zwłaszcza po tej straszliwej niedzieli — musiałem być już mocno uodporniony na wszelkie niespodzianki i nagłe ciosy. A jednak teraz znowu zachwiałem się pod ciężarem tej wiadomości. Reaguję na nią dojmującą mieszaniną niezmiernego, zdumienia, głębokiego żalu — i trwogi. Jednocześnie z tą falującą trwogą — jakżeż dobrze pamiętam to do dziś — wypłynęło nagle jaskrawym obrazem wspomnienie krótkiego odpoczynku w Druskiénikach, na parę tygodni przed wybuchem wojny. Jasny, złoty dzień... Małe dzieci — chłopcy i dziewczynki — czyszcili ubrane, z chorągiewkami w rękę, maszerują przez ulice czwórkami:

Nikt nam nie zrobi nic,
Nikt nam nie weźmie nic,
Bo nas prowadzi Śmigły
Marszałek Śmigły-Rydz...

Dolatujące z daleka — z jasnej, słonecznej Polski do tej płaczącej deszczem rumuńskiej Wyżnicy drżące głosiki małych dzieci brzmią teraz dla mnie, jak szyderczy śpiew ponurego chochoła. Mieliśmy złoty róg i czapkę z piór!.. A teraz wiatr to porwał i niesie!..

Znów odbiec muszę od pamiętnikarskiej metody — oderwać się na krótko od Wyżnicy — sięgnąć po wcześniejsze i późniejsze wspomnienia. Bo nie chcę — przez swe szczerze stwierdzenie,

nia, przez ukazanie swoich bezpośrednich reakcji wywołać w kimkolwiek mylnych wrażeń. Sprawa marszałka Śmigłego, — jeśli to tak nazwać można¹⁾ — szumi i pieni się do dziś jeszcze falą tendencyjnych naświetleń, przewrotnych komentarzy, złośliwych przeinaczeń i pospolitych kłamstw. Nie brakuje tu — przy dobrej zresztą woli — wniosków zbyt pochopnych i nieprzemyślanych sądów czy potępień. Chcę i muszę odgrodzić się od tego jak najbardziej stanowczo. I — odgradzając się — muszę wszakże stwierdzić, że już przed powstaniem tej tendencyjnej fali w masie Polaków — przede wszystkim w obserwowanej przeze mnie gromadzie wyrzuconych przez los z Ojczyzny — ukształtował się od razu, od pierwszej chwili, stosunek najzupełniej wyraźny. Klócili się ze sobą Polacy w wielu sprawach, o niejedno żarli się ze sobą po polsku — namiętnie i bezprzytomnie, ale tu, w tym jednym jedynym wypadku, byli właściwie wszyscy zgodni, różniąc się tym tylko, że w zależności od stopnia wyrobienia, kultury wewnętrznej, czy swych kontaktów i związków politycznych, wyrażali to w sposób mniej lub bardziej jaskrawy. Jest to sprawa, w której u nas żadnej dyskusji się nie wygra. Odzywają się tu oczywiście przede wszystkim nasze odwieczne imponderabilia — te same, które kazały nam kiedyś z kosami rzucać się na armaty, zdobywać Samosierry, topić się w Elsterze. Polak wolałby widzieć marszałka Rydza w roli Żółkiewskiego pod Cecorą, lub księcia Józefa pod Lipskiem. Marzycielstwo i trzeźwość! Szaleństwo i realna polityka! Od stu z górą lat myśl polska szarpie się między tymi antytezami! A w ostatecznym wyniku? Bo — pomyślmy — Kościuszko i książę Józef nie tylko spoczęli na wieki wśród sarkofagów królewskich. Pomnik Kościuszki witał nas przy wejściu do Wawelu, książę Józef — wcielenie honoru — czuwał na placu Piłsudskiego w Warszawie. A przy tym — jak Polska długa i szeroka, nie było w niej pomnika margrabiego Wielopolskiego. Co więcej — nie było i nie ma Polaka, który by

¹⁾ Istnieją tu — w tej sprawie — dwie wersje. Według jednej — marszałek miał zamiar przedzierać się na zachód — do oddziałów generała Sosnkowskiego. Rozwahał tę możliwość w rozmowie z młn. Beckiem w południe 17 września i zapowiadał, że decyzję ostateczną powźmie przed wieczorem. Na odprawie u Prezydenta w Kutach marszałek — o ile wiem — nie o swoich osobistych zamiarach nie mówił. Spotkałem się jednak z paru stron z bardzo kategorycznym twierdzeniem, że po naradzie marszałek oświadczył Prezydentowi, że Polski nie opuści i że przedzierać się będzie do oddziałów walczących. Wersja druga nie mniej kategorycznie podnosi, iż właśnie na tej odprawie u Prezydenta marszałek miała jednogłośnie uchwała, w myśl której marszałek Śmigły miał przekroczyć granicę jednocześnie z Prezydentem i rządem. Według tej wersji — marszałek po naradzie w Kutach udał się do Kosowa i czekał tam, aż pozostający w Kołomyi Sztab rozeszł przez radio ostatnie rozkazy do wojsk walczących. W późniejszych godzinach wieczornych — gdy Sztab po wykonaniu ostatnich swoich zadań przejechał z Kołomyi do Kut — marszałek Śmigły udał się też w kierunku granicy. Tak ujmuje sprawę gen. F. Sławoj-Składkowski w urywkach ze swego dziennika, ogłoszonych w

pomnik taki gdzieś — na jakimś placu — chciał widzieć! Czy jest to rozsądne, mądre, słuszne? — o tym można by napisać bardzo dużo. Ale wątpię, by i stopy napisanych na ten temat tomów mogły zmienić cokolwiek w zasadniczej postawie Polaka wobec życia. Sądzę też, że marszałek Śmigły nie przewidział lub raczej nie docenił zawartej tu już nie siły, ale potęgi. Sam w cytowanej wyżej relacji — przytacza motywy swej decyzji; mówi tu, że po 17 września, znalazłszy się w sytuacji, gdzie o jakimkolwiek dowodzeniu nie mogło być już mowy — widział drugą część swoich zadań i obowiązków — na zachodzie — w pracy zarówno wojskowej, jak i politycznej. Ktoś mógłby powiedzieć tutaj — może nawet słusznie — że odzywały się w tych motywach skutki przedwojennego narzucania na Wodza Naczelnego zadań i obowiązków, dla których być musiały i były w Polsce inne barki i inne ręce. Nie chcę tej kwestii podejmować, bo nie o to tutaj idzie. Chcę tylko dać wyraz swemu przekonaniu, że argumenty czy motywy, ujawnione w relacji, nie mogły być i chyba nigdy nie będą przyjęte przez społeczeństwo, w którym nad kategoriami politycznego myślenia górują zawsze imperatywy uczuciowe.

Marszałka Rydza-Śmigłego nie znałem osobiście. Rozmawiałem z nim tylko jeden raz w życiu — w listopadzie r. 1938, kiedy z racji swego służbowego stanowiska zgłosić się musiałem na Klonowej. Rozmowa, zamknięta w wąskich ramach, trwała krótko. Jakież więc dać mogła podstawy do wrażeń i sądów o człowieku? Nie znałem więc go osobiście — widziałem go jednak w polskim życiu. Miałem dla niego — nositem w sercu — głęboki uraz — wyrosły i pogłębiony pod wpływem przejawów nowego w Polsce stylu życia po r. 1935 — stylu, na który wstrząsającą odpowiedzią była śmierć najszlachetniejszego ze szlachetnych — Walerego Sławka. Nie będę wchodził tutaj w niewesoły spłot tych naszych polskich wewnętrznych spraw.

Jeruzolimskim miesięczniku «Na Straży» (nr 32, luty 1947) w odpowiedzi na wezwanie tamże ogłoszone (nr 28-30, grudzień 1946) wspomnienie W. T. Drymmera («Z Kut do Bicz») General Wiatr w liście do redakcji «Na Straży» stwierdził w związku z tym, że brał udział 17 września w ostatniej odprawie, zarządzanej przez marszałka dla kilku najstarszych oficerów w Sztabo. Na odprawie tej marszałek «podał nam swą decyzję przejścia granicy celem przejazdu przez Rumunię do Francji» — i dodaje: «Trudno mi w tej chwili odtworzyć z pamięci przebieg odprawy, która trwała około godziny, ale mogę stwierdzić, że wszyscy byliśmy głęboko przekonani, że decyzja, podana nam przez marszałka Śmigłego do wiadomości, nie jest decyzją tylko jego, a decyzją Pana Prezydenta i rządu». Sam marszałek w relacji swej z 24 grudnia 1939 r. stwierdza: «Dnia 17 września znalazłem się w sytuacji, w której o jakimkolwiek dowodzeniu nie mogło być mowy... nie było dla mnie rzeczą łatwiejszej, jak znaleźć śmierć w drodze z Kosowa ku granicy... nie było nic łatwiejszego, jak udać się do któregoś z najbliższych oddziałów czy też samolotem do oblezionej Warszawy lub grupy Kutno». Lecz względy wyższe, wyrastające z obowiązku prowadzenia dalszej walki oraz obrony praw i interesów polskich nie pozwoliły ulec «sentymentom osobistym, łatwym do wykonania».

Muszę jednak stwierdzić, że uraz mój — żywy i silny jeszcze do dziś — nie przesłania mi prawdy innej — wielkiej prawdy, przed którą w ciszy, z głębokim szacunkiem, nisko schylić głowę musi każdy, w kim nieustępliwa i nieprzejednana niechęć nie zabiła jeszcze wzroku i słuchu.

Myszę nie tylko o ogromie męki, z jaką marszałek Śmigły — w obliczu kłeski, po szarpających wahaniami — wchodził jednak na ten graniczny most nad Czeremoszem. Myszę nie tylko o bezmiarze cierpienia, jakie spadło nań zaraz za tym mostem, gdy wkroczył w tłum, z Polaków i ludzi obcych złożony — tłum, plujący lekceważeniem i szyderstwami, wygrażający nienawistnie pięściami, rzucający grudami wszelkiego błota!... Widzę w jego imieniu nie tylko ten ogrom męki i bezmiar cierpienia. Biję z niego blask szczerze polskiego, nie! — bo bardziej jeszcze głębokiego w swym tragizmie bohaterstwa... «Rozpoczynając wojnę — mówi o sobie sam w cytowanej relacji — rozumiałem dobrze, że będzie ona z konieczności przegrana na froncie polskim, który uważałem za jeden z odcinków wielkiego frontu antyniemieckiego. Zaczynając w niebywałych warunkach walkę, czułem się też, jak dowódca odcinka, który ma być poświęcony, aby dać czas i możliwość organizacji i przygotowania innych...»

Ktoś nieprzejednany i nieustępliwy — ślepy i głuchy — nazwie to uzasadnieniem *ex post* — nie uzna tego za dowód — będzie chciał innych świadectw. Są już i inne. Przytoczę tu — dla przykładu — jedno, może najbardziej wymowne.

W lecie r. 1943, w okupowanej przez Niemców Francji, kardynał Hlond, w słynnej «Abbaye de Haute-Combe» nad Lac-du-Bourget — opowiadał przybyłym doń kilku Polakom o swej bardzo poufnej rozmowie z marszałkiem Śmigłym jesienią r. 1938, gdy po odstąpieniu pomnika Kordeckiego jechali samochodem z Częstochowy zdaje się do Turka dla obejrzenia witraży Mehoffera. Na pytanie kardynała, czy będzie wojna? — marszałek Śmigły odpowiedział: «Nie ulega wątpliwości, że zostaniemy zaatakowani przez Niemcy, bo nie możemy przed nimi kapitulować. Wobec ogromnej przewagi armii niemieckiej i jej środków technicznych, będziemy w wojnie regularnej pobici i walkę dłuższą będziemy mogli prowadzić tylko w formie partyzantki». — Na pytanie kardynała o sojuszniczą Francję — marszałek Śmigły odpowiedział: «Według posiadanych przez nas informacji — tylko połowa francuskich oficerów służby stałej stoi na wymaganym poziomie. W razie mobilizacji procent tych oficerów obniżyć się może do nieznacznego ułamka. Jest przy tym Francja i pod względem technicznym nieprzygotowana do wojny. Wskutek tego będzie także pobita...»¹⁾

Blask tragicznego bohaterstwa widzę właśnie w tym, że marszałek Śmigły, zdając sobie w pełni sprawę z jaskrawej dyspro-

¹⁾ Kardynał Hlond opowiadał to ambasadorowi W. Grzybowskiemu w obecności kilku innych Polaków, przybyłych z nim wówczas do Abbaye de Haute-Combe.

porcji sił między nami a Niemcami i widząc, czym ta dysproporcja grozi — przed walką się nie cofnął. Przyjął ją.

Wiem już, wiem!... Nieprzejednany ślepiec wysunął szereg nowych zarzutów: Jeśli tak przewidywał, jeśli wiedział na pewno — to dlaczego nie powstrzymał społeczeństwa i dlaczego nie poprowadził go inną drogą? Jaką inną drogą? Kapitulacji? Zresztą — niech już ślepiec sam szuka dla siebie światła w kolorowym splocie naszych starych, odwiecznych imponderabiliów...

...Z Wyżnicy wyruszyliśmy przed świtem jeszcze. Zapowiedziano nam, że jedziemy do Czerniowiec, i że przed ósmą rano powinniśmy być na miejscu. Jadąc — nie czujemy już dokoła siebie tłoku. Jest o wiele przestronniej. Posuwamy się też znacznie szybciej, choć i teraz zatrzymujemy się dość często. Na każdym z takich przystanków warkot niezgaszonego motoru zlewa się z niezrozumiałym krzykiem. To Rumuni, kierując naszym ruchem na skrzyżowaniach — zbyt hałaśliwie wydają jakieś polecenia czy usuwają nieporozumienia.

Radiotelegrafisci nasi śpią, wyciągnąwszy się na twardych skrzyniach. Marysia, oparta głową o moje ramię, drzemie czujnie. Ja, mimo krańcowego zmęczenia — nie mogę zasnąć. Co to jak czuć i myśleć może rozbitek, który — uratowawszy się z tonącego okrętu — wdrapał się przed chwilą na jakąś tratwę?...

Tak — doczekałem się świtu, który powoli i leniwie rozszerzał się w dzień chłodny, szary, zapłakany. Na jakimś przedłużającym się postoju wyglądam przez swoją szparę. Jakaś nędzna uliczka — niewielkie, parterowe, mocno obdrapanie domki — jakieś pokrzywione płoty, próchniejące bramy, budy. To chyba nie Czerniowce? Wyłażę z głębi ciężarówki, zeskakuję na ziemię. Ktoś mówi, że jesteśmy w Starożyńcu. Po raz pierwszy spotykam się z taką nazwą. Gdzie i co to jest? «SzeF» naszego wozu — Kajetanowicz — wie tyle tylko, że Rumuni zatrzymali tu i kazali czekać.

Rozglądam się dokoła. Uboga uliczka, zamieszkała przeważnie przez Żydów, zapchana jest — jak wczoraj jeszcze Kutę — wozami polskimi różnego typu. Ludzie niewyspani, pomęczeni gnieźdzą się jeszcze wewnątrz aut, wielu jednak powyciążyło już na zewnątrz. Tłoczą się, drepczą w ciasnych przejściach między wozami. W ubraniu różnorodność większa jeszcze, niż w typach stłoczonych samochodów. Drogie futra kobiet, wytarte jesienki, poplamione, podarte płaszcze deszczowe, skórzane kurtki. Beznadziejność obrazu — na tle ubóstwa uliczki — pogłębia jeszcze mgła i deszczyk, który nie pada, nawet nie mży, a po prostu wisi w szarym powietrzu.

W pewnej chwili ukazuje się i działać zaczyna rumuński Czerwony Krzyż. — Panie z opaskami na rękach wynoszą z najbliższych domów tace. Chleb z masłem, pokrajany na duże kawałki biały ser. Będzie też gorące mleko dla dzieci. Dla dorosłych herbata. Wynoszą ją w konewkach, rozlewają do dzbanusz-

ków i blaszanych kubków. Zbliżają się i do mnie. Dziękując — czuję, jak coś mocno ściska mnie za gardło. Roztkliwiam się, — taka nagła, tak gwałtowna zmiana! Biorę chleb, ser, herbatę i podaję Marysi. Rumunka idzie w ślad za mną, prosząc, bym wziął i dla siebie...

Korzystają z tego wszyscy — może dlatego, że w pobliżu nie widać żadnej restauracji, kawiarni, czy bodaj herbaciarni. Jedni sięgają po posiłek gestem niepewnym, w zażenowaniu czy zakłopotaniu, czasami szepcząc wyrazy francuskiego podziękowania, częściej jednak bez słowa — w posępnym milczeniu. Inni zbyt hałaśliwie okazują swą radość i wdzięczność. Nie obeszło się i tu — niestety — bez przykrej awantury. Pani, siedząca w dużej limuzynie, wśród stosu drogich skórzanych waliz — wzięwszy dla siebie chleb, ser, herbatę — w pośpiechu wyjmując dwa termosy, podaje je z odpowiednią prośbą Rumunkom — przy czym sięga po nową porcję chleba i sera. Wywołuje to głosne niezadowolenie w stojącej obok gromadce mężczyzn. Każdy z nich ma ręce i usta pełne — uważają jednak za wskazane «wstydzić» panią. Kto wywiózł z Polski takie futra i tyle takich waliz, nie powinien zabierać kęsa ludziom biednym; bo są tu tacy, co grosza przy duszy nie mają! Argument poparty jest szeregiem niewybrednych dowcipów i szydliwych porównań. Kto to jest? Trudno osądzić z wyglądu — gdyż wszyscy jesteśmy niewyspani, zmęczeni, brudni, nieogoleni. Zaskoczona ich napaścią pani wyciąga ku nim przez otwarte okno limuzyny swoje termosy — prosi, jeśli ktoś chce — niech bierze, wzięła więcej z myślą o mężu i dzieciach, które wrócić mają za chwilę. Rumunki — nie rozumiejąc — domyślają się o co chodzi — idą do awanturników z pełnymi tacami.

Nie przycichło jeszcze we mnie bardzo przykre uczucie niesmaku, gdy nadbiegł jeden z radiotelegrafistów z wiadomością, że na placu — niedaleko stąd — Rumuni rozbijają naszych żołnierzy. Chłopczy składają posiadaną broń w stosy na mokrej ziemi. Mają przy tym łzy w oczach — ocierają je, nie ukrywając tego. Jaki żołnierz! W porządnym mundurach i płaszczach, w mocnych butach, a broń! — jaka broń! — karabiny nowiusienkie, porządne, skórzane ładownice, nowe plecaki i kocel!... A Rumuni, pozał się Boże! — dziady, prawie w łachmanach, portki w strzępach, dziury w butach, niektórzy nawet boso! I taki «dziad» rumuński rozbija naszego żołnierza! Rozbrojonych ładują do polskich samochodów i wywożą w niewiadomym kierunku. Jakby na potwierdzenie tych słów radiotelegrafisty — ukazuje się parę ciężarówek — pełno w nich naszych żołnierzy w szaro-niebieskich płaszczach. Jadą powoli, przecinają zatłoczoną naszą uliczkę w odległości może stu metrów ode mnie i znikają za zakrętem. Patrzą w ślad za nimi głęboko poruszony. Podnosi się gorycz i żal do Rumunów. Czy nasz «sojusznik» nie może zachować się wobec nas — inaczej? Nie wystąpili przeciw Rosji, choć alians z nami wymagał tego od nich. Rozumiem, — że w istniejącej sytuacji byłoby to bohaterstwem

o cechach ślepego szaleństwa, na które tylko Polak zdobyć się może czy musi. Oni zostaliby przecież od razu zmiążdżeni na skutek zgodnego uderzenia z dwóch stron. Rozumiem również, że w bładym strachu starają się zachować wszelkie pozory ścisłej neutralności. Ale — skutki? Żołnierza, który ma iść na zachód — bić się we Francji, rozbijają tu i wywożą!... Gdzie? Nagły o to niepokój wyszarpuje skądś — z głębi — wspomnienie dawnych — dalekich — polskich spraw. Odchodziły po nierównej walce różnymi szlakami na zachód, odchodziły i tędy — tą bukowińską drogą — polskie «hufce rozpięzchłe». Odchodziły z tym samym, co dziś, szczękiem broni na stos składanej, z taką samą łąką w oku! I z taką samą wiarą rychłego poprzez walkę powrotu... A przecież zawędrowali bezpowrotnie w melancholijną ciszę rozproszonych po świecie cmentarzy emigracyjnych!... Ożyłe nagle wspomnienia płomieniem ogarniają serce — pali. Gaszę je jednak i tłumię szybko — zasypuję wewnętrznych krzykiem: nie! — dziś jest i będzie mimo wszystko inaczej!...

...Przedłużający się postój nuży — tym bardziej, że deszcz nie ustaje, chwilami nawet pada gęsto. Rosnącemu znużeniu towarzyszy coraz głębsze zaniepokojenie. Zaczynają już krążyć różne plotki. Jest już i pogłoska, że Rumuni — pod naciskiem Niemców — nie wypuszczą zagranicę ani rządu, ani wogóle nikogo. Pogłoska — odpędzona — wraca, brzęczy wciąż, jak natrętna mucha. Wiem już, że niedaleko od nas stoją jakieś samochody rządowe. Może tam coś wiedzają? Idę — sprawdzić. Istotnie — dostrzegam w tłumie gromadkę znajomych urzędników z różnych resortów. Dowiaduję się od nich, że kolumna rządu po przekroczeniu granicy zaczęła się gubić. Wszyscy chcieli i mieli jechać do Czerniowiec, ale po kilku kilometrach Rumuni w ciemności wskazali inny kierunek. Po przebyciu górzystej drogi, wymanewrowano na jakieś wielkie obozowisko, gdzie było już kilkaset samochodów polskich. Niektórzy wymięli ten obóz, część jednak utknęła, ale na krótko, bo po interwencji wypuszczono wszystkich. Tak dotarli tu — do Starożyńca. Ma tu być prawie cały rząd — bez premiera, ale z Kwiatkowskim na czele. Rumuni są tu dziwnie zmieszani — zaskoczeni — ale bardzo uprzejmi. Zaprosili członków rządu na śniadanie — otoczyli atmosferą miłą i ciepłą. Prefekt oświadczyć miał — że nie nadeszły jeszcze żadne instrukcje. Wicepremier Kwiatkowski próbuje to wyjaśnić w rozmowach telefonicznych z ambasadą naszą w Bukareszcie, ale tam panuje jakiś dziwny bałagan, bo na żadne pytanie odpowiedzi wyraźnej nie ma...

Wracam do swojej ciężarówki i chowam się w niej przed deszczem. Czekamy jeszcze parę godzin. Po południu dopiero — chyba koło drugiej — toczy się między stłoczonymi wozami nowa pogłoska — przyszły już polecenia z Bukaresztu. Oficerowie i żołnierze mają być skierowani do specjalnych obozów, w innych obozach mają być internowani wszyscy urzędnicy. Ludzie pomęczeni, zmaltretowani przyjmują to różnie — jedni

nie wierzą, drudzy się dziwią i oburzają, inni wreszcie klną na Rumunów. Tu i ówdzie słychać płacz. Znów — idę sprawdzić. Nie! — do obozów iść mają tylko wojskowi i niewiadomo jeszcze, na jak długo. Dla uchodźców cywilnych przymusu takiego nie ma. Jest to raczej troska i pomoc dla tych, którzy nie mają środków na swe utrzymanie. Co do członków rządu — to udać się mają bezzwłocznie do Czerniowiec, gdzie czeka na nich specjalny pociąg. Jechać mają do Sinaia, bo król Karol zaprasza ich do siebie...

Gościna dla rządu u króla? Po co? Dlaczego? Przecież ustalono w Kutach, że rząd szybko i najkrótszą drogą przejedzie przez terytorium rumuńskiego «alianta»?...

...Nas — tej naszej ciężarówki — i teraz jeszcze nie skierowano do Czerniowiec. W nocy — nad ranem — znaleźliśmy się w jakimś Campulungu, w pobliżu jakiejś — również nieznanej — Vatra Dornei. W miasteczku-uzdrowisku, pełnym już wozów i uchodźców polskich — straciliśmy kilkanaście godzin na rozmowy z «uprzejmą» prefekturą. Po południu dopiero — po różnych telefonach — pozwolono nam — naszej tylko ciężarówce — udać się do Czerniowiec. Prefekt — w rozmowie ze mną — był nawet bardzo uprzejmy. Tłumaczył mi, że od rana obowiązują zarządzenia, ograniczające ruch Polaków — ale to tylko ze względu na mobilizację powszechną na Bukowinie. Właściwie — wobec mobilizacji należałoby ułatwić Polakom jak najszybszy odpływ z tego rejonu, władze jednak liczyć się muszą z przeciążeniem kolei i wzmożonym ruchem na szosach. Ciężarówka nasza — «należąca do uprzywilejowanej dyplomacji» — będzie dziś jedynym wyjątkiem, otrzymamy specjalną przepustkę i... żołnierza-konwojenta. Protestuję grzecznie, ale stanowczo. Prefekt jednak — rozsypując się w grzecznościach — zapewnia, że to «wcale nie eskorta» — to ułatwi nam drogę — wyrosnąć mogą jakieś niespodzianki, przeszkody — jeszcze będą mu wdzięczny. Brzmi to nie tylko uprzejmie — ale i bardzo szczerze. Za chwilę zresztą zjawia się ten żołnierz — z karabinem, ale brudny, niechlujny, obdarty, prawie bosy. Mieliśmy z nim w drodze sporo kłopotu — poczęstowany hojnie polską jeszcze wódką przez radiotelegrafistów, zaczął raczej drzeć się niż śpiewać; na pierwszym przymusowym postoju próbował nawet zatańczyć, wreszcie wpadł na pomysł zatrzymywania i legitymowania mijających aut i chłopskich wozów. Było to już zbyt jaskrawym «nadużyciem władzy», choć zatrzymywani nie zbyt dziwili się, nie oburzali — tylko po prostu pchali mu w łapę jakieś miedzianki czy parę papierosów. Musieliśmy go rozbroić i gwałtem wciągnąć do ciężarówki. Usnął niebawem i kamieniem leżał przez resztę drogi...

Do Czerniowiec dotarliśmy przed samą północą. Gdzie o tej porze iść? Do hotelu? Mamy tylko złote polskie, których nikt już przyjmować nie chce. Wypadnie więc spędzić jeszcze jedną noc w ciężarówce — na twardych skrzyniach. W dodatku —

dokucza już jesienny chłód. Wszystkie nasze walizki zostały przecież u państwa J. — we dworze. Ja wyszedłem z Polski w lekkim płaszczu deszczowym, Marysia ma na sobie dość ciepłą jesionkę i cudem ocalałego srebrnego lisa na szyi. Gdy pogodzeni już z tą twardą koniecznością zaczynamy jakoś «układać się» do snu — spada nagle miła niespodzianka. Kajetanowicz — szef naszej «ciężarówki» — od zasnętego woźnego w konsulacie otrzymał kartkę z adresem żony, która już w piątek przyjechała tu z Kut. Uprzejmy i uczynny, wrócił po kwadransie, zapraszając nas w imieniu swoich gospodarzy. Są to jacyś średnio-zamożni Żydzi. Witają nas gościnnie, ale dyskretnie — nie ma, jak gdzieś indziej, ubolewań nad naszym losem, nie ma pytań. Czeka tu na nas — w jasno oświetlonym pokoju — zimna, ale obfita kolacja. Zmęczony i obolały, nawet garstkę słomy powitałbym jako szczyt wygody. Ale gospodarze odstępają nam swój sypialny pokój. Nie chcemy się na to zgodzić, bo w małym mieszkaniu nie widzimy już miejsca dla nich. Oni jednak przecinają dyskusję życzeniem dobrej nocy — i znikają, niewiadomo gdzie. Nazajutrz — przynieśli nam śniadanie do łóżka. Syn ich — 14-letni może chłopak — tłumaczył nam dość dziwaczną niemczyzną depesze z rumuńskich gazet. Jakaś anemiczna wiadomość o wyjeździe z Czerniowiec rządu polskiego i o krótkim pobycie w mieście marszałka Śmigłego. Bardzo oględne i nieśmiałe wzmianki o Rosji i armii czerwonej w Polsce. Więcej znacznie wiadomości o toczących się jeszcze walkach z Niemcami — o bohaterstwie wciąż jeszcze broniącej się Warszawy i długi opis ucieczki polskiej łodzi podwodnej z Estonii.

...Przed konsulem — jakżeż dobrze już znany widok! Tłum Polaków — niewyspanych, zmęczonych, brudnych, nieogolonych — wypełnia dość szeroką ulicę. Z trudem, powoli przeciskam się przez ten huczący zwal nieszczęścia, niepokoju, przynębnienia, trwogi, bezradności i — sprytnych już rachub. Wewnątrz konsulatu — tłok, hałas, ruch. W korytarzach, przedpokoju, hallu, na schodach duże skrzynie, worki, mnóstwo waliz. Pełno polskich masek gazowych. Na stołach, na podłodze stopy ubrań i kapeluszy. W kancelarii i w paru przyległych pokojach kilkunastu urzędników wypełnia niekończące się setki blankietów paszportowych. W jednym z okien — na parapecie — stoi jeden z młodszych kolegów. Zwrócony do tłumu na ulicy — wykrzykuje nazwiska tych, którzy mogą odebrać już od niego upragniony dokument.

Na schodach wewnętrznych spotykam wreszcie paru znajomych. Wymiana pytań i odpowiedzi zamyka się właściwie w ramach spraw osobistych. Poza tym — nikt nie wie na pewno, są tylko sprzeczne domysły i niesprawdzone pogłoski. Jeden szczegół jest cenny — w banku rumuńskim można będzie dziś po południu wymienić złote; kurs lichy — zaledwie trzecia część przedwojennego, w dodatku — wymiana ograniczona do 300 zł. na osobę, na podstawie paszportu. Rozwiązuje to jednak przykrą, bo palącą kwestię życiową...

...Osób, które mogłyby zorientować mnie w sytuacji, długo tu nie widzę. Nie ma nikogo ani z Gabinetu Ministra, ani z departamentu politycznego. Drymmer na górze, w prywatnym mieszkaniu konsula Buynowskiego, — pracuje z kilku swymi urzędnikami. Sewer Sokołowski, który w czasie bombardowania Łucka cudem uniknął śmierci — ze złamaną nogą leży gdzieś w szpitalu. Dopytać się nie mogę, czy jest jeszcze w Czerniowcach, czy też odjechał już do Bukaresztu? Dopiero po południu Drymmer — znużony jeszcze bardziej, niż w Kutach — znajduje kwadrans czasu dla mnie. Dowiaduję się więc, że Prezydent, rząd i marszałek Śmigły wyjechali z Czerniowiec już w poniedziałek, 18 września. Nie, — jeszcze nie do Francji i nie do Bukaresztu, lecz do jakiegoś Słanicu; Rumuni — w imieniu króla zaprosili ich tam na krótki odpoczynek po wszystkich przejściach w Polsce. Wyłoniły się zresztą jakieś kwestie, związane z techniczną stroną tranzytu naczelnych naszych władz. Tu, w Czerniowcach, Rumuni nie mieli żadnych bliższych instrukcji i trudno było im uzyskać je z Bukaresztu telefonicznie, tu zresztą odbywa się mobilizacja rumuńska w szerokiej skali, uznano więc, że będzie z różnych względów lepiej, jeśli władze polskie udadzą się poza Bukowinę — do Słanica właśnie, gdzie przyjechać ma minister Gafencu dla omówienia tej całej sprawy i ustalenia warunków dalszej podróży Prezydenta i rządu. Wszystko to nie budziło w nas jeszcze niepokoju, bo wszystko bez trudu można było wytłumaczyć sobie rozumowo. Rzucał się paniczny strach Rumunów przed Niemcami i Rosją; słyszało się od nich, że nie mogą narazić się na wojnę, bo opór armii rumuńskiej byłby złamany w ciągu dwóch-trzech dni. Stąd — jak sądziłem wówczas — płynęła nadmierna troska, by nie narazić się na zarzut łamania warunków ścisłej neutralności. Zastanawiało mnie natomiast zachowanie się naszej ambasady w Bukareszcie. Z tego, co mówił mi wówczas Drymmer — zresztą ogólnikowo — wynikało, że był tam nie tylko bałagan i zamęt, lecz jakby i próba wytłumania się z dotychczasowych form stosunku. Instrukcje i polecenia nie są wykonywane, meldunki nie nadchodzą. Dotąd niewiadomo na przykład, czy wykonany został rozkaz powtórny — dla pewności — wysłania naszych not na zachód, które — wysłane wśród niepewnych warunków technicznych z Kut — zawierały nasz protest przeciw agresji sowieckiej, mówiły o konieczności opuszczenia granic Rzeczypospolitej przez władze naczelne i zapowiadały, że Polska nie myśli o kapitulacji, lecz przeciwnie — chce i będzie prowadzić wojnę dalej. Niektórzy urzędnicy ambasady — zwłaszcza radca Poniński — zachowują się tak, że graniczy to już z bezczelnością. Ambasador Roger Raczyński, po pobycie w Kutach, zatrzymał się na krótko w Czerniowcach i w nocy z 17 na 18 września wyjechał nagle, bez pożegnania i — wbrew poleceniu — nie zgłaszając się u ministra. Jest teraz w Bukareszcie, ale — nieuchwytny. Jeszcze dalej posunął się nasz attaché wojskowy w Bukareszcie, podpuł-

kownik Zakrzewski. Wczoraj, gdy szef Sztabu gen. Stachiewicz w rozmowie telefonicznej żądał interwencji u władz rumuńskich w dwóch zasadniczych sprawach — wymiany pieniędzy na żołd dla wojska i zmuszenia Rumunów do odbierania naszego materiału i sprzętu wojennego za pokwitowaniem, — podpułkownik Zakrzewski w sposób co najmniej zuchwały odmówił posłuszeństwa. Przyjmowałem to wszystko z jak największym zdumieniem, wnioski wszakże, jakie wyciągać stąd mogłem, nie prowadziły jeszcze do podejrzeń o przygotowanej i otwierającej się już pułapce. Skłonny byłem wciąż jeszcze sądzić, że są to nieopanowane odruchy ludzi, którzy — w obliczu katastrofy, tonąc w mnóstwie nowych, nieoczekiwanych spraw i obowiązków — stracili nie tylko głowę — ale i nie panowali już nad swymi reakcjami... Nie przypuszczałem wówczas, iż rzeczywistość będzie stokroć gorsza!...

...Rumuni — mówił mi Drymmer dalej — dążą i żądają jak najszybszego usunięcia uchodźców polskich z Czerniowiec i Bukowiny. Wyjechać stąd muszą również i wszyscy urzędnicy naszego ministerstwa, poza przydzielonymi do konsulatu. Trwają jeszcze rozmowy z Rumunami co do miejsca przejściowego pobytu, ale wyjazd nastąpić musi jeszcze dziś lub najpóźniej jutro rano. Ja mam dołączyć do tej ewakuacyjnej grupy — i czekać na wezwanie...

...Czerniowiec nie znałem, nie mam jednak ani sił, ani — rzecz jasna — najmniejszej ochoty do turystycznego waleśania się po mieście. Po wymianie pieniędzy — poszliśmy z Marysią na pierwszy od wielu dni obiad. W dużej sali restauracyjnej tłok i gwar, słychać dokoła tylko polski język. Spotykam i tu wielu kolegów. Zdezorientowani, powtarzają najfantastyczniejsze i przeważnie jaskrawo sprzeczne wiadomości. Według jednych — w Kutach dotąd jeszcze sowieciarzy nie ma, według innych — kawaleria sowiecka już w poniedziałek, 18 września, wpadła do tego miasteczka z dzikim wrzaskiem — kradnąc, rabując, gwałcąc. Najuporczywiej utrzymują się pogłoski o samobójstwie Bocińskiego, Biłyka i Prystora, którzy mieli w ten rozpaczliwy sposób zareagować na nagłą katastrofę, czy na «bankructwo ideologii». Ale i tu nie brakuje zaprzeczeń — ktoś Bocińskiego widział już w Rumunii, ktoś inny gdzieś pił z nim wczoraj kawę czy piwo. Fala zgodnych zastrzeżeń i potępień idzie tylko przeciwko marszałkowi Śmigłemu — ktoś głośno, długo, namiętnie tłumaczy, że to «hańba nie do pojęcia» — że to pierwszy w dziejach Polski wypadek, kiedy wódz opuszcza walczące jeszcze szeregi. Ktoś dorzuca do tego — zapewne plotkę niesprawdzoną — że marszałek, wyjeżdżając z Czerniowiec, domagać się miał wystania depešy w sprawie oficjalnego powitania go na dworcu w Bukareszcie przez przedstawicieli władz polskich i rumuńskich. Nikt nie pyta o źródło tej wiadomości, ale wszyscy witają ją gorzkim śmiechem. W stosunku do Prezydenta i rządu zastrzeżeń nie podnosi nikt. «Bo i co mieli zrobić?» — «Niemcy lub Moskale na pewno zamknęliby

ich w obozie». «Wyjazd do Francji jest jedynym racjonalnym i uzasadnionym rozwiązaniem». Zachowanie się Rumunów wobec naszych władz nie budzi jeszcze w nikim podejrzeń i niepokojów. Z troską natomiast — a raczej z wyraźnym odcieniem lęku — mówi się tu o «rozpaczliwej sytuacji» Rumunów. — Według upartych pogłosek, Moskale mieli już zażądać oddania im nie tylko Besarabii, ale i Bukowiny. Śladem moskiewskim pójsć mają jeśli nie Niemcy, to w najlepszym razie Węgrzy... Rumunia ma być w przede dniu państwowej katastrofy. Dlatego najrozsądniej jest wyjechać stąd czym prędzej do Francji. Nie jeden z kolegów na własną rękę «wyrwał» już do Bukaresztu, paru jest już w drodze do Paryża. Ci — najbardziej przeczorni — zajmą najlepsze miejsca w odbudowywanych urządach...

...Rozmowy z Rumunami w sprawie naszej — ministerialnej — grupy przeciągnęły się jednak do następnego dnia. Dopiero w czwartek 21 września grupa, złożona ze 140 osób — odjechać mogła z Czerniowiec w trzech pozostających jeszcze w dyspozycji polskiej autobusach warszawskich i kilku autach prywatnych. Z drogi tej — trwającej około dziesięciu godzin — utkwiły mi w pamięci głębiej dwa zdarzenia. Wkrótce po wyjeździe z Czerniowiec, dogoniła nas wiadomość o zamordowaniu przez członków «Żelaznej Gwardii» premiera rumuńskiego Calinescu. Nie ulegało najmniejszej wątpliwości, że organizacja proniemiecka — zapewne na rozkaz z Berlina — usuwa tą drogą z życia politycznego Rumunii człowieka o wybitnej indywidualności, wielkiej sile charakteru i niemałej odwadze w działaniu — w dodatku szczerego przyjaciela Polski i przekonanego zwolennika oparcia się o Francję i zachód. Autobusy nasze zareagowały na tę wiadomość głębokim niepokojem — popłochem — prawie paniką. Zdawało się, że worek rumuński zaczyna się już zamykać, że nikt już nie zdąży z niego się wydostać. Komentarzami swymi do tej niepowetowanej dla Rumunów straty — przyczyniali się tylko do podsycenia i pogłębienia tych panikarskich nastrojów.

...W połowie chyba naszej drogi, bo już o zmierzchu, na przymusowym postoju w jakiejś wsi, ujrzeliśmy gromadkę polskich żołnierzy. W zagrodzie chłopskiej było gwarno i wesoło. Ktoś w głębi wygrywał na harmonii oberki i kujawiaki — na podwórze pełno było dziewcząt rumuńskich — pełno śmiechu i pisku. Na zewnątrz — na jakiejś kłodzie przy rowie przydrożnym — siedział samotnie młody żołnierz. Rysy twarzy niemal chłopięce jeszcze, w oczach wyraz bezgranicznego smutku... Ktoś przez otwarte okno naszego autobusu zaczął z nim rozmowę. Odpowiadał cicho — smętnie — że należy do niewielkiego oddziału, który przed paru dniami, po przekroczeniu granicy, broni Rumunom oddać nie chciał. Dowódca, młody podporucznik, zaprotestował pierwszy. Odepchnął Rumunów. «Chłopak! — zawołał do swoich — ja wracam do Polski! — Kto idzie ze mną?» Zgłosili się prawie wszyscy — poszli w ciem-

na noc... Jakiś starszy oficer polski dogonił na próżno, starał się ich zatrzymać... powoływał się na jakieś rozkazy, mówił o wyjeździe do Francji, o dalszej walce. «Panie poruczniku! — wołał — co pan robi? niech pan się opamięta! Nie wolno panu bezrozumnie ginąć — nie wolno żołnierzy skazywać na niechybną śmierć!...» Kazał wracać... Paru tylko odpadło... Reszta poszła... Przekroczyli granicę — znów byli na polskiej ziemi... Weszli do jakiejś wsi... I nagle — strzały ze wszystkich stron... Padł podporucznik, ugodzony śmiertelnie... dwóch lekko rannych... Zaskoczeni chłopcy potracili głowy... wśród strzelaniny zaczęli się cofać... Podporucznika zabitego wyniesiono wszakże ze wsi... Nikt nie ścigał... W jakichś krzakach wykopano dół — pochowano dowódcę... Policzoneo niebogata amunicję... Na parę godzin walki starczyłoby jeszcze, ale — co potem?... Kilku chciało jeszcze zaatakować wieś — inni radzili ją wyminąć... iść dalej... Ale co potem? Po naradzie większość postanowiła wracać do Rumunii... Wrócili z gorzkim poczuciem bezradności. Rozbrojono ich, przywieziono do tej wsi — od wczoraj tu siedzą — i nikt nie wie, co będzie dalej...

Chłopakowi — gdy opowiada o tych swoich przejściach — serce rozdziera się musi uczuciem krzywdy straszliwej — słowa grzęzną w gardle, w oczach błyszczą łzy. Nie wstydzi się swego wzruszenia, nie próbuje nawet go ukryć... Po chwili smętnej zadumy zwraca się do nas z rozpaczliwym pytaniem — jak się to wszystko stać mogło? Kto zawinił, że armia nasza została tak szybko rozbita? Nie może pojąć tak nagłej katastrofy!... Nie chce przyczyn jej widzieć w miazdzącej przewadze sił niemiecko-sowieckich i w całkowitej beczynności naszych aliantów zachodnich, bo w stosunku jego do wojska polskiego gra jeszcze bardzo silnie głębokie zaufanie i wielka wiara, równoznaczne z wybijaną ambisją. Toteż z ust jego pada — jak ciężki kamień — zarzut zdrady. Zarzut ten nie ma określonego kierunku... Chłopak nie wie, kto, gdzie, jak zdradził... Nie może wymienić żadnych nazwisk... Ale w zarzucie tym widzi jedyną dla siebie odpowiedź na drgające rozpaczą pytanie, co to się z Polską stało!...

Botosani — niewielka miejscina w północnej Mołdawii, wyznaczona jako miejsce naszego chwilowego pobytu — przygnębia swym obrazem zaniedbania, ubóstwa i niechlujstwa. Główna ulica i parę jej odgałęzień z rządowymi budynkami z biedą przypominać mogą jakieś małopolskie Brody czy Złoczów. Ale już rynek — czy plac targowy — otoczony próchniejącymi budami — pokryty jest warstwą gnoju nie do przebrnięcia. Na bocznych uliczkach — wśród pokrzywionych chałup i rozsypujących się parkanów — smrodliwa nędza i brud rzuca się ze wszystkich stron. Chodników brak — po kilku dniach deszczu brnąć tu trzeba w błocie co najmniej po kostki. Wśród kałuż pełno umorusanych dzieci, psów, drobiu i świń, spokojnie ryjących jezdnie...

...Policja, uprzedzona o naszym przyjeździe, porzwoziła nas do przygotowanych kwater. Było w tym coś z loterii. Kilku kolegów przyjęła inteligencja miejscowa gościnnie, życzliwie, serdecznie. Większość wszakże trafiła na warunki przykre i ciężkie. Wytworny hrabia K. spać musiał w jakiejś brudnej norze cyganów na stęchłej słomie, rzuconej na zabłoconą podłogę. Mnie z Marysią przydzielono do pana Szwarca, bogatego Żyda, właściciela największego w mieście sklepu bławatnego. Był bardzo niezadowolony i nie myślał tego ukrywać. Z obszernego mieszkania odstąpił nam najmniejszy — zimny i brudny — pokój przy kuchni z jednym wąskim tapczanem, na którym dotąd spała służąca. Ta też — ruda, rozczochrana, zła — starała się jak najbardziej życie nam obrzydzić. Zaczęliśmy od razu szukać dla siebie innego kąta. Niestety, — miejscina już była przepelniona ponad miarę. Przyjechaliśmy tu za późno. Wyprowadziła nas o cały dzień dwakroć liczniejsza grupa urzędników z Prezydium Rady Ministrów i Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, a oprócz niej skupiono tu kilkuset różnych uchodźców polskich, z hałaśliwą, wściekle pijaną i awanturującą się gromadą pocztowców...

...Tu w tych Botoszanach — wypadło nam spędzić dziesięć dni. Pierwszy, najcięższy etap naszego tułactwa. Bo tutaj, w mgłę sprzecznych uczuć — dumy, smutku i bólu, ulgi i niepomocy — przeżywaliśmy wiadomość o kapitulacji Warszawy, z pierwszymi — przesadnymi — szczegółami o ogromie zniszczeń i ofiar. Tutaj też oglądaliśmy w dziennikach rumuńskich fotografie sztabowców niemieckich i sowieckich, pochylonych zgołdnie nad mapami Polski i dzielących ją z początku wzdłuż biegu Wisły — potem Wisły i Bugu. Tutaj wreszcie z tytułowej karty paryskiej «Illustration» spoglądał na nas młody, brodaty «poilu», na tle potężnych fortyfikacji spokojnie oparty o kabinę: «Niemcy tędy nie przejdą!» — głośno drukowany komentarz do wymownego obrazka. Budziła się w nas nie tylko zazdrość — niepokoiło nas, że «poilu» sam nie ma zamiaru wychylić się poza potężne fortyfikacje...

...Wzrastający bezmiar narodowego nieszczęścia gniótł, dusił, męczył. Bałem się, jak ognia, samotności, a zwłaszcza nocy — Szarbezennych, wlokących się powoli, trwających bez końca. Szarzące wspomnienia, niespokojne pytania, wątpliwości, przewijające się przed oczami — wszystko, co tłumiliem i odpędzałem od siebie za dnia, — w ciszy i ciemności nocnej — wyolbrzymione, jaskrawe, drapieżne narzucało się z tym większą natarnością, osaczało, rozlewało się potwornym jakimś gąszczem... Zasypiałem nad ranem, nieraz o świcie dopiero. Po krótkim, czujnym śnie, nie dającym wytchnienia, zrywałem się, gdy tylko budzić się zaczynało otoczenie, i — czym prędzej uciekaliśmy z Marysią z domu, by w kawiarni, wśród ludzi, zrzucić z siebie nieznosne brzemie samotności, otrząsnąć się ze wszystkich nocnych zmor, zagłuszyć w sobie wszystko, co się szarpało, jęczało, łkało... W tej beznadziejnej ucieczce przed

samym sobą nie byłem wyjątkiem. Niejeden z kolegów czuć się musiał chyba tak samo, bo zawsze, nawet w najwcześniejszej godzinie — zastawałem ich — co najmniej kilku — w niewielkiej kawiarence zrumunizowanego już rodaka Księżopolskiego. W tej i w innych — równie mizernych — kawiarenkach, cukierniach, restauracyjkach spędzało się właściwie cały dzień. Schodzili się tu wszyscy — nawet ci z najdalszych kwater na przedmieściach. Jedni — jak ja — uciekali przed męczącą samotnością, drudzy pchał tu jeszcze nerwowo strach, by nie zapomniano o nich czy to przy oczekiwanym powoływaniu do pracy czy przy-zapowiadającym i wciąż odwoływanym wyjeździe z tych Botoszan w nieznanym kierunku, — inni wreszcie przybiegali z dziecinną, ślepą nadzieją, że czegoś się dowiedzą, coś od kogoś usłyszą... Codziennie — godzinami, starannie i uparcie — przesiewano różne pogłoski — plotki, domysły, nawet brednie by znaleźć wreszcie w tej plewie jakieś ziarno prawdy. Nie brakowało tu oczywiście długich, gorących nieraz dyskusji na temat ostatnich wiadomości z radia i prasy — było przecież wśród nas tylu «fachowców» — tylu znawców różnych zagadnień — polskich, angielskich, francuskich, niemieckich, sowieckich, rumuńskich i bałkańskich. Z dyskusji przerzucano się do wspomnień — nieraz bardzo odległych, częściej — bliskich, z ostatnich miesięcy i tygodni, wczorajszych niemal. Tu, w tym kawiarnianym młynku, koledzy z Komisariatu Generalnego w Gdańsku — Zawadowski, Zalewski, Stankowski — opowiadali nam o bohaterstwie załogi Westerplatte, o bestialskim okrucieństwie Niemców wobec ludności polskiej w Gdańsku, w pierwszych dniach wojny nie tylko poniewieranej, ale torturowanej i mordowanej — wreszcie o własnych przeżyciach — niewiarogodnych jeszcze, nieprawdopodobnych, bo nie tylko burzących wszelkie podstawy pojęć o immunitacie dyplomatycznym, lecz i przerażających zawartą w nich prawdą o przenoszeniu do naszych czasów nieludzkich metod średniowiecznego krzyżactwa...

...W pierwszą na tułactwie niedzielę — 24 września — wybraliśmy się wszyscy do kościoła. Nigdzie nie widziałem — i chyba nigdy już nie zobaczę, ludzi, modlących się bardziej żarliwie. Z setek oczu, utkwionych w ołtarzu, płynęła wraz z szepem błagalnej modlitwy głęboka, potężna, choć drżąca w swej bezradności ufność do Tego, który może żywych zachować, ginących ocalić, rozproszonych skupić, cierpiącym ulżyć. W tłumie rozlegał się co chwila szloch kobiet, oczy wielu mężczyzn pełne były łez. Ksiądz Rumun wygłosił długie kazanie, zrozumielśmy z tego tyle, że mówił coś o Polsce i Polakach. Po skończonym nabożeństwie zaintonowano «Boże, coś Polskę». Pierwsze rozlegające się głosy zostały zaraz podchwycone przez tłum. Pieśń — wśród szlochów głębokiego wzruszenia uderzająca w sklepienie, — w pierwszym swoim refrenie jakby się zawahała na chwilę, potem zaraz zadźwięczała sprzecznością w swym błaganiu — jedni, jak w Polsce przed wojną, powtarzali prośbę,

by Bóg pobłogosławił wolną Ojczyznę, inni — błagali, by raczył wolność i Ojczyznę zwrócić. Zaraz po nabożeństwie wywiązała się długa dyskusja. Zwyciężyli liczniejsi zwolennicy zachowania tekstu przedwojennego, bo — jak mówili — wojna nie jest przecież skończona, jesteśmy w walce i będziemy ją prowadzić aż do zwycięstwa, błaganie Boga o zwrot wolności równoznaczny więc byłby z uznaniem przejściowego potopu za ostateczny wyrok...

...Siedząc w tych zabitych deskami Botoszanach nie wiedzieliśmy właściwie nic o sytuacji Prezydenta i rządu. Kierownik naszej grupy — Tadeusz Kawalec — na codziennych odprawach, a także i w szczerzych rozmowach w szczuplejszym gronie — mógł nam podać jedynie nie wiele mówiące wiadomości. Trochę prawdy przywozili również kurierzy z Czerniowie i Słanika, sprzeczne fragmenciki znajdowali niektórzy koledzy w listach, otrzymywanych z Bukaresztu. Wynikało z tych postrzępionych informacji, że sytuacja polskich władz, a więc i nasza — raczej komplikuje się, niż wyjaśnia; trudno było jednak wyciągać stąd jakieś stanowcze wnioski i tracić nadzieję na pomyślne rozstrzygnięcie, bo jednocześnie przychodziły zarządzenia administracyjne, będące jakby zapowiedzią rychłego wyjścia ze ślepego toru. W dn. 26 września 24 osoby z naszego botoszańskiego grona zostały zawiadomione, że muszą być każdej chwili gotowe do wyjazdu na nieokreślone jeszcze placówki, ale poza Rumunię. Jednocześnie badano możliwość przewiezienia całej naszej grupy autobusami do Galacu lub Konstancy, a stamtąd — statkami do Marsylii. Uprzedzono nas — jeszcze w Kutach, że po przeniesieniu władz do Francji, w nowych tam warunkach i przy zredukowanym z konieczności zakresie prac ministerstwa — nie wszyscy będziemy w nim zatrudnieni. Toteż nie było dla nikogo niespodzianką zarządzenie, polecające podział grupy na kilka kategorii. Na prośbę Kawalca, zacząłem robić ten podział w oparciu o dobrowolne deklaracje każdego z kolegów. Okazało się przy tym, że do kraju wracać nie chce nikt, oprócz paru starszych, samotnych kobiet, wahających się zresztą i żądających z całą naiwnością zapewnienia im powrotu w normalnych warunkach — aż do zaopatrzenia ich w wize nie tylko węgierską i słowacką, lecz także i niemiecką. Nikt również nie chciał pozostać w Rumunii, w zespole rezerwowym ministerstwa. Natomiast wszyscy mężczyźni zapisywali się na listę zgłaszających się do wojska polskiego we Francji — o formowaniu tego wojska wiedziliśmy już z prasy oraz z radiowych przemówień ambasadora Łukasiewicza z Paryża. Miałem tu kłopot nielada — lęk przed pozostaniem w Rumunii i bez przydziału i bez pracy, z poczuciem tylko własnej bezradności, — nawet u starszych 60-letnich panów przekształcał się w nienaturalną — a zapewne i nieszczerą formę «patriotycznego obowiązku». Jakżeż miałem wytłumaczyć tym biedakom — nie obrażając ich — że upartym trwaniem w tych swoich zamiarach mogą jedynie obniżyć powagę sprawy? Zapisywali się przeczor-

nie na wszelki wypadek i ci, co mieli być gotowi do wyjazdu na placówki. Jeden tylko z młodszych kolegów — p. K. oświadczył wręcz, że nie po to studiował prawo i kończył szkołę nauk politycznych i nie po to zdawał szereg dodatkowych egzaminów w ministerstwie, by teraz rzucać to wszystko do kosza i brać do rąk karabin. Szczerością swoją oburzył wielu. Mnie jednak podobał się więcej, niż ci wszyscy siwi już kandydaci na «strzelca z cenzusem»...

...W tym stanie rzeczy, w sobotę 30 września, dowiedzieliśmy się z radia o abdykacji Prezydenta Mościckiego, o objęciu władzy naczelnej przez nowego Prezydenta Raczkiewicza i o utworzeniu nowego rządu z gen. Sikorskim na czele.

...Nie od razu oczywiście, lecz powoli i stopniowo, w miarę spotkań i rozmów z przyjaciółmi — odślaniały się przede mną etapy i szczegóły zawczasu przygotowanej akcji, która — w końcowym swym wyniku — dała internowanie naczelnych władz polskich — wbrew zawartym umowom, wbrew prawu, w jaskrawej niezgodzie ze zwyczajami międzynarodowymi i z «*principes d'impartialité*», ustalonymi w konwencji haskiej. Pierwsze oznaki pojawiły się właściwie już w Czerniowcach 18 września, choć w tej początkowej fazie postępowania Rumunów wszystko jeszcze można było bez podejrzeń, ze zdziwieniem zapewne, ale przecież bez obaw — tłumaczyć ich nadmiernym dękiem przed Niemcami i Rosją.

Spróbuję przedstawić tu fakty w ich kolejności. A więc — naczelne władze polskie, w oparciu o zawarte umowy — przybyły do Czerniowiec w połowie nocy z 17 na 18 września. Czekają tu już przygotowane kwatery — dla Prezydenta u metro-polity, dla członków rządu i otoczenia u rezydenta królewskiego Flondora i w jednym z najlepszych hoteli. W godzinach rannych 18 września zgłosili się u ministra Becka dotychczasowy ambasador rumuński w Warszawie Grigorcea oraz szef rumuńskiego protokołu Crucescu, prosząc — w imieniu rządu rumuńskiego — o podpisanie deklaracji, która według przygotowanego już przez nich projektu stwierdzić miała, że rząd polski — zwracając się z prośbą o tranzyt poprzez Rumunię, zrzekł się z chwilą przekroczenia granicy wszelkich swoich atrybutów konstytucyjnych, politycznych i administracyjnych. Zaskoczony i zdziwiony tak nieoczekiwanym żądaniem — minister Beck z miejsca i stanowczo je odrzucił — jako pozostające w jaskrawej sprzeczności z tym, co było ustalone w Kutach i tam już przyjęte przez ambasadora rumuńskiego w imieniu jego rządu. Gotów był Beck co najwyżej oświadczyć formalnie w imieniu rządu polskiego, że władze polskie w czasie przejazdu przez Rumunię uszanują w pełni jej neutralność. Rumuni — ambasador Grigorcea i dyrektor Crucescu — uznali wobec tego potrzebę zwrócenia się do Bukaresztu po wyjaśnienia i po paru telefonach oświadczyli, że rząd rumuński «wobec nagłości wydarzeń» proponuje i prosi, by naczelne władze polskie ze względu na za-

rzadzoną na Bukowinie mobilizację jak najprędzej wyjechały z Czerniowiec w spokojniejszą głąb kraju z tym, że minister Gafencu zapowiada swój bezzwłoczny przyjazd tam dla omówienia i ustalenia zarówno strony technicznej tranzytu, jak i brzmienia deklaracji, jaką złożyć ma rząd polski. Zapowiedziano jednocześnie, że władze kolejowe w Czerniowcach otrzymały polecenie sformowania specjalnego pociągu, tak, by mógł wyruszyć tegoż jeszcze dnia przed południem. Minister Beck — po porozumieniu się z premierem, Prezydentem i marszałkiem, propozycję opuszczenia Czerniowiec zgodził się uznać za słuszną ze względu na odbywającą się tu mobilizację, podkreślił jednak najmocniej, że rząd polski oczekiwać będzie od Rumunów ułatwień w sprawie jak najszybszego tranzytu zgodnie z warunkami, ustalonymi w Kutach. Rumuni w odpowiedzi napomknęli — bardzo ostrożnie i nieśmiało — że niełatwa ich sytuacja skomplikowana jeszcze bardziej została przez fakt wystąpienia z Czerniowiec, a więc z terenu rumuńskiego — orędzia Prezydenta Mościckiego do narodu polskiego. Minister Beck zaprotestował kategorycznie przeciwko takiej interpretacji tego «faktu» — orędzie Prezydenta zostało zredagowane i podpisane jeszcze w Polsce i wysłane drogą radiową z Kut; w Czerniowcach konsul polski Buynowski otrzymał polecenie powtórnego wystąpienia tego orędzia drogą telegraficzną, nie było bowiem pewności, czy dotarło ono do wszystkich polskich placówek zagranicznych w brzmieniu niezniekształconym. Na pytanie, gdzie rząd polski udać się ma z Czerniowiec i jakie tam będą polityczne warunki pobytu — Rumuni oświadczyli, że miejscem chwilowego pobytu ma być Slanic w Mołdawii; zastaniając się przy tym brakiem ściślejszych informacji i instrukcji z Bukaresztu, podkreślali, że pobyt w Slanicu nie potrwa zbyt długo, bo sprawa jest pilna, że ureguluje to niebawem minister Gafencu w porozumieniu z ministrem Beckiem, zapewniali też — choć nie pytano ich o to — że naczelne władze polskie gdziekolwiek będą w krótkim okresie oczekiwania na załatwienie sprawy tranzytu, wszędzie znajdą «należyty komfort» warunków zewnętrznych. Na skutek prośby Rumunów, zaniepokojonych, by rząd polski jakakolwiek formą działalności politycznej nie stworzył bodaj najslabszej podstawy do zarzutu o nieprzestrzeganiu przez Rumunię zasad «najściślejszej neutralności» — odpaść musiała zainicjowana przez nuncjusza Cortesiego próba zwołania do siedziby ministra Becka, a więc do państwowego gmachu rumuńskiego — całego korpusu dyplomatycznego, akredytowanego przy rządzie polskim. Proszono również, by nie był tu wzywany żaden obcy dyplomata. Wobec tego minister Beck udał się do miasta, by tam — a nie u siebie — rozmówić się z nuncjuszem Cortesim oraz z ambasadorem Kennardem i Noëlem. Odjazd pociągu — przygotowanego na godzinę jedenastą, przesunięty został na czwartą po południu, bo wielu członków rządu polskiego — ugrzązłszy w Starożyńcu — nie zdążyłoby wcześniej przybyć do Czerniowiec. Ponadto — wobec ograniczonej ilości miejsc w

dziejzinach życia i na wszystkich szczeblach administracji państwowej. Tylko ślepy nie dostrzegłby tej panoszącej się tam wszędzie plagi. Rozkaz z góry, działającej nieraz z czystego przekonania lub państwowej potrzeby, nierzadko jednak także przekupionej — bywa różnie, albo nie bywa wogóle wykonywany na dole. Rozkaz, idący z góry, a nie poparty dodatkowymi łapówkami dla urzędników — wykonawców — pozostaje przeważnie martwy, lub też bywa wyraźnie sabotowany i łamany, bo urzędnicy — wykonawcy — przekupywani są z kolei przez tych, przeciwko którym rozkaz był skierowany. W wypadku internowanych władz polskich w Slanicu musiano w tym potwornym dla polskiego umysłu systemie powszechnego «bakszyszu» zastosować jakieś nadzwyczajne środki i metody, bo wykonywujący polecenia dół pozostawał w idealnej harmonii z rozkazującą górą, wykazując przy tym niespotykany nigdzie nadmiar dyscypliny i gorliwości. Przekupić tu pilnujących można było tylko na bardzo ograniczonym odcinku — udawało się więc za łapówki uzyskać jakieś połączenie telefoniczne; żony internowanych i mniej wysocy urzędnicy pod różnymi pretekstami i prawie zawsze przy pomocy pieniędzy otrzymywali parogodzinne przepustki, co pozwalało telefonować do Bukaresztu lub wysyłać depesze i listy z najbliższej — nie slanickiej — poczty. Niektórzy — za zgodą pilnujących lub z przepustką, ograniczającą czas i odległość — udawali się w dalszą i dość ryzykowną podróż, bo był to okres nie tylko mobilizacji, ale i bardzo ostrych represji wobec Żelaznej Gwardii po zabójstwie premiera Calinescu; kontrola przy wjeździe do miast i na skrzyżowaniach dróg była niezwykle obostrzona; pociągało to za sobą konieczność większych wydatków — kordon najbardziej nawet nieustępliwy miękł pod magicznym działaniem nie przepustki — przedawnionej czy nieważnej — lecz paru setek lei, wciśniętych w żandarmską łapę. Takimi to przeważnie drogami — przez wysłanie ze Slanica mniej pilnowanych urzędników i kobiet, udało się jeszcze we wrześniu nawiązać łączność z internowanym w Bicz Prezydentem Mościckim oraz dotrzeć do dygnitarzy rumuńskich w Bukareszcie, przede wszystkim do ministra Gafenki — który w takich wypadkach — zmieszany i zakłopotany — prosił «cierpliwie czekać» i nie przestawał zapewniać, że lada dzień wszystko się wyjaśni, bo on nie omieszka *de profiter de la première occasion favorable pour résoudre d'une façon définitive le problème* — niełatwy co prawda, ale pilny i palący — w próbach zaś wytłumaczenia tego, co się stało i dzieje — powoływał się na niezwykle ciężkie dla siebie kłopoty z Niemcami, którzy nie osłabiali swych nacisków, żądając zatrzymania naczelnych władz polskich w Rumunii.

Prawda w tej sprawie — jak każda ukrywana prawda — wymaga dla siebie czasu na to, by się ukazać mogła w całej pełni. Uplłyną zapewne jeszcze dość długie lata, zanim wyłonią się z ukrycia wszystkie szczegóły, potrzebne dla ściślejszego rozgraniczenia roli głównych i pomniejszych aktorów. Ale już

wówczas — w pierwszych tygodniach internowania — zarysowały się najwyraźniej linie o trwałym znaczeniu; mogą przybyć z czasem — jak zresztą przybywały w późniejszym okresie — nowe świadectwa i dowody, ale będą to już tylko elementy dodatkowe, niezdolne do zmiany zasadniczej treści i zasadniczego sensu wniosków, wyciągniętych już w początkowej fazie internowania. Prowadziła do tych wniosków nie tylko bezpośrednia obserwacja zdarzeń — różnych, nieoczekiwanych często wystąpień, różnych zabiegów i wysiłków oraz jakież wy-mownych reakcji. Odegrał tu — jak o tym mówić będziemy jeszcze niżej — bardzo poważną i najruchliwszą zapewne rolę opozycyjny odłam polskich działaczy politycznych — tych, którzy od wielu lat odsunięci od władzy — teraz właśnie — na tle dramatu narodowego po nią sięgnęli. Jak zawsze, tak i w tym wypadku — dokoła nowego, formującego się po klęsce wrześniowej kierowniczego ośrodka politycznego skupiła się dość poważna gromada ludzi bez trwalszych zasad, bez głębszych przekonań — ot, po prostu dożywoćnich zwolenników jak najlepszych stosunków z każdą odmianą władzy; ludzi, z zadziwiającą zręcznością umiających łapać w swoje żagle każdy nowy wiatr; wśród tej właśnie gromady nie brakowało sprytnych kombinatorów, pospolicie «dwustołkowcami» zwanych, którzy w zmienionej formie stosunków znalazłszy dla siebie właściwe miejsce i nie bardzo jeszcze wierząc w trwałość nowego stanu rzeczy — próbowali zabezpieczyć się na wszelki wypadek i nie-proszeni, acz w strachu i największej tajemnicy — jak wszelkie gatunki płazów — znosili szczegóły różnych podejmowanych inicjatyw czy interwencji, poufnych narad i «ściśle tajnych» instrukcji. Z drugiej strony — Rumuni. Dziwny to naród i dziwny kraj. Nieporównane łapownictwo — odzywający się na każdym kroku «bakszysz» — idzie w parze z brakiem szacunku dla jakiegokolwiek tajemnicy. Dygnitarze rumuńscy — i w początkowym, i w późniejszych zwłaszcza okresach — w przykrych i kłopotliwych rozmowach dla nich, chcą jakoś usprawiedliwić swe postępowanie, kłócące się czy to z charakterem dotychczasowych stosunków osobistych, czy z treścią oficjalnych umów i zobowiązań — zastaniali się argumentami o swej bezradności wobec przepotężnego nacisku z kilku stron. Nieraz mówili, kto czego od nich żądał, kto na co się oburzał, kto i czym straszyl. Jeden z prefektów, gdy mu zrobiono awanturę z powodu przekroczenia i tak już wygórowanych kompetencji — usprawiedliwiając się — pokazywał urzędową poufną korespondencję nie tylko z władzami rumuńskimi. Jeden z wyższych urzędników policji w szczerzej rozmowie opowiadał — od kogo to i ile ma różnych telefonicznych interwencji o charakterze szantażu — ile to osób obcych — nie Rumunów — odwiedza biura dyrekcji policji z różnymi poufnymi żadaniami — pokazywał wreszcie prawdziwe stopy różnych «bezinteresownych» donosów, w których podpisani imieniem i nazwiskiem — ludzie nieraz dobrze znani — wskazywali na przykłady «zbyt życzli-

skrawawionej już armii polskiej — trwać musiała oczywiście i w sprawie internowania władz polskich. Moskale — po nieudanej próbie zagarnięcia tych władz jeszcze w granicach Polski, na obszarze Śniatyn—Kuty—Kosów, — tym bardziej pilnowali teraz, by pułapka rumuńska działała bezzawodnie. Nacisk ich miał dla Rumunów ciężar tym większy, że nie ukrywano bynajmniej faktu zmasowania wielkich sił sowieckich nad granicą Besarabii i Bukowiny.

Przypierani do muru Rumuni nie szczędzili ani Niemcom, ani Moskalom wymaganych obietnic i zapewnień, z drugiej wszakże strony do internowanych władz polskich napływały poufnie z rumuńskiego ministerstwa spraw zagranicznych i nawet z kół dworu królewskiego wiadomości, że Rumunia w razie agresji będzie się broniła z «całym nakładem sił i energii» — że jednak po straszliwej klęsce, jakiej ofiarą padła Polska, muszą robić wszystko, co się da, aby tylko oddalić ten moment ostateczny — tym bardziej, że warunki zimowe będą sprzyjały dłuższej i skuteczniejszej obronie. Dodawano przy tym, że z konieczności zatrzymywane naczelne władze polskie w razie nagłej agresji ze strony Niemiec czy Sowietów będą miały zapewnioną możliwość wyjazdu z Rumunii w ostatniej chwili. Nie przestawano podkreślać, że są widoki na pomyślne rozwiązanie sprawy wyjazdu w najbliższym już czasie, ale... rząd rumuński musi działać ostrożnie i oględnie, władze polskie zaś cierpliwie czekać i ufać. Niektórzy posuwali się jeszcze dalej, stwierdzając ze szczerem niewątpliwie ubolewaniem i zastanowieniem, że z dwóch wchodzących tu w grę elementów strach góruje nad prawem. Wyrażano przy tym żal, że nie ma na czele rządu zamordowanego premiera Calinescu — on jeden miałby odwagę przeciwstawić się wszelkim naciskom i wykonać zawartą umowę o tranzyście władz polskich. Były i próby wykrętnego wytłumaczenia i usprawiedliwienia wydanych zarządzeń i zastosowanych metod. Minister Gafencu w swym aide-mémoire, złożonym ambasadzie polskiej w Bukareszcie 26 września, usiłował w sposób nader nieudolny przerzucić na władze polskie odpowiedzialność za to, co się stało — wyolbrzymiał więc sprawę orędzia Prezydenta, wysłanego z Kut, a powtórnie z Czerniowiec, rozdmuchiwał jej znaczenie, analizował szczegółowo fragment orędzia, mówiący o decyzji dalszego prowadzenia przez Polskę wojny. Sprawę tę poruszyłem już nieco wyżej, przedstawiając pierwszą czerniowiecką rozmowę ministra Becka z Rumunami, tam też przytoczyłem fakty, obalające tę wykrętą interpretację. Drugi argument, użyty przez min. Gafencu w tymże aide-mémoire, mógł wywoływać jeszcze głębsze zdumienie: stwierdzał on w sposób zgoła nieoczekiwany, że w Kutach, w rozmowie, ustalającej warunki przejazdu przez Rumunię, strona rumuńska godzić się miała jakoby na to tylko, by naczelne władze polskie przejechały przez terytorium rumuńskie do jakiegoś nieokreś-

lonego kraju *neutralnego* — a więc nie do Francji i nie dla dalszego prowadzenia wojny. Przedstawiłem wyżej — w jednym z początkowych fragmentów tych wspomnień — prawdziwy przebieg rozmów w Kutach i nie widzę potrzeby powtarzać tego raz jeszcze tutaj. Podkreślę tylko, że ambasador rumuński Grigorcea dobrze wiedział w Kutach o wyniku rozmów polskich z ambasadorem Noëlem, godził się w imieniu swego rządu i min. Gafencu na nieoficjalny przejazd władz polskich do portu w Constanzy i żadnych zastrzeżeń co do dalszego kierunku nie podnosił, bo podnosić nie mógł. Wymyślony przez Rumunów kierunek do «państwa neutralnego» wypłynął dopiero w tym projekcie deklaracji, z jakim — co również przedstawiłem wyżej — zgłosił się do min. Becka tenże ambasador Grigorcea w Czerniowcach, a więc już po przekroczeniu granicy przez władze polskie. Min. Gafencu to jednostronne żądanie rumuńskie, przedstawione dodatkowo już na terytorium rumuńskim, usiłując — wbrew prawdzie — wyinterpretować w swym aide-mémoire i przedstawić jako warunek obustronnie przyjęty w Kutach. To samo spostrzegamy i w trzecim — ostatnim — jego argumentacie w kwestii «nieoficjalnego» przejazdu władz polskich przez Rumunię. Również nie w Kutach bynajmniej — ale dopiero w Czerniowcach próbowano wyinterpretować ten warunek, jako zgodę rumuńską na wjazd i przejazd tylko «osób nieoficjalnych» i również w Czerniowcach dopiero ośmielono się zaproponować podpisanie deklaracji, równoznacznej z dymisją. Pan Gafencu i tu jednostronne, dodatkowe, czerniowieckie żądania traktuje — wbrew prawdzie — jako warunek obustronnie przyjęty i na tej podstawie robi zarzut, że rząd polski, przybyły do Rumunii *in corpore* — podkreśla przez to swój charakter oficjalny i w konsekwencji «sam stwarza» dla neutralnej Rumunii «sytuację nadzwyczaj trudną». Bardzo dziwne to aide-mémoire! Gdyby złożone zostało w ambasadzie niemieckiej lub sowieckiej, można byłoby widzieć w nim jedną z prób wykazania nie tylko nadmiernej gorliwości, ale i przezorności, zastępującej na uznanie i pochwałę, skierowane do ambasady polskiej — choć niezwykle kruche w swoich podstawach, słabe w wykrętnych argumentach — nie wywołało żadnej reakcji. Zresztą — składano je zapewne bez żadnych pod tym względem obaw — ambasada ta przecież swoimi ścieżkami zmierzała do tegoż celu. Nie odważył się minister Gafencu użyć żadnego z tych «argumentów» w rozmowie z min. Beckiem, gdy wreszcie — po kilku tygodniach — doszło do ich osobistego spotkania — po kilku tygodniach — doszło do ich osobistego spotkania, po raz pierwszy — z początkiem października, po raz drugi — w pierwszych dniach grudnia. Beck w grudniowej rozmowie w Bukareszcie opowiedział Gafence m. in. i o tym, jak to serdecznie i przyjaźnie powitano w Budapeszcie generała Sosnkowskiego. Regent admirał Horthy oświadczył wówczas, że mimo nacisków niemieckich zatrzymywał Sosnkowskiego nie będzie — że ma on wolną drogę do Paryża. Węgry — w przeciwieństwie do Rumunii — nie były związane z Polską sojuszem..

Gafencu wysłuchał tego z widocznym zażenowaniem — z głową nisko schyloną...

...Niemcy i Rosja w zgodnym wysiłku burzyły niezbyt mocne u Rumunów podstawy ich szacunku do umów i zobowiązań, do praw i obyczajów, czy wogóle nawet elementarnych ludzkich zasad przyzwoitości. Do zniszczenia resztek tego szacunku dążyli — niestety — i Polacy — w tych swoich odtamach, które — na tle dramatu wrześnieńowego i przy pomocy obcych czynników — chciały za wszelką cenę wrócić do utraconej kiedyś władzy. Inicjatywa wypływała z kilku źródeł, połączonych zresztą ze sobą różnymi niemi. — Wszystkie dość szybko zbiegły się w Bukareszcie, gdzie rola nie najmniejsza przypadła w udziale i ambasadzie polskiej. Do spisku — bo był to niewątpliwie spisek — wciągnięto chyba od razu i Rumunów, którzy sami — bez inspiracji — nie wpadliby na pomysł przygotowania już 13 września pałacyku w Bicz dla «dostojnego gościa z Polski». Sprawę całą utrzymywano oczywiście w jak największej tajemnicy, bo ujawnienie jej — choćby w drobnej części — groziło jeśli nie całkowitym fiaskiem imprezy, to poważnymi komplikacjami — wciągany w przygotowaną pułapkę rząd polski mógłby przecież, wyczuwszy podstęp, udać się do Francji inną drogą — np. samolotami wprost z terenu Polski. Starano się więc stworzyć jak najwięcej pozorów rumuńskiej serdeczności, przyjaźni, życzliwości. Wątpię bardzo, by do szczupłego stosunkowo grona wtajemniczonych należeć mógł ambasador Grigorcea, w imieniu króla i rządu ustalający w Kutach warunki przejazdu przez Rumunię. Wątpię jednak, by o przygotowawanej pułapce mógł nie wiedzieć król Karol; trudno też wyobrazić sobie, by nic nie wiedział min. Gafencu — może w najlepszym razie wciągnięty został do koła wtajemniczonych nie we wstępnej fazie, lecz nieco później — w każdym razie przed 17 września.

Jak nadmieniałem już — rolę wcale niemałą odegrała tu ambasada polska w Bukareszcie. Stojący na jej czele Roger Raczyński do grona inicjatorów chyba na pewno nie należał. Przede wszystkim — za dużo było «pańskości» w jego sposobie bycia; by chciał i mógł sam — z własnej inicjatywy — zniżyć się do poziomu takich metod. Może nawet nie wiedział nic o pierwszej fazie przygotowań do przewrotu. Zawsze zbyt wiele kwestii przerzucał na swego zastępcę — radcę ambasady Ponińskiego — lubił się nim wyręczać i dlatego często nie znał wielu spraw, dziejących się na jego ambasadorskim podwórku. Zresztą — organizatorzy mogli mu po prostu nie dowierzać, a więc i nie śpieszyć z wtajemniczeniem. Tak czy inaczej — ale ostatecznie stanął Raczyński po stronie przewrotu, a stanawszy — konsekwentnie już pchał tę taczkę, jaka mu w udziale przypadła.

W ramach ambasady bukareszteńskiej rolę w spisku o wiele czynniejszą, a raczej główną odegrał radca Poniński. Ludzie, znający go bliżej — bo ja nie, miałem tego zaszczytu — mówili o nim, że głównym motorem jego działania był moment zemsty

osobistej. Jako przedstawiciel grupy ziemiańskiej — wyładowywał żywą niechęć do ministra Ponińskiego, jako zawiedziony w swych wygórowanych ambicjach urzędnik miał nie mniejsze pretensje do Becka. W przewrocie widział drogę do kariery — upragnionych stanowisk, zaszczytów, honorów, wpływów. Nie mniej trwałymi zasługami w przewrocie zapisał się ppłk. Zakrzewski, będący od paru lat attaché wojskowym w Bukareszcie. W tym znowu jakieś zadawnione, ale dotąd starannie ukrywane urazy endeckie łączyły się teraz z motywami karierowiczostwa, który z czasem doprowadził go — poprzez różne wstrząsy, zatargi i zawody — do pierwszego szeregu gorliwców bierutowego obrządku. Obaj zelanci z ducha — tworzyli ośrodek wykonawczy w tej tzw. «rewolucji Simplon-Expressu». Obaj — pierwszy na odcinku politycznym, drugi na wojskowym, byli technikami przewrotu w granicach stosunków polskich i głównymi polskimi doradcami dla czynników niepolskich. Na Ponińskim przede wszystkim i Zakrzewskim spoczywał cały ciężar tych spraw, jakie wyłaniały się i wyrastały w związku z krótkotrwałym pobylem w Bukareszcie szeregu tych opozycyjnych polskich polityków i działaczy, którzy przygotowali się już tu do objęcia władzy, i stać się mieli niebawem wywalcami i głównymi członkami nowego rządu polskiego, powołanego w Paryżu. W niedługim okresie — między 16 a 21 września — przepłynęli przez Bukareszt St. Stroński, Zygmunt Graliński, Alf. Falter, Ładoś, Tomaszewski. Generał Sikorski, który 16 czy 17 września zjawił się w Kołomyi w Naczelnym Dowództwie, chcąc się widzieć i rozmówić z marszałkiem Śmięgiem — od 18 września był już w Bukareszcie. Nie wiem — niestety — jaki przebieg miały narady w tym gronie. Są jednak pewne fakty, prowadzące do bardzo wymownych wniosków, Otto Stroński — opuszczając Bukareszt — uważa się za ministra informacji, bo pozostawia u Ponińskiego kilkupunktowy program pracy propagandowej za granicą. Co więcej, 18 września, gdy Prezydent Mościcki dopiero co przekroczył granicę i był w drodze z Czerniowiec do Bicz — Stroński już docierał do Szwajcarii, by tam — w Morges — zgłosić się do Paderewskiego z propozycją objęcia stanowiska prezydenta Rzeczypospolitej. Płk. Zakrzewski, który — jak wspominałem — w sposób tej wiczwoli — sam później stwierdzał chwałę się, że uczynił to — sam później oddał się do dyspozycji. Po rozmowie z Sikorskim, któremu oddał się do dyspozycji — niński z miejsca — przy gorliwej pomocy Zakrzewskiego — zaczął sabotować wszystko, co w formie żądań czy poleceń przychodziło ze Slanica. Nie pozwalał więc na wysyłanie do Paryża czy Londynu żadnych pism, telegramów, szyfrów i robił nieraz gwałtowne awantury Raczyńskiemu, gdy ten dzięki przyzwoitości i głębszemu zrozumieniu konieczności państwowych, polecał jakiś szyfr wysłać. Nie pozwalał też Poniński na jakąkolwiek urzędową korespondencję z członkami rządu w Slan-

cu, co najwyżej sam w listach odręcznych informował o piętrzących się trudnościach i komplikacjach oraz o zupełnej bezskuteczności podejmowanych jakoby wysiłków. Zastosował też najostrzejszą cenzurę — listy, nadchodzące dla osób, zatrzymanych w Slanicu — najczęściej konfiskował lub po prostu niszczył. Asygnat pieniężnych, nadchodzących od członków rządu, nie honorował. Ludzi, którzy z polecenia rządu mieli udać się do Francji czy gdzie indziej — zatrzymywał i unieruchamiał w Bukareszcie. Jednocześnie — tak paraliżując działanie skrupowanego już przez Rumunów rządu — opracowywał przy udziale Zakrzewskiego obszerną «czarną» listę osób — «niepożądanych» — «podejrzanych» — «szkodliwych». Bardzo szeroki to był wachlarz. Ambasador Raczyński już od 20 września raz po raz jeździ do Bicaz, by tam — przy pomocy różnych argumentów i niepokojących zapewnień — przekonać Prezydenta o konieczności abdykacji, bo — jak powtarza — dotychczasowy stan rzeczy nie da się utrzymać, a zwłoka spowodować może nieobliczalne następstwa. Unikając wyjazdu do Slanicy — w listach, kierowanych tam, mówi o zupełnej bezskuteczności swych podejmowanych interwencji u Rumunów w sprawie internowanego rządu, nie robi też żadnych widoków na pomyślnie rozstrzygnięcie, choć i zapewnia o swych staraniach. Jednocześnie — przez dobranych pomocników — usiłuje nakłonić rząd Składkowskiego do ustąpienia, strasząc go możliwością powstania w Paryżu jakiejś niezależnej od Mościckiego rady czy komitetu. Niezrozumiała dla mnie i nawet dziwną rolę odegrał tu m. in. senator Tadeusz Katelbach, uważający się za piłsudczyka i przed wojną nader mocno związany z kołami tzw. sanacji, której zresztą nie tylko senatorską godność zawdzięczał. Został on już w czasie ewakuacji — wyższym urzędnikiem w ministerstwie propagandy i z polecenia min. Grażyńskiego dość wcześniej znalazł się w Bukareszcie dla wykonania pewnych prac. Spotkawszy się już w Czerniowcach ze Strońskim — jakoś bardzo szybko z nim się dogadał — zapomniał o przebywającym jeszcze w Polsce szefie swoim Grażyńskim, za szefa Strońskiego właśnie uznał i od wyjeżdżającego do Szwajcarii przyjął szereg poleceń do wykonania w zakresie pracy propagandowej. Co więcej — po równie szczerzych rozmowach z Raczyńskim napisał już 21 września list do premiera Składkowskiego, domagając się od niego jak najszybszego podania się do dymisji wraz z całym rządem, który «skończył swoją rolę», strasząc też, że w razie zwłoki — powstać może w Paryżu jakaś co najmniej niepożądana rada czy komitet, który zdoła bardzo szybko ugruntować tam swoje wpływy. Nie brakowało w tym liście i ostrego zwrotu przeciw marszałkowi Śmigłemu. P. Katelbach — w wydanych w Paryżu na wiosnę r. 1940 «Kartkach z pamiętnika» wspomina o tym swoim wystąpieniu — pisze o tym z dość dużą dozą pewności siebie, graniczącej niemal z megalomanią. Dość groteskowo to wygląda — przypadkowy senator w roli zbawcy Ojczyzny! Przedstawia sprawę tak, jakby

nie było w tym za grosz oportunistu. Nie chce go o ten oportunizm posądzać — ale w takim razie chyba nie orientował się zupełnie w grze, w jaką został wepchnięty. I dziwić musi łatwość, z jaką zrzucił z siebie przedwojenny swój bagaż. Myślę też, że dziś, gdy ostracyzm odtajał i przeradza się już w wielu w chęć odrabiania stanowiska, zajętego zaraz po wrześniu — autor niefortunnnych «kartek» chyba dość gorzko żałować musi, że wichur czerwcowej katastrofy francuskiej nie rozrzucił ich i nie poszarpał.

Wszystko to było rolą wykonawczą — nie kierowniczą, ale drugorzędną. Kto tu — a zwłaszcza w przygotowaniu pułapki — odegrał rolę główną? Odpowiedzi na to pytanie nie ma jeszcze. W każdym razie — nie można tej głównej roli przypisywać ani ambasadowi, ani nawet całej opozycji polskiej, przygotowującej się do objęcia władzy. W Rumunii jeszcze w r. 1939 krążyły uporcezywie pogłoski o fantastycznych sumach, jakie w formie łapówek miały utonąć w kieszeniach różnych dygnitarzy, nie wyłączając osób z królewskiego pałacu. Mówiono o milionach. Oczywiście — dowodów na to żadnych nie ma, bo i któżby zostawił tu mógł jakieś kompromitujące ślady? Jedyłą podstawą do przyjęcia tych pogłosek jest panujący w Rumunii wszechwładnie «bakszys». Jeśli więc — z zastrzeżeniami tymi przyjmie się pogłoski o łapówkach — to cóż tu zaofiarować mogła ambasada czy nawet cała żebraczo-biedna opozycja polska? Mówiono również niemało o masonerii. Nie znam się zupełnie na celach i dążeniach tego tajemniczego związku. Podobno — niewidoczny i nieuchwytny — ma wszędzie swoich członków i przez nich wszędzie sięgać może. Wpływami jego tłumaczy się wiele zjawisk i zdarzeń. Jeśli tak jest, to chyba «bracia» polscy także tam muszą na najniższych szczeblach — bo Polak, posądzany o przynależność do masonerii, nigdy nie jest w centrum wydarzeń — lecz zawsze gdzieś na boczku, na marginesie i zawsze jak ten biedak, co to na pstrym koniu zmiennej łaski pańskiej jeździ. Jeśli więc cień masonerii pada i tu — to i tu niezawodnie daleka, kierownicza góra nakazywała polskim pionkom maszerować zgodnie z pionkami rumuńskimi. Wreszcie — mówili Rumuni, a i wiele innych faktów świadczyło wymownie, że w tej sprawie — internowania władz polskich — działały również wpływy francuskie. Nie! — jestem jak najdalej od myśli posądzania rządu francuskiego o jakikolwiek udział w tej akcji. Jest aż za dużo dowodów na to, że działało się to bez wiedzy rządu francuskiego i nawet wbrew jego ówczesnym intencjom. Premier Daladier 17 września w depezy w sprawie transportu złota Banku Polskiego poprzez Rumunię, Turcję i Syrię do Francji mówił też o zgodzie na przeniesienie władz polskich i na ich suwerenne działanie z obszaru Francji. Dodatkowo 22 września nadeszło do Slanicy od rządu francuskiego pisemne potwierdzenie umowy, będącej wynikiem krzemienieckich rozmów min. Becka z ambasadorem Noëlem. Działające tu wpływy francuskie wywodziły się z tych pozarządowych francuskich

— politycznych i wojskowych — kół, czy ugrupowań, które od dawna już skupiały dokoła siebie różnych polskich opozycjonistów, od dawna dążyły do zmiany rządu w Polsce, a teraz — postanowiły wykorzystać sytuację — nie dopuścić do Francji Prezydenta Mościckiego i władz polskich, prowadzących od szeregu lat samodzielną politykę i nie idących na pasku, by w rezultacie powołać do życia nowy rząd polski, złożony z ludzi oddanych, posłusznych i uległych — niezdolnych w swym kompleksie niższości i ślepym zaufaniu do samodzielnego działania i stawiania żądań, lecz gotowych do spełniania wszelkich wskazań i poleceń. Te właśnie wpływy francuskie, korzystając gdzie trzeba było z rad i technicznej pomocy głównych polskich aktorów w akcji internowania — popierały ich w Bukareszcie i torowały im drogę wszędzie, nie tylko w Rumunii, ale i we Francji...

...W początkowej fazie — w ciągu kilku pierwszych dni pobytu w Słanicu — rząd, umieruchomiony tam, odcięty od świata, zdany tylko na wykrętne i kłamliwe informacje od Rumunów — mógł jeszcze mimo wszystko nie tracić nadziei na pomyślne rozwiązanie sytuacji. Ale już i teraz — w tych pierwszych dniach — gnioła go ciężka troska, by przedłużająca się zwłoka nie przerodziła się w niebezpieczeństwo przerwania ciągłości naczelnych władz Rzeczypospolitej i w konsekwencji zepchnięcia Polski z pozycji suwerennego partnera do roli obiektu, reprezentowanego — jak w poprzedniej wojnie — przez jakąś nową odmianę komitetu narodowego. W związku z tym — zwłaszcza po nadejściu od premiera Daladier'a pisemnego potwierdzenia umowy co do «droit de résidence» we Francji, niektórzy członkowie rządu — o ile wiem Grażyński, Kwiatkowski, Kościatkowski i wiceminister Kożuchowski — wystąpili z projektem rozproszenia się; niech kto może wyjeżdża ze Słanica — na własną rękę, w pojedynkę, bez wiedzy Rumunów — i niech stara się dotrzeć jak najprędzej do Francji, i tam — w oparciu o umowę — rozpoczyna pracę rządu, choćby w bardzo niekompletnym na razie zespole. Zdania w tej sprawie były wszakże podzielone. Premier popierał tę myśl i za jego zgodą 24 września minister propagandy Grażyński znikł ze Słanica i w krótkim stosunkowo czasie dotarł szczęśliwie do Francji. Mniejszość jednak — z min. Beckiem na czele — wypowiedziała się przeciwko temu projektowi nie dlatego tylko, że uważała takie rozproszenie rządu za niewskazane i nawet szkodliwe, ale dlatego przede wszystkim, że nie sądziła, by członek rządu mógł wyjeżdżać z Rumunii przed zwolnieniem i wyjazdem Prezydenta Rzeczypospolitej. Zresztą — w zaostrzających się z dnia na dzień warunkach internowania wyjazd ze Słanica nie był rzeczą łatwą. Toteż ostatecznie — po targach z Rumunami i za ich zgodą — 25 września opuścili Słanic z zamiarem udania się poprzez Bukareszt do Francji marszałkowie sejmu i senatu Makowski i Miedziński oraz prezesi najwyższych instytucji państwowych Krzemiński, Supiński i Hełczyński.

...W tym samym czasie — wśród mnożących się ograniczeń i trudności — usiłowano nawiązać łączność z izolowanym w Bicz Prezydentem Mościckim. W uzyskiwanych raczej cudem połączeniach telefonicznych ograniczyć się trzeba było ze względu na niewątpliwą podsłuch do wymiany tylko strzępów informacji — i to w formie kamuflowanych niedomówień. Nie mogło to, rzecz jasna, wystarczyć w sytuacji tak poważnej. Toteż szukano innych dróg i w ciągu kilku dni wystano do Bicz paru emisariuszy z zadaniem poinformowania Prezydenta o sytuacji rządu oraz uzyskania od niego wiadomości co do warunków jego życia oraz jego poglądów i zamierzeń.¹⁾ Od 24 września wiadomo już było w Słanicu, że Prezydent rozważa kwestię swojej abdykacji i wyboru nowego następcy, bo i marszałek Śmigły-Rydz, wyznaczony na następcę w pierwszym dniu wojny — był również internowany.

Jak nadmieniałem już wyżej — gościem w Bicz prawie codziennym był ambasador Raczyński. Przywoził on wiadomości, mające przekonać Prezydenta o beznadziejności sytuacji. Zapewniał więc o niestabnym nacisku Niemców i Moskali, — z ubolewaniem stwierdzał całkowitą bezskuteczność swoich własnych interwencji u Rumunów, mówił wprawdzie, że Anglicy złożyli w Bukareszcie protest z powodu internowania władz polskich, ale dodawał, że skutku żadnego to nie daje. Francuzi — według Raczyńskiego — protestu nie składali, bo po «kompromitującej aliantów kampanii w Polsce» wpływy swoje na Rumunów oceniają nader nisko. Z czasem — przybyły inne jeszcze argumenty: powoływał się więc Raczyński na wiadomości z Paryża — mówił o niepokojących zabiegach wpływowych kół francuskich i związanych z nimi polskich czynników — wreszcie podkreślał, że alianci — Anglicy i Francuzi — tracąc coraz bardziej nadzieję na wydobycie z Rumunii Prezydenta i rządu, zaczynają wywierać nacisk w kierunku powołania — w oparciu o postanowienia konstytucji — nowych naczelnych władz polskich.

Prezydent Mościcki — po kilku dniach rozważań — widząc całą beznadziejność sytuacji własnej i niebezpieczeństwo, mogące stąd wyrosnąć — postanowił abdykować. Myślał jednak o przekazaniu następstwa gen. Kazimierzowi Sosnkowskiemu, który zarówno zagranicą, jak i w kołach polskich wszelkiego autoramentu cieszył się mógł powszechnym uznaniem, i dawał przy tym ciężarem swego nazwiska największą gwarancję wydatnego poprawienia na terenie międzynarodowym zachwianej po klęsce sytuacji Polski. Sosnkowski wszakże przebywał jeszcze w Polsce — według nadchodzących pogłosek walczyć miał na Podkarpaciu, przedzierając się ku granicy węgierskiej. Prezydent Mościcki nie tracił nadziei, że uda się Sosnkowskiemu

¹⁾ Z zadaniem takim jeździł ze Słanica do Bicz m. in. i W. T. Drymmer, który podróż tę i rozmowę z Prezydentem opisał w swym wspomnieniu «Z Kut do Bicz», ogłoszonym w jerozolimskim piśmie «Na Straży» Nr 28-30, październik-grudzień 1946.

dostać na Węgry, a stamtąd do Francji. Niewiadomo było jednak, kiedy to nastąpić może, a czas naglił. Szukał więc Prezydent Mościcki człowieka, który by się zgodził objąć prezydenturę tymczasowo — z tym, że uzna bez zastrzeżeń zwierzchnictwo Sosnkowskiego i przekaże mu wysoki urząd i godność natychmiast po przybyciu do Francji. Człowieka takiego widział Prezydent Mościcki w generale Wieniawie-Długoszowskim — ówczesnym ambasadorem polskim w Rzymie. Ostatecznie wszakże na następcę Prezydenta wyznaczony został Władysław Raczkiewicz, przebywający już w Paryżu, bo od 16 września, będący w drodze z Polski do Ameryki, jako prezes Światowego Związku Polaków...

...Wiadomość o decyzji Prezydenta nadeszła do Slanica w godzinach rannych 30 września. Rząd w odpowiedzi wysłał tegoż jeszcze dnia dwie depesze — do profesora Mościckiego i Prezydenta Raczkiewicza — z wyrazami hołdu i z prośbą o dymisję.

..Mimo, że z tą chwilą członkowie zdymisjonowanego rządu stawali się zwykłymi obywatelami — internowanie trwało. Ponieważ Slanica był tylko letniskiem nieprzygotowanym do warunków zimowych — Rumuni postanowili przenieść stąd byłych członków rządu do innej miejscowości. Wybrano Baile Herculane w południowo-zachodnim kącie Rumunii. Odjazd ze Slanicy nastąpił 3 października wieczorem. Przed Bukaresztem — na jednej z podmiejskich stacji oczekiwał minister Gafencu ze swoim sztabem. Teraz dopiero doszło do pierwszej jego rozmowy z ministrem Beckiem. Rozmowa ta odbyła się w cztery oczy w aucie Gafenki w czasie krótkiego spaceru...

...Tu również — na tej podmiejskiej stacyjce — minister Gafencu może i w szczerzej trosce o wygody i warunki fizyczne dla ministra Becka, zaproponował, by odłączył się on wraz z rodziną od grupy rządowej i udał się — «jako gość» Gafenki — do górzystego Brasov, gdzie zarezerwowano już w tym celu część najlepszego tam hotelu. Zaproszenie to — jakkolwiek utrzymane w najgrzeczniejszej formie — graniczyło właściwie z nakazem. Zaniepokojone otoczenie Becka zrozumiało to jako nową próbę odosobnienia. Zaskoczony tą reakcją Gafenku zgodził się na wyjazd do Brasov także i najbliższego otoczenia Becka oraz również chorego ministra Romana z rodziną...

...Pozostali członkowie zdymisjonowanego rządu odjechali do Baile Herculane. Marszałek Śmigły Rydz — gdzieś chyba w połowie listopada — przeniesiony został przez Rumunów z Craiovej do Drogoşlavei, gdzie — w willi patriarchy rumuńskiego przebywał aż do chwili swojej ucieczki z Rumunii do kraju. Były prezydent Mościcki — również w połowie listopada — został przeniesiony ze skandalicznych warunków w leśniczówce w Bicaz do Craiovej...

(d. c. n.)

Władysław POBÓG-MALINOWSKI.

Archiwum polityczne

Kłeska armii włoskiej nad Donem

Załamanie się frontu wschodniego pozostaje wciąż najmniej znanym rozdziałem historii ostatniej wojny. Brak doń najniezbędniejszych materiałów. O komunikatach stron wojujących i towarzyszących im w prasie komentarzach tzw. ekspertów wojskowych lepiej nie mówić. Po dwóch kryzysach zimowych front wschodni zapadł się jak domek z kart w ciągu kilku tygodni. Przesłanki i mechanizm tego zjawiska pozostały nieznanne szerszej publiczności. Główni uczestnicy dramatu — wojskowi niemieccy i sowieccy — zachowują dotąd milczenie. Pierwszą publikacją rzucającą światło na dzieje frontu wschodniego jest dziennik oficera Korpusu alpejskiego imieniem Nuto Revelli, obejmujący czas od lipca 1942 (do marca 1943 i zawierający opis katastrofy armii włoskiej nad Donem. Dziennik Revelliego zwraca uwagę nie tylko jako dokument historyczny, ale — w stopniu jeszcze większym — jako dokument ludzki, którego aktualność przekracza ramy opisanych przezeń wypadków¹).

1

Autor dziennika jest młodym oficerem zawodowym ery faszystowskiej. Wychowanek Akademii wojskowej, po krótkim pobycie w pułku bierze udział — zapewne jako ochotnik — w ekspedycji włoskiego korpusu alpejskiego na Ukrainę, skąd wraca wiosną 1943. Po okupacji północnej części Włoch przez wojska niemieckie jesienią tegoż roku, Revelli ucieka w góry i zostaje jednym z wybitniejszych oficerów armii partyzanckiej. Koniec wojny zastaje go we Francji, gdzie wspólnie z *maquis* i XV armią amerykańską walczy przeciw Niemcom. Dowodząc na różnych frontach w formacjach regularnych i partyzanckich, kilkakrotnie ranny, Revelli zdobywa znaczne do-

¹ Nuto Revelli. Mai tardi. Diario di un alpino in Russia. Panfilo Editore, Cuneo 1947.

świadczenie, które być może zostanie wykorzystane przez reorganizującą się obecnie republikańską armię włoską.

Jeżeli zatrzymamy się nieco dłużej na osobie autora, nie będzie to z uwagi na jego minioną i przyszłą karierę wojskową, ani nawet z racji jego odwagi, ran i zdobytych w boju odznaczeń. Wagę jego słowa nadaje przede wszystkim pewnego rodzaju bezlitosna szczerłość, która łączy jego «*pagine convulse e illetterate*» z sławnymi stronicami wielkich memorialistów.

W dzienniku swym Revelli ukazuje się zrazu jako młody oficer o dość ograniczonym horyzoncie. Myśl jego nie wybiega — nawet tam, gdzie chodzi o ocalenie własnego życia — poza zakres pojęć o dyscyplinie, obowiązku i honorze, ustalonych tradycyjnie na użytek szkół wojskowych i koszar. W ograniczaniu się do pojęć prostych wyczuwa się u niego obawą przed siłami frazeologii faszystowskiej, do której Revelli czuje nie tajoną odrazę. Postawa początkowa autora, chowającego się za obowiązek i dyscyplinę, aby móc nie przyjmować do wiadomości aspektów politycznych wojny, zdaje się wynikać z położenia poważniejszej części młodzieży włoskiej w epoce faszystowskiej i jest obliczona na potrzeby krajowe. Nad Donem postawa taka okaże się wkrótce niedostateczna.

Oto jak wygląda pierwsze spotkanie Revelli z dezertierami sowieckimi: «Przejmując mnie wstąpiłem jako dezertierzy i traktuję ich jak psów. Raz po raz podnoszę głos i widzę jak się trzęsą ze strachu. Jeden z nich — najnikczemniejszy — mówi, że nabój w lufie zachował na wypadek spotkania z patrolem rosyjskim, do którego byłby strzelał. Z wymownym ruchem ręki powtarza, że strzelałby bez wahania do swych towarzyszy broni... Dwóch pochodzi z Astrachania, jeden z Woroneża, dwaj są Ukraińcy. Wszyscy są już nie młodzi. Jeden ma głos płaczliwy, jak gdyby kobiecy, obrzydliwy (str. 58-59).

Zamknięty w swym kręgu pojęć, Revelli nie bierze pod uwagę, że znajduje się w kraju trawionym od ówczesnego wieku przez terror i wojnę cywilną, w którym żołnierze mogą mieć bardzo różnorodne motywy dezercji i nawet strzelania do wczorajszych towarzyszy broni. Dla oficerów Zachodu, zamkniętych w swych zawodowych pojęciach, ludność Europy Wschodniej, szukająca ocalenia i wolności na drogach nie przewidzianych w regulaminach i tradycjach wojskowych, pozostała do końca nie przenikniona. Widać to chociażby z wyroku norymberskiego trybunału, potwierdzającego raz jeszcze w 1948, że partyzantów wschodnich należy uważać za bandytów. W końcu 1942, nikt na Zachodzie nie przypuszczał, że właśnie samorzutny i nieregularny opór ludności zmieni najlepiej wyszkolone i wyekwipowane armie świata w beładny tłum pozawijanych w koce uchodźców, wlokących się resztkami sił po śnieżnej równinie. W rok później sam Revelli będzie dezertierem i partyzantem, ukrywającym się przed władzami. Ale od tego momentu dzieła go jeszcze miesiące tragicznych doświadczeń.

Na razie Revelli pogardza nie tylko sowieckimi dezertierami,

ale także własnymi kolegami, którzy ukrywają się na tyłach, unikając niebezpiecznej służby frontowej, lub uprawiają handel na czarnym rynku. Tchórz i *imboscato* są dlań najobelżywszym epitetem. Potem idą grabieżcy składów wojskowych i spekulanci, Brak inteligencji i poczucia rzeczywistości razi go o wiele mniej, chyba u wyższych szczeblach.

W tej hierarchii grzechów widać też pewien konflikt między tradycyjnymi pojęciami i nową rzeczywistością wojnącej Europy. Zginać, pomagając Hitlerowi w ujarzmianiu świata, jest śmiercią straszną. Nie wiadomo nawet co z nią począć, bo żadne formuły ani fanfary żałobne tu nie pasują. «Pochować i milczeć», jak mówi Goya w *Los Desastres*. Jeżeli wziąć pod uwagę, że Niemcy mieli i co do Włoch bardzo jasno określone plany, i że zagłada części armii włoskiej na Ukrainie odpowiadała najlepiej ich zamiarom, śmierć taka przybierze, jeszcze straszniejsze, ohydne oblicze.

Nawet los zuchwałego bandyty, który sam przeciw wszystkim wstępuje na szczeble szubienicy, wydaje się godny zazdrości, kiedy porównamy go z losem nieszczęśliwego żołnierza, ginącego marnie — zbiorowo i pokornie — jako ofiara niegodziwej polityki. Kto będzie twierdził, że się takiej śmierci nie boi? Kto nie przyzna, że każda inna śmierć i każde, nawet nędzne życie są więcej warte? Czym jest odwaga w obliczu takiego końca?

Kiedyś żołnierze sprzedawali się za złote dukaty, za udział w łupach i kapeluszy z piórem. Mieli wówczas ze śmiercią *clara pacta*, w których nie było miejsca na szantaż ojczyzną i obowiązkami. Nawet przed ponurym dębem wisielców wiecznym przez Callota, lekceważenie życia należało do tekstu i stylu tych paktów. Dziś styl taki wydaje się — niby styl operowy — mało licujący z powagą sytuacji. Zresztą o dukatach i kapeluszach też nie ma mowy, bo żołnierze włoscy są głodni i lichy odziani.

Revelli nie jest niedostępny dla wątpliwości rodzących się z konfrontacji jego konwencyjnych pojęć z rzeczywistością. W dzienniku jego wątpliwości pojawiają się w formie nagłych przebłysków, które młody oficer odpędza od siebie jak natrętną muchę, nie przemyślając ich do końca. Czujemy je, kiedy z ciekawością patrzy na przechodzący ulicą prawosławny kondukt pogrzebowy. W Dniepropietrowsku, zrozpaczony korupcją panującą na tyłach, notuje: «Przechodzi grupa dwudziestu partyzantów, uszykowanych dwójkami pod konwojem rosyjskiej policji ze zniżonymi karabinami. Są wśród nich młodzi i starzy. Idą z głową podniesioną, jak gdyby znali już — i być może właśnie dlatego — swój los. Kontrast jest uderzający. Czuję się upokorzony należąc do armii, która i na ten los nie zastępuje» (str. 84).

Źródłem najdotkliwszych wątpliwości jest dla młodego oficera lekceważenie i pogarda okazywana na każdym kroku Włochom przez ich niemieckich towarzyszy broni. Ale i tu myśl

jego pozostaje chwiejna, unikając pytania głównego: Czy arogancja Niemców nie jest konsekwentną postawą zdobywcy świata wobec partnera słabszego, który tchórzliwie uchyla się od rozpoznania własnej sytuacji?

Ponieważ myśl nie dostarcza mu żadnych wskazówek, na zniewagi niemieckie Revelli reaguje czysto uczuciowo. W dzienniku swym notuje o Niemcach uwagi pełne bezsilnego gniewu i obelżywych słów. Uwłaczające epitety, jakimi Włosi obrzucali swych niemieckich towarzyszy są najczęściej odwróceniem niemieckiego poczucia wyższości rasy. Revelli mówi zazwyczaj o Niemcach jak o kundlach, bękartach, paskudnej rasie niskiego pochodzenia: *bastardi e cani, razzaccia barbara e malnata, razza kruka maledetta etc.* Przy końcu odwrotu notuje, że zrazu wstydział się instynktownej nienawiści do Niemców, teraz zaś poszukiwanie na nich zemsty za klęskę korpusu alpejskiego wydaje mu się obowiązkiem.

W ostatniej fazie odwrotu najbardziej służbiści oficerowie stają się jak gdyby innymi ludźmi. Oto co notuje Revelli: «Po kilku godzinach marszu jestem wyczerpany, skończony, nie mogę już więcej. Od czasu do czasu czepiam się na chwilę niemieckich sani, należących do 4-ej kompanii i siadam koło dowódcy tej ostatniej, przyjaciela Albertiego. Mówi, że jeżeli los mu pozwoli, zostanie adwokatem na jakiejś spokojnej prowincji; po takiej strasznej przygodzie nie pragnie już niczego więcej. Odpowiadam mu, że i ja za żadne skarby nie zostanę w wojsku. Tymczasem chodzi o to, jak wyjść z tej pułapki. Dramat ten zmieni na pewno cały dalszy bieg naszego życia. Marchi (dowódca kompanii Revellego) jest również wyczerpany, mniej więcej w tym samym stanie co ja. Na przemian ze mną przysiadają się również na sanie» (str. 212-213).

Zmiana ta odbywa się cała w planie uczuciowym, pod świeżym wrażeniem chwili. Jakkolwiek głęboka, zdaje się nie dotykać zapasu pojęć konwencyjnych, z którymi autor wyruszył w świat. W trzy lata później, kiedy udział w wojnie partyzantkiej przywróci tradycyjną wartość jego odwadze i ofiarze, Revelli będzie mógł znów napisać w przedmowie do swego dziennika: «Hekatomba Włochów w Rosji zostawiła po sobie wspańnięte stronie bohaterstwa. Najlepsi zginęli tam czując, że wojna ta nie jest ich wojną, lecz walcząc mimo to, bo tak im nakazywało sumienie».

W słowach tych widzimy autora znów w tym samym miejscu, z którego wyruszył latem 1942 na Ukrainę w przekonaniu — jak pisze — że oficer ma obowiązek moralny i zawodowy być podczas wojny na froncie. Jest to wciąż niby gorączkowe majaczenie rannego z nim razem podoficera: «Czy znaleziono mój karabin? Czy nasz patrol szczęśliwie wrócił? Kiedy wyjdziemy znów? Ale ja przecież umieram, umieram za ojczyznę...».

Droga wewnętrzna, jaką odbył Revelli, aby po tylu manowcach wrócić do punktu wyjścia, jest charakterystyczna dla jego pokolenia. Podobnie jak Revelli, całe jego pokolenie Europej-

czyków w chwili tragicznego konfliktu odnalazło w sobie niespodziane cnoty heroiczne, pozostając słabe i niedoświadczone w myśli, niezdolne do rozpoznania swej nowej sytuacji w zmienionym świecie.

Towarzysz Revellego z wyprawy na Ukrainę, który napisał przedmowę do jego dziennika, usiłuje w inny sposób nadać pozytywny sens nieszczęśliwej ekspedycji. Bez katastrofy wojennej w początku 1943 — powiada — nie przyszedłoby jesienią tegoż roku do upadku dyktatury faszystowskiej. Z krwawej ofiary armii zrodził się duch oporu, który przyprowadził do uwolnienia Włoch. Słabość takiej argumentacji jest oczywista.

Nakazy sumienia, dyscypliny, honoru i obowiązku zawodowego — wszystkie te słowa są tylko fasadą, zasłaniającą kryzys pojęć, jaki toczy armie europejskie. Nie mogąc się wyzwolić z magii tych słów, generałowie niemieccy szli przez pięć lat do szubienicy, na której miał ich powiesić w razie zwycięstwa ich własny dyktator lub — w razie klęski — trybunał nieprzyjacielski. Tą samą drogą szedł z nimi Revelli, i dziennik jego zawiera liczne świadectwa jego niepokoju.

Zagadnienie osobiste Revellego nie utraciło wcale aktualności. Przeciwnie, wzrastające napięcie między wielkimi mocarstwami stawia dziś całą młodzież europejską w obliczu tego samego moralnego i pojęciowego manowca. Konflikt między wielkimi potęgami ma wciąż charakter walki o władzę nagą. W walce tej o prawa i życie ludności europejskiej nie chodzi. W bezwstydnym paktach wielcy podzielili tę ludność między sobą razem z innymi łupami wojennymi. Jaka będzie w razie konfliktu zbrojnego rola żołnierzy europejskich, którzy — jako mniej lub więcej przymusowi alianci wielkich potęg — znajdują się pierwsi na najbardziej zagrożonych pozycjach? Sytuacja ich będzie bardzo podobna do sytuacji Włochów nad Donem. Czekają ich — w obecnym stanie polityki mocarstw — tylko śmierć za nich tabaki. Czy w tych tragicznych okolicznościach można zachować resztkę godności ludzkiej chowając — jak Revelli — głowę w piasek? Takie sytuacje widywano i dawniej, ale trzeba do nich muzyki innej niż stara katarzynka, na której przygrywało rekrutom od czasów Napoleona.

2

Dziennik Revellego jest historią jednej kompanii i nie daje pojęcia o całości operacji VIII Armii włoskiej ani Korpusu alpejskiego. Z codziennych notatek wyłania się jednak powoli obraz ogólnych warunków istniejących w 1942-1943 na froncie wschodnim.

Na pierwszym miejscu uderza czytelnika słabe wyposażenie materiałowe Korpusu Alpejskiego. Wyszkolony i wyekwipowany do wojny w górach, Korpus wiezie liny, ciupagi, raki itd. w przypuszczeniu, że jedzie na front kaukaski. Jako własny środek transportowy posiada oczywiście muły. W końcu lata 1942

na froncie wschodnim panować musiało już znaczne zamieszanie, bo Korpus Alpejski skierowany został nagle nad Don dla zamknięcia luki powstałej wskutek rozbitcia innej wielkiej jednostki włoskiej, dywizji Sforzesca.

Już w drodze na wschód Revelli notuje trudności transportowe. Od Ostrowia Wielkopolskiego pociągi posuwają się ostrożnie i powoli. W Siedlcach widać pierwsze pociągi postrzelane przez partyzantów. Korpus alpejski jedzie drogą nieco okólną przez Brześć, Stołpcę, Mińsk, Żłobin, Homel, Bachmacz, Konotop, Marefę do Gorłowki. Podróż ta trwa 9 dni. W kilku miejscach wzdłuż toru Włosi widzą cmentarze taboru kolejowego. W Gorłowce kolej się kończy i dalej Alpini idą pieszo.

Od chwili wyładowania się z wagonów Włosi zapoznają się z trudnościami kwaterunkowymi. Domy zajęte są przez Niemców i Alpini obozują pod gołym niebem. Szwankuje także wyżywienie. Złe wypieczony chleb powoduje liczne choroby kiszki. Głód będzie towarzyszył odtąd Włochom do samego końca. Posuwając się pieszo, Alpini zostawiają w drodze coraz to inne części ekwipunku. Poczty z kraju otrzymują nieregularnie, z długimi przerwami.

W końcu sierpnia, po 25 dniach marszu, kompania Revellego przychodzi do Worosziłowgradu, gdzie czeka autokolumna, mająca ją zawieźć na front. Alpini mają więc za sobą ołbrzymią przestrzeń pozbawioną komunikacji. Można ją od biedy przejść pieszo w porze letniej, zimą przestrzeń ta stawia trudne do pokonania przeszkody. Są zatem już wewnątrz potrzasku.

Automobile dowożą kompanię do miejscowości Wierchnij Maksaj, skąd Alpini mają atakować sowiecki przyczółek mostowy na Donie. I tu powstają trudności transportowe. Treny pozostawione w drodze nie nadchodzą. Brak mułów nie pozwala dowieźć amunicji do pozycji wyjściowej.

Pierwsza akcja bojowa Korpusu przynosi mu dotkliwą klęskę spowodowaną brakiem odpowiedniego uzbrojenia. Kompania Revellego nie bierze w niej udziału, ponieważ jego dowódca batalionu i kilku towarzyszących mu oficerów zostają zabici przez granat sowiecki przy rozpoznawaniu terenu. Atak Włochów na przyczółek mostowy miał być poparty przez oddział czołgów i bombowce niemieckie. W ostatniej chwili Niemcy donoszą, że czołgi ich są zajęte gdzie indziej. Na ich miejsce Włosi rzucają 20 wozów pancernych, które nieprzyjaciel unieruchamia przy pomocy karabinów przeciwpancernych. Po niedostatecznym przygotowaniu artyleryjskim dwa bataliony Alpinich wychodzą do ataku i cofają się zdziesiątkowane, tracąc najlepszych oficerów.

9 września batalion Revellego zajmuje swój odcinek okopów, luzując batalion dywizji Sforzesca liczący już tylko 220 żołnierzy pod dowództwem młodego oficera rezerwy. Na odcinku tym stoją trzy moździerze 81 mm, milczące z braku amunicji. W oddalonych o 500-900 metrów okopach nieprzyjaciel jest lepiej wyposażony w amunicję, bo na okopy włoskie spada ka-

żdego dnia po kilkadziesiąt granatów. Revelli notuje, że w razie pojawienia się przed okopem czołgu sowieckiego, Włosi mogą liczyć tylko na szybkość własnych nóg.

Lekka broń włoska zostawia też wiele do życzenia. Na pierwszym nocnym patrolu parabellum Revellego zaczyna się przy pierwszym strzale. Zaczyna się również osłaniający patrol karabin maszynowy. Revelli i jego towarzysze wychodzą cało, wycofując się po wyrzuceniu ostatnich granatów ręcznych. Chroniczny brak amunicji — nawet lekkiej — notowany jest wciąż, aż do końca dziennika.

Niepewność, wynikła z tych okoliczności, trzyma Włochów w stanie ciągłego alarmu. Revelli notuje, że w ciągu pierwszego okresu pobytu na froncie śpi tylko po godzinie na dzień. Wyżywienie jest marne. *Pastasciuta* podawana jest bez żadnej przyprawy, raz na tydzień.

3

Dla historii i oceny ruchu partyzanckiego — zwłaszcza wobec braku innych źródeł — dziennik Revellego stanowi bardzo pouczający dokument. Jakkolwiek jego kompania nie stykała się nigdzie bezpośrednio z partyzantami, Revelli wspomina o nich nie mniej niż 20 razy.

Po raz pierwszy słyszy o nich 25 lipca w Warszawie, gdzie pociąg jego zatrzymuje się na dwie godziny. Tam dowiaduje się, że Włosi przejeżdżać będą przez zonę «kontrolowaną przez partyzantów». Z tej racji wagon dla oficerów i wagon wiozący dowództwo transportu, które dotąd jechały na przędzie, zostają przyłączone na końcu pociągu.

Następnego dnia słyszy to samo w Mińsku i widzi wzdłuż toru wykołejone pociągi.

W dzień później w Żłobinie dowiaduje się, że partyzanci wysadzili w powietrze kilka transportów. Na stacji czeka 40 pociągów.

W Homlu cała okolica jest pełna partyzantów. Co chwila słuchać dalekie wystrzały. Dowództwo transportu ogłasza pogotowie bojowe i oficerowie przesiadają się do wagonów towarowych, wiozących ich podkomendnych.

Dalej tor jest strzeżony przez uzbrojonych milicjantów, noszących niemieckie opaski. W okolicy stoją oddziały węgierskie wyspecjalizowane w polowaniu na partyzantów.

Podczas przemarszu pieszego przez Ukrainę, wojska włoskie są nadal niepokojone przez partyzantów. Koło Gorłowki dowództwo Korpusu każe zdwoić strażę dokoła obozów, które w każdej chwili mogą być napadnięte przez partyzantów. Następnej nocy wartownicy widzą już wszędzie napastników. Alarmy i strzelanina w ciemności trwają przez kilka godzin.

Paniczny strach przed partyzantami udziela się Włochom od Niemców. Revelli widzi, jak żołnierze niemieccy rzucają się na przypadkowego przechodnia, bijąc go, kopiąc i krzycząc, że

jest pewnie partyzantem. Po chwili, wracając do przytomności, puszczają okrwawionego wolno (str. 32).

W Dniepropietrowsku Revelli widzi dwudziestu partyzantów prowadzonych na egzekucję przez milicjantów i notuje ich odważną postawę (str. 84).

Rola partyzantów w katastrofie armii włoskiej i późniejszym załamaniu się całego frontu ujawnia się w całej pełni podczas odwrotu znad Donu. Siły sowieckie, które weszły na tyły frontu są nieznaczące, i najcięższe straty Korpus alpejski ponosi nie w boju, ale na skutek warunków technicznych odwrotu.

Dwutygodniowy marsz pieszy podczas mrozów dochodzących do 40 stopni wysuwa na pierwszy plan zagadnienie kwaterunkowe. Już pierwszego wieczoru kompania Revellego — idąc się dotąd w zupełnym porządku, bez kontaktu z nieprzyjacielem — przybywa do wsi stojącej w płomieniach. Nieznani sprawcy podpalają wszystkie wsie stojące na drodze cofających się wojsk. W ocalałych chatach piece wypełnione są granatami, które wybuchają, szerząc ogień na sąsiednie zabudowania. Cofający się żołnierze muszą iść dzień i noc lub wyczerpani zasypiają na śniegu, zamierzając na śmierć względnie odnosząc ciężkie odmrożenia kończyn.

W kilku miejscach Revelli widzi po drodze trupy cywilne, «prawdopodobnie partyzantów». Raz widzi partyzanta strzelającego z okna do przechodzącej kolumny. W ostatnich dniach odwrotu notuje następującą scenę: «W nocy budzą nas dwaj żołnierze. Mówią, że w ich izbie jest dwóch cywilów, prawdopodobnie partyzantów. Pytają co robić. Nikt nie ma ochoty wstawać. Marchi (dowódca kompanii) mówi, aby nie zwracali na nich uwagi, i zasypia» (str. 201). Jest to jak gdyby spóźniony — już *in extremis* — przebłysk myśli, że w tych warunkach odwrót jest możliwy tylko przy biernym zachowaniu się ludności.

4

Wciągnięty w tryby maszyny mielącej ludzi na miazgę wapno. Revelli nie ma wiele czasu na oglądanie kraju, w którym wojuje. Warunki życia pod okupacją niemiecką nie uchodzą jednak jego uwagi. Pod Warszawą widzi wzdłuż toru żębrzące dzieci: «*Herr, bitte, Brot*». W Siedlcach widzi pociąg, na którego stopniach wiszą pasażerowie — nawet kobiety z dziećmi na rękę — gdy wewnątrz wagonu wyleguje się dwóch lub trzech niemieckich żołnierzy.

Oto co widzi w Stołpcach: «Wielu Żydów, mężczyzn i kobiet, chodzi po torach. Bosi, w łachmanach, wloką się od pociągu do pociągu, zamiatając nieczystości. Udając, że pracują, błagają — jak głodne psy — o chleb i zupę. Widząc kawałek chleba lub suchara, patrzą nań pożądliwie: głód i nędza wprawiła ich w stan zamroczenia. Twarze obłądne, znużone, zrezygnowane. Czują żal i wstręt. Alpini mają dobre serce i nie wiedzą jak

się zachować wobec tego przygnębiającego widowiska. Dowództwo transportu postanawia zmniejszyć trochę nasze porcje *ministery*. Zaoszczędzona jej część rozdzielona jest między Żydów. Niemców nie ma i rozdział zupy odbywa się regularnie. Wielu nie posiada naczyń i zbiera na torze stare puszki od konserw. Lekarz 1-ej kompanii rozmawia z polską Żydówką, docentką uniwersytetu; porozumiewają się po łacinie» (str. 20-21).

Na Ukrainie, koło Barwenkowa, widzi jeńców pracujących pod kierownictwem niemieckiego podoficera i dwóch żołnierzy: «Od czasu do czasu słychać ryki Niemców. Głosy zwierzęce, zdające się zawierać rozkazy i groźby: Kilka głośniejszych porykiwań zwraca uwagę naszych żołnierzy: widzą dziecięciu jeńców biegnących z trudem do podoficera. Ruchy ich są dziwne i żalosne, jak gdyby wymuszone i skrępowane. Stają w szeregu. Podoficer, biorąc się pod boki, wydaje nowy ryk. Biedacy wywracają kieszenie pełne ubogich przedmiotów i podnoszą ręce do góry. Na twarzach ich, przeważnie nie młodych, maluje się strach i nienawiść. Tylko jeden z nich jest wspaniale zuchwały. Zdecydowanym wzrokiem zdaje się wyzywać Niemca i jego żołdaków. Zachowuję dobrze w pamięci twarz tego jeńca, która zostawia mi silne wrażenie. Przychodzi mi na myśl, że jest zapewne oficerem, być może szlacheckiego pochodzenia» (str. 25).

W kilku miejscach notuje nędzę uchodźców cywilnych, których mija na drogach Ukrainy.

Obrazy nędzy ludności i brutalstwa Niemców nasuwają mu następującą refleksję: «We wszystkich nas rodzi się pesymizm, i coś w rodzaju skrępowania. Między Rosjanami i Niemcami czujemy się jak intruzi» (str. 26).

Nie uchodzą jego uwagi także niemieckie próby wciągnięcia ludności do współpracy. W Gorłowiec widzi rekrutów ukraińskich i gruzińskich, szkolonych przez Niemców. Na froncie oswaja się z częstym pojawianiem się przed okopami «turystów» czyli dezertersów. Ci ostatni przychodzą nawet po rozpoznanie zwycięskiej ofensywy sowieckiej, donosząc, że ich armia już dosyć wojny, ale jest silnie nadzorowana przez politruma (str. 130). Wie jednak też, że Niemcom nie udało się zjednać sobie Ukraińców, z których zamierzali początkowo utworzyć cały korpus.

Z obserwacji tych Revelli nie wyciąga żadnych doraźnych wniosków. W ciągu tragicznego odwrotu notuje odrębne traktowanie Włochów wziętych do niewoli. «Wielu rozproszonych rozbrojonych patroli sowieckie idące za czołgami. «Italiński charakter, uciekaj!» mówiono im, wskazując drogę na zachód. Opo- wiadali to żołnierze, którzy po wzięciu do niewoli wrócili do swych oddziałów, i wszyscy Alpini o tym wiedzą» (str. 202-203). Jednego szeregowca z kompanii Revellego żołnierze sowieccy wieźli nawet dość daleko na wozie pancernym za cofającą się armią. Dopędził on swą kompanię, aby nazajutrz zgi-

nać przy forsowaniu przejścia przez okrażające siły sowieckie (str. 227).

Z zapisków Revellego można się domyślać, że dowództwo Korpusu wyciągało z tej sytuacji pewne wnioski praktyczne. Na str. 152 dowiadujemy się, że cofający się Korpus pozostawił na miejscu całą ludność cywilną, nie wyłączając młodzieży w wieku poborowym. Na wszystko to było już za późno.

Z początkiem marca resztki rozbitego Korpusu przechodzą znów przez Żłobin. «Koło Uchwatówki grupa Rosjan — mężczyzn, kobiet i dzieci — widząc nas w takim stanie, przygląda się zuchwale i z zadowoleniem. Jesteśmy w łachmanach i przeważnie bez broni, co zdaje się ich szczególnie cieszyć. «Italian-ski kaput». Nie widzą, że świny niemieckie zdradziły nas nikczemnie. Nie potrafią zrozumieć, ileśmy przecierpieli i jak cierpimy jeszcze».

5

Najbardziej dramatyczną i pouczającą zarazem częścią dziennika jest historia 13-tu dni odwrotu znad Donu. Dzieje jednej kompanii odsłaniają czytelnikowi mechanizm odwrotu zimowego. Front wschodni przechodził kilka zimowych kryzysów i w ostatnim załamał się całkowicie. Ta część dziennika zwraca więc na siebie szczególną uwagę.

Kompania Revellego, mało przygotowana do walk na równinie, została na froncie uzupełniona i liczyła mniej więcej:

20 drużyn strzelców	240
10 drużyn karabinów maszynowych	70
2 ciężkie karabiny maszynowe	14
12 działek przeciwpancernych	60
6 moździerzy 81 mm	36
2 działa 75/38	12
3 działka przeciwpancerne sowieckie	21
5 karabinów maszynowych kawaleryjskich	35
	488

Nie licząc oficerów, kompania miała pierwotnie 488 żołnierzy. W pierwszym dniu odwrotu, 17 stycznia 1943, liczy 346 żołnierzy. Od 9 września, czyli od przybycia na front, ubyło jej zatem 142 żołnierzy.

Droga odwrotu prowadzi ze wsi Biełogorje na brzegu Donu do Biełgorodu i wynosi około 250 km. Kompania przebywa tę przestrzeń w ciągu dwóch tygodni przy temperaturze 30-40 stopni niższej zera.

Pierwotny rozkaz przewiduje wycofanie się kompanii do wsi Podgornoje, odległej mniej więcej o 30 km od Donu. Główne siły kompanii odchodzą wieczorem 17 stycznia. Revelli — dowodzący oddziałem z 87 żołnierzy maskującym odwrót — wy-

chodzi następnego dnia przed świtem. Alpini nie posiadają środków transportowych prócz kilku sani ciągnionych przez muły. Amunicję, plecaki, koce itd. żołnierze ciągną na sankach ręcznych.

Już w noc z 17 na 18 stycznia Revelli widzi pierwsze chaty płonące w dyzlokacji włoskiej i słyszy wybuchy pozostawionej w nich amunicji.

Drogę swą Alpini poznają na śniegu po skrzynkach amunicji i samochodach porzuconych w braku benzyny. W końcu pierwszego dnia marszu kompania porzuca większą część amunicji, ciągnąc na sankach jedynie plecaki i żywność. Wieczorem Revelli widzi z daleka płonącą wieś Podgornoje.

Przez Podgornoje przeszli już poprzednio część Korpusu alpejskiego, różne oddziały niemieckie i dywizja włoska, cofająca się z Rososzy. Wieś jest pełna żołnierzy pozostających po różnych formacjach. Wszystkie ocalałe z pożaru chaty są szczelnie wypełnione ludźmi. Poszukując dowództwa batalionu, kompania Revellego zatrzymuje się koło rozbitego składu, w którym żołnierze znajdują między innymi, beczkę koniaku. Nie przyzwyczajeni do mocnych trunków, zwłaszcza po całodziennym marszu na mrozie, Alpini upijają się w jednej chwili, zanim oficerowie zdążyli rozpoznać niebezpieczeństwo. Trzeźwi towarzysze przenoszą ciężej pijanych do składów zboża, należącego do pobliskiego kołchozu. W zamęcie panującym we wsi, wielu żołnierzy gubi swe oddziały. Dowódca batalionu wydaje rozkaz porzucenia cięższej broni i nawet plecaków. Reszta pułku wyszła ze wsi już wieczorem z rozkazem przebiccia się przez następną wieś, Skororyb, zajęta już przez siły sowieckie. Po pełnej alarmów bezsennej nocy, kompania Revellego wychodzi z płonącej wciąż wsi, pozostawiając w niej 90 pijanych.

Droga jest zawałona pojazdami i oddziałami, należącymi do różnych formacji i usiłującymi wyplątać się z tłoku i wyjść na czoło kolumny. Rozproszeni żołnierze szukają swych oddziałów. Wśród porzuconych na drodze przedmiotów żołnierze Revellego znajdują sztandar swego pułku.

Revelli notuje złe zachowanie się oddziałów niemieckich, które — lepiej wyposażone w samie — czekają aż Włosi otworzą im drogę z okrążenia i, po umiłknieniu ostatnich wystrzałów, rzucają się naprzód, trając rannych.

W drugim dniu odwrotu żołnierze porzucają wszystkie bagaże, zachowując jedynie karabin, koc, trochę nabojów i kilka ręcznych granatów. Pozbywszy się impedimentów, kompania Revellego dopędza resztę pułku.

W końcu drugiego dnia Revelli wchodzi do płonącej już wsi Skororyb, z której poprzedzające go oddziały wyparły słabe siły sowieckie. Widzi tam także trupy partyzantów. Po raz pierwszy od dwóch dni Revelli i jego towarzysze śpią w tłoku przez parę godzin.

Wychodząc przed świtem ze wsi, Revelli widzi ślady walk sprzed kilku dni, kiedy oddział czołgów sowieckich dostał się

w tym miejscu na tyły frontu: trupy niemieckie, węgierskie, włoskie, należące do różnych formacji tyłowych, poszarpane przez gasienice czołgów.

Samoloty sowieckie ostrzeliwują kilkakrotnie idących. Żołnierze rozproszeni, szukający swoich oddziałów, są coraz liczniejsi. Ravelli widzi cały oddział węgierski, idący bez broni.

W połowie trzeciego dnia Korpus alpejski zatrzymuje się w polu na pół dnia. O północy dowództwo daje rozkaz wysunięcia na czoło kolumny oddziałów tzw. «organicznych» i zamknięcia drogi dla żołnierzy rozproszonych i dla oddziałów niemieckich. Do napierających z tyłu rozkaz poleca strzelać. Wielu żołnierzy opuszcza swe oddziały i znika w tłumie rozproszonych. Pułk Revellego wysuwa się na czoło pochodu.

Wkrótce potem, posuwając się po płaskim terenie, kompania Revellego trafia na dwa czołgi sowieckie, które wychodzą z lasu, ostrzeliwując Włochów. Posiadając tylko lekką broń, Włosi są bezradni. Kompania rozsypuje się po śniegu. Jeden z czołgów zbliża się do Revellego na odległość 20 metrów. Po chwili czołgi zawracają i znikają w lesie.

Nad ranem kompania Revellego zbliża się do wsi, która okazuje się zajęta przez inny pułk jego dywizji. Na tym postoju batalion Revellego traci swego dowódcę, który odnajduje się dopiero w kilka dni później. Zamęt wśród cofających się wojsk wzrasta. Dwa oddziały ostrzeliwują się nawzajem, myśląc, że mają do czynienia z nieprzyjacielem. Ravelli widzi trupy partyzantów, którzy zajmowali wieś przed przybyciem Włochów. Z rozmów orientuje się, że dowództwo Korpusu z najlepszych oddziałami «organicznymi» wyszło naprzód, i we wsi znajdują się już tylko oddziały spóźnione i grupy rozproszonych. Są też tam resztki rozbitego korpusu węgierskiego. Wszyscy maszerują zawinięci w koce. Ravelli notuje wzrastający antagonizm między oddziałami «organicznymi», torującymi drogę kosztem ciężkich ofiar, i tłumem uciekających, którzy biernie czekają na otwarcie przejścia. Wśród tych ostatnich znajdują się spóźnione oddziały niemieckie. Po obu stronach drogi leżą wołający o ratunek ranni, chorzy i odmrożeni, na których nikt nie zwraca więcej uwagi. Tylko oddziały «organiczne» wiozą swych rannych na przepelnionych saniach. Nazwę tę Ravelli daje oddziałom posiadającym jeszcze dowódcę i trochę broni.

W południe kompania wyrusza dalej, starając się dopędzić główne siły. Wieczorem wchodzi do przepelnionej wsi, gdzie żołnierze nie znajdując nigdzie miejsca, błędzą wśród płonących chat. W dalszą drogę z dowódcą wychodzi już tylko około 50 żołnierzy. O północy kompania trafia do innej wsi, gdzie znajduje parę godzin spoczynku.

Piąty dzień odwrotu zaczyna się wśród wielkiego zamętu. Kompania Revellego toruje sobie drogę przez tłum uciekających i wychodzi na czoło pochodu, gdzie autor po raz pierwszy widzi cztery lekkie wozy pancerne niemieckie.

Kompania idzie szybko, miejscami biegiem, aby nie dać się

zepchnąć z czoła kolumny. Po kilku godzinach trafia na zator z 30.000 żołnierzy, czekających w otwartym polu. Oddziały «organiczne» otrzymują znów rozkaz wysunięcia się na czoło i zajęcia wsi Szalakino, gdzie znajdują się jakieś siły sowieckie. Masa uciekających, mogąca stać się w każdej chwili ofiarą czołgów i samolotów nieprzyjacielskich, ma czekać zatrzymywana przez tylną straż. Podczas tego przegrupowania, z pobliskiego lasu wyjeżdżają dwa czołgi i ostrzeliwują Włochów, którzy odpowiadają z ostatnich działek przeciwpancernych. Czołgi wycofują się do lasu. Czoło kolumny wchodzi do Szalakina i po chwili zostaje przecięzione przez masę uciekających, którzy zajmują wszystkie chaty. Kompania Revellego idzie do następnej wsi i tam nocuje w oborze. W końcu piątego dnia przy dowódcy kompanii zostało już tylko 30 żołnierzy, wiozących na saniach swoich rannych i odmrożonych.

Szóstego dnia odwrotu Ravelli mdleje w drodze ze zmęczenia i towarzysze wiozą go przez parę godzin na saniach po społu z rannymi. W końcu dnia, idąc na czele pochodu, kompania jego znajduje nocleg i odpoczywa parę godzin.

Siódmego dnia Ravelli jest na pół przytomny ze zmęczenia i notuje niewiele. Towarzysze wiozą go na saniach, potem każą iść pieszo, aby nie zamarznął. Wieczorem kompania przychodzi do wsi zajętej częściowo przez partyzantów. Liczne chaty stoją w płomieniach. Nocleg jest niespokojny, przerywany wybuchami amunicji w płonących budynkach.

Ósmego dnia kompania Revellego, z której została tylko niewielka garstka — *un gruppetto* — Alpinich, przechodzi przez wieś zamożną, gdzie znajduje trochę pożywienia. Po południu przychodzi do wsi Nikitowka-Arnautowo, gdzie roztasowuje się w pustej chacie na uboczu. Skład jej zwiększa się nieco, bo w ciągu dnia dopędza ją część żołnierzy pozostałych w tyle podczas dni poprzednich.

O świcie dziewiątego dnia odwrotu cały batalion Revellego opuszcza wieś i na skraju jej widzi trupy artylerzystów, poległych przy swych działach poprzedniego dnia. Wychodząc na pustą drogę, batalion trafia na idących ze śpiewem naprzeciw ległym oddziałem sowieckiej piechoty, która otwiera ogień. Włoskie karabiny maszynowe, zmarzłe i nie oliwione, zacinają się, granaty nie zapalają się. Żołnierze sowieccy zbliżają się i w końcu strzelają z odległości 10 metrów, po czym, rozproszeni, wbiegają do pobliskiego lasu. W spotkaniu tym ginie dowódca kompanii Revellego, trzech oficerów i połowa żołnierzy. Wieś wydaje się okrażona. Zamknięte w niej oddziały włoskie przechodzą do natarcia i otwierają drogę na zachód. Koło południa, zebrawszy na saniach większość rannych, kompania Revellego wyrusza w dalszą drogę.

W ciągu dnia Włosi są znów ostrzeliwani przez samoloty. Kompania Revellego dopędza czoło kolumny i dowództwo Korpusu. Droga jest znów zamknięta i przy przebijaniu się ginie jeden z generałów. Pocisk z działka przeciwpancernego trafia

w jedne z sani kompanii. Wieczorem kompania przychodzi do wsi, gdzie część chat stoi w płomieniach, reszta zaś jest szalenie wypełniona. Z trudem znajduje się miejsce dla rannych, zdrowi zostają na mrozie. Revelli widzi przechodzący sztab Korpusu, stopniały do kilku bezradnych oficerów.

Dziesiątego dnia odwrot zaczął się o 2-jej w nocy, w wielkim zamieszaniu. W braku miejsc na saniach, kompania porzuca najciężej rannych. Przy wyjściu kompania liczy dwudziestu żołnierzy. W drodze jest znów ostrzeliwana przez samoloty. Droga jest zatłoczona przez różne formacje. W pewnej chwili z boku ukazuje się oddział sowiecki, który cofa się, ostrzeliwując kolumnę. Coraz więcej żołnierzy porzuca broń w braku amunicji. W mijanej wsi partyzanci strzelają z okien do przechodzących, których w chwilę potem jeszcze raz ostrzeliwiają samoloty. Dopiero przed północą udaje się w jednej wsi znaleźć miejsce dla rannych. W końcu dnia kompania liczy 30 żołnierzy wiozących 70 rannych i odmrożonych. Z dziennika domyślamy się, że dowodzi nią teraz Revelli jako najstarszy z czterech pozostałych przy życiu oficerów.

Jedenastego dnia kompania zbliża się znów do czoła pochodzącego, odnajdując tam resztki innych formacji należących do Korpusu. Niektóre z nich poniosły straty jeszcze większe. Włosi nie mają więcej żywności i nocują na głodno.

Dwunastego dnia kompania Revellego maszeruje z resztkami swego pułku. Żołnierze idą małymi grupkami. Słabsi zostają wkrótce w tyle. W drodze ostrzeliwani są przez samoloty. Tego dnia Revelli widzi po raz pierwszy dwa samoloty niemieckie, zrzucające paczki żywnościowe dla spóźnionego oddziału niemieckiego. Niemcy bronią swego prowiantu ze zniżonymi karabinami, strzelając do każdego, kto się zbliży. Na najbliższym postoju Włosi odplacają im tą samą monetą, wyrzucając z chat kwatrujących tam Niemców.

Trzynastego dnia kompania mija wsie spokojne i zamożne, gdzie znajduje trochę żywności. Tłok na drodze ustaje. Rozproszeni są już nieliczni. W końcu dnia Revelli widzi włoskie automobile przybyłe z Homla, które zabierają najciężej rannych. Kompania defiluje przed dowódcą dywizji, z głowami zawiniętymi w koce. Nikt nie salutuje.

Tego dnia czoło pochodu wydostaje się z okrażeń i po dwóch dniach marszu wchodzi do Białgorodu.

W miesiąc później, w Żłobinie, po dołączeniu się do kompanii żołnierzy, zgubionych w czasie odwrotu, Revelli sporządza wykaz strat. Wynoszą one 70% pierwotnego składu kompanii. Jako ekwipunek pozostało jej kilka karabinów i 22 koce. Tamże Revelli dowiaduje się, że w odwrocie znad Donu Korpus Alpejski utracił 2/3 swego składu. Pozostało zeń około 25.000 żołnierzy. Całe wyekwipowanie materiałowe zostało stracone.

6

Aktywne przygotowania do wojny z Rosją rozpoczęto w

Niemczech w końcu 1940. Z całej okupowanej Europy ściągnięto do Berlina emigrantów kaukaskich, ukraińskich, turkistańskich itd., reprezentujących ruchy niepodległościowe i separatystyczne, istniejące na terenie Unii sowieckiej. Emigranci obradowali przez całą zimę, w kontakcie z Auswärtiges Amt, ze Sztabem i — w znacznie mniejszym stopniu — z partią, która zadawała sobie mianowaniem niemieckich kandydatów na gubernatorów Ukrainy, Kaukazu itd.

W kwietniu spadła z wyżyn Berghofu nowa dyrektywa: żadnych rozmów, żadnej polityki! Ze zgromadzonych w Berlinie emigrantów, honoratorów odesłano do domu, humiliorów do obozów.

Po pierwszych dniach wojny radio niemieckie przemówiło wszystkimi językami Unii sowieckiej, obwieszczając jej program polityczny Niemiec: Na terenach okupowanych przez armię niemiecką, nie ma już ani jednego żywego Żyda ani komunisty. Ten sam los czeka wszystkich opornych. Kto chce ocalić życie, niech rzuca broń i kapituluje bez żadnych rozmów.

Program ten był zresztą zgodny z doktryną ustaloną od 1922 w Sztabie niemieckim, przeciwnym parcelacji politycznej Unii sowieckiej i skłonny do traktowania wojny jako problemu techniczno-wojskowego.

W pierwszych miesiącach wojny armia sowiecka nie stawiała większego oporu. Kapitulowały całe dywizje. Wkrótce jednak — kiedy barbarzyńskie traktowanie jeńców i ludności przez wojska niemieckie stało się znane — sytuacja zmieniła się całkowicie. Ludność Unii nie okazała żadnej ochoty do zamieniania ustroju sowieckiego na okupację niemiecką i NKWD na Gestapo i Heerespolizei. Zagrożona przez represje, zaczęła uchodzić do lasów i stawiać zbrojny opór.

Z notatek Revellego widzimy, że zona «kontrolowana» przez partyzantów — już latem 1942. — zaczęła się zaraz za Warszawą. W Żłobinie, Mińsku, Homlu i na całej Ukrainie wojska okupacyjne znajdowały się w stanie ustawicznego alarmu. Ruch kolejowy był już wszędzie zdeorganizowany.

Droga odwrotu Korpusu Alpejskiego usiana jest trupami prawdziwych i domniemych partyzantów. Zrozpaczona przez represje i deportacje ludność gotowa jest raczej spalić własne domy niż dać schronienie okupantom.

Sytuacja ta pociągnęła za sobą nieprzewidziane dla dowództwa niemieckiego i włoskiego skutki.

W dzienniku Revellego uderza nieruchomości Korpusu Alpejskiego, pozbawionego w porze zimowej wszelkiej zdolności manewrowania. Opuszczając pozycje i kwatery zimowe, Włosi — w braku środków transportowych — muszą porzucać cały materiał wojenny i już na drugi dzień stają się bezbronną masą uchodźców, którą czołgi, sowieckie mogą bezkarnie miażdżyć gąsienicami. Względny porządek i dyscyplina wycofujących się nie poprawiają sprawy. Pałac wsie znajdujące się na drodze odwrotu, ludność cywilna tworzy sytuację, z której wyjść żywi

mogą tylko żołnierze o największej odporności fizycznej. Odwrót zmienia się w katastrofę.

Zwraca również uwagę nieprzydatność parku samochodowego armii włoskiej, który w chwili krytycznej pozabawiony był materiałów pędnych. Sznury porzuconych samochodów Revelli notuje w pierwszych dniach odwrotu, potem widzi porzuconą artylerię, wreszcie nieruchome wozy pancerne. W ostatnich dniach spotyka już tylko trupy mułów. Z tej kolejności odczytać można historię wyczerpywania się rezerwy benzyny. Ta sama przyczyna objaśnia zapewne nieobecność niemieckich czołgów i samolotów.

Okrażenie armii włoskiej podjęte zostało siłami bardzo skromnymi. Dwa czołgi, idący za nimi patrol i niewidzialna ręka, zapalająca chaty. Oto wszystko, co spotykają na swej drodze przebijające się jednostki włoskie. Małe grupy nieprzyjacielskie, operujące na tyłach armii niemiecko-włoskiej, nie spotykają oporu i nie obawiają się pościgu. Tę swobodę działania zapewnili im czynni wszędzie na tyłach partyzanci.

Sztab niemiecki rozpoczął wojnę nie posiadając środków transportowych dostosowanych do rozległości terenu walki i mogących zapewnić armii dostateczną ruchomość. Rozstrzygający dla wyniku wojny był jednak samorzutny opór ludności. Rola jego występuje jaskrawo w zapiskach Revelliego. Dziennik jego rozprasza złudzenie, jakoby wojna w Europie Wschodniej mogła być prowadzona bez żadnej polityki, jako przedsięwzięcie techniczno-wojskowe. Hitlerowski i rooseveltowski program bezkompromisowej kapitulacji jest może dobry dla Zachodu i Japonii, ale nie jest nic wart w zasięgu sowieckim. Dopóki mocarstwa Zachodu nie mają mieszkańcom tego obszaru nic do powiedzenia, Kreml nie obawia się niczego i może kpić sobie nie tylko z ich dyplomacji, ale także z ich zbrojeń i pogroźek.

Paweł HOSTOWIEC.

Zbrodnia

Trudno jest zdobyć się na spokój w ocenie tej książki. Każda jej strona, każdy wiersz nasuwa myśli, dyktowane różnymi uczuciami od dumy i najgłębszej czci do wielkiej goryczy a nieraz i zwątpienia. Trudno jest napisać o tej książce tzw. «recenzję». Sama książka bowiem w świadomości czytającego rozplywa się, znika, ustępując miejsca własnym wspomnieniom o ludziach, których znało się tak dobrze, o dniach tragicznych oczekiwań, nadziei i wątpliwości, ustępuje miejsca myślom o tych wszystkich okolicznościach, które towarzyszyły ujawnieniu zbrodni, rozmyślaniom o nieudolności rodzimych polityków i o małości spraw, które w najtragiczniejszych chwilach życia naszego narodu jakże często przesłaniają najistotniejsze, największe zagadnienia.

By więc swobodnie móc mówić o tych sprawach istotnych, z Katyniem związanych, na wstępie kilka uwag krytycznych o książce.

Nie jest ona ciągłym a zwartym opisem przebiegu sprawy, lecz jest zbiorem poszczególnych najważniejszych relacji i dokumentów ze sprawą związanych. Poprzedza ją doskonale opracowany rozdział, obrazujący całokształt politycznej i wojennej sytuacji, która sprawiła, że w rękach sowieckich znalazła się olbrzymia, bo około 250.000 żołnierzy licząca, ilość jeńców polskich. Tylko na tle tego ustępu może być zrozumiane należycie to, co stało się następnie z polskimi żołnierzami w Rosji i tylko na tym tle uświadamiamy sobie, co by się było stało z tymi, którzy objęci zostali «amnestią», gdyby generał Anders nie był ich wyprwadził na szlak bojowy, który stał się nie tylko szlakiem chwały lecz i jedyną drogą uniknięcia strasznej dla każdego żołnierza śmierci w niewoli.

Już przypomnienie tych bojów tragicznych wojska polskiego z armią czerwoną, która przy przeważających siłach dokonuje

«ZBRODNIA KATYŃSKA W ŚWIETLE DOKUMENTÓW — z przedmową Władysława Andersa»; nakładem «Gryf'u», Londyn 1948; str. XVI+384 oraz 4 mapki i 54 fotografie. Mimo, że książka ukazała się szereg tygodni temu — nie ma jej dotąd z przyczyn niezrozumiałych w kolportażu na terenie Francji. Mało tego — zaniedbano rozesłać egzemplarze recenzyjne do prasy polskiej na terenie Francji — a jest to przecież po St. Zje-dnoczonych największe skupisko polskie.

zbiorowych i indywidualnych mordów, i to mordów jak najbardziej oficjalnie zalecanych (że przypomniemy sobie oślawiony rozkaz Timoszenki: «bijcie oficerów i generałów!») — uświadamia nas, że Katyń nie był przypadkiem. Że był on konsekwentnym sowieckim epilogiem tych dni, w których dwa bratnie totalizmy — hitlerowski i stalinowski — w atmosferze «zbliżenia i przyjaznych stosunków» (Mołotow) rozpoczęły likwidację «bękaria traktatu wersalskiego» (tenże Mołotow). Już w świetle tych faktów uświadamiaamy sobie, że te same ręce w jednakowy sposób mordowały na zosie, w oczach żony, bezbronnego, wywleczonego z samochodu generała Olszynę-Wilczyńskiego jak i generałów Smorawińskiego, Bohatyrewicza czy Minkiewicza, wyniszczonych przez niewolę i wyrzuconych z wagonów na bocznicę lasu katyńskiego.

Następują relacje ocalałych z pogromu jeńców trzech obozów: w Kozielsku, Starobielsku i Ostaszkowie, liczących ogółem na wiosnę 1940 roku blisko 15.000 polskich żołnierzy, przeważnie oficerów. Ocalało z nich zaledwie około 400. Reszta — czyli około 14.500, w tym przeszło 8000 oficerów, przepadła bez śladu. Już samo zestawienie według stopni wojskowych i specjalności jest tematem samym w sobie:

Było:	w Kozielsku	w Starobielsku	w Ostaszkowie
Generałów	5	8	—
Pułkowników			
ppułkown. około	100	150	—
Majorów około	300	230	—
Kpt. i rtm. ok.	1.000	1.000	ok. 100
Poruczn. i ppor. ok.	2.500	2.450	—
Podchorążych ok.	500	—	—
Oficerów policji	—	—	ok. 300
Podof. i szereg.	—	—	ok. 6.000
oraz policjantów	—	—	ok. 6.000
Osób cywilnych	—	52	kilkudziesięciu
Razem około	5.000	4.000	6.500
W tym:			
Profesorów, docentów i wykładowców uczelni akad.	21	kilkunastu	
Prawników	kilkuset	kilkuset	
Inżynierów	kilkuset	kilkuset	
Nauczycieli	kilkuset	wielu	
Literatów, dziennikarzy, artystów	kilkudziesięciu	wielu	
Lekarzy	przeszło 300	ok. 400	
Duchownych	kilkunastu	kilkudziesięciu	kilkudziesięciu

Wśród relacji (m. in. Józefa Czapskiego, które zyskały już rozgłos w kilku językach, dzięki znakomicie a w porę napisana-

nym «Wspomnieniom Starobielskim») największe wrażenie wywołują anonimowe «Fragmenty Kozielskie». Zwracają one uwagę ogromną wnikliwością, gruntownym nie tylko przemyśleniem ale i znawstwem istoty mechanizmu sowieckiego i prawdziwie pięknym, dobrym stosunkiem do ludzi.

Wszystkie te relacje pozwalają na stwierdzenie, że w pierwszych dniach kwietnia 1940 roku rozpoczęto likwidację wszystkich trzech obozów, że likwidacji tej dokonano w ten sam sposób, że była ona kierowana bezpośrednio z Moskwy. Transporty z Kozielska były kierowane w rejon Smoleńska i tam wyładowywane, co się zaś tyczy pozostałych dwu obozów, to odtąd ślad po wywiezionych z nich zaginął. Jedynie w obozie Pawliszczew-Bór znalazło się około 400 jeńców, wywiezionych z Kozielska, Starobielska i Ostaszkowa niewielkimi partiami.

Rozdział IV przedstawia proces poszukiwania jeńców już po nawiązaniu stosunków polsko-sowieckich w 1941 roku i stosunek do tych poszukiwań władz sowieckich ze Stalinem na czele. Z chronologicznie zestawionych faktów i dokumentów wynika, że nikt z uwolnionych Polaków, którzy przeszli przez «łagry» rozrzucone po całym obszarze ZSRR nie spotkał ani jednego spośród jeńców Kozielska, Ostaszkowa i Starobielska, z wyjątkiem tych, którzy przeszli przez obóz Pawliszczew-Bór. Że wszystkie władze sowieckie ze Stalinem na czele stwierdzały, iż wszyscy jeńcy tych obozów zostali zwolnieni, a fakt nie stawienia się ich do armii tłumaczyli mglistymi i sprzecznymi hipotezami, dając parokrotnie do zrozumienia, że mogło się z nimi coś stać». W szczególności nikt z bolszewików ze Stalinem na czele nie stwierdził do dnia 13 kwietnia 1943 roku jakoby jacykolwiek jeńcy polscy byli ogarnięci przez Niemców.

Rozdział V zawiera fakty i dokumenty związane z odkryciem przez Niemców w kwietniu 1943 roku grobów w Katyniu, niedopuszczeniem przez Moskwę do śledztwa Międzynarodowego Czerwonego Krzyża oraz zerwania stosunków polsko-sowieckich. Zestawienie to redakcja książki zaopatruje w jak najbardziej logiczny wywód: „jeśli radio moskiewskie dnia 15 kwietnia 1943, czyli już w dwa dni po ujawnieniu zbrodni katyńskiej, mogło stwierdzić bez wahania, że chodzi tu o „byłych polskich jeńców wojennych, którzy byli zatrudnieni na robotach budowlanych w 1941 r. w okolicach na zachód od Smoleńska i którzy... wpaśli w ręce oprawców niemiecko-faszystowskich w lecie 1941 r. po wycofaniu się wojsk sowieckich z okręgu Smoleńska”, to dlaczego informacji tej samej nie udzieliły władze sowieckie przedstawicielom polskim w ciągu dziesięciomiesięcznych rokowań w latach 1941-1942, mających za przedmiot poszukiwanie tych-że polskich jeńców wojennych? Dlaczego odpowiedź ta padła dopiero po ujawnieniu przez Niemców, że jeńcy ci leżą pomordowani w grobach katyńskich?”

W ślad za tym następują dwa urzędowe dokumenty: niemiecki zbiór dokumentów w sprawie Katynia, wydany w 1943 r. i sowiecki komunikat z dn. 24. I. 1944 r. komisji specjalnej, zor-

ganizowanej przez bolszewików po odbiciu rejonu Smoleńska z rąk niemieckich. Zestawienie obu tych, niezmiernie ważkich i wielce dla obu totalitarnych systemów charakterystycznych dokumentów dostarcza jednego z niezbitych dowodów winy sowieckiej. Oto, jak się okazało później, Niemcy znaleźli w Katyniu tylko trupy jeńców z Kozielecka (ogółem około 4.500). Więcej grobów lasek katyński, mimo najstaranniejszych poszukiwań, nie zawierał. Niemcy wiedząc o tym że poszukujemy żołnierzy z 3 obozów (a więc około 15.000) i chcąc bardziej obciążyć bolszewików, podali w swych dokumentach, że «ogólną ilość pomordowanych oceniać należy na 10-12 tysięcy». *To kłamstwo komunikat sowiecki powtarza, usiłując jednocześnie w ten sposób zapisać na rachunek Niemców również i jeńców z obozów w Starobielsku i Ostaszkowie, których w Katyniu nie znaleziono, a którzy wywiezieni zostali w niewiadomym kierunku.*¹⁾

W dalszych rozdziałach, obok sprawozdania międzynarodowej komisji lekarskiej, która z inicjatywy władz niemieckich przeprowadziła w końcu kwietnia 1943 roku badania grobów, czytamy interesujące sprawozdanie dr M. Wodzińskiego, który został przez Niemców przymusowo powołany do prac przy wydobywaniu i oględzinach lekarskich zwłok, relacji uczestników wycieczek, organizowanych przez Niemców (w tej liczbie również rellację ppłka dypl. Stefana Mossora, obecnego bierutowskiego generała, a w owym czasie jeńca niemieckiego). W tym dziele na specjalne wyróżnienie zasługuje obszerne sprawozdanie red. Józefa Mackiewicza, który dokonał na miejscu szeregu spostrzeżeń wyjątkowej wartości i znaczenia dla całokształtu sprawy. Nie mniej ciekawe jest świadectwo Rosjanina J. Kriwoziercewa, który wraz z Niemcami wyewakuował się na zachód, znalazł się w rejonie działań wojska polskiego, gdzie złożył swe sprawozdanie w październiku 1946 roku.

Ważne dla sprawy są dokumenty opisujące ewakuację więźniów sowieckich po wybuchu wojny sowiecko-niemieckiej, które dają kłam bolszewickim twierdzeniom, jakoby zostawiali oni polskich jeńców wojennych, wycofując się przed Niemcami. Specjalny rozdział poświęcony jest drobiazgowej analizie komunikatu sowieckiego, który, jak to słusznie stwierdza opracowanie, «wykazał całemu światu cywilizowanemu, że od odpowiedzialności za zbrodnię katyńską rząd sowiecki uchylił się nie zdola».

Rozdział XIV rekapitułuje wszystkie posiadane wiadomości o losie pozostałych 10.000 polskich jeńców wojennych ze Starobielska i Ostaszkowa, *których w Katyniu nie odnaleziono, a którzy, począwszy od maja 1940 roku zaginęli bez wieści.*

¹⁾ Muszę, niestety, stwierdzić dla ścisłości że polski przekład i redakcja komunikatu sowieckiego, zamieszczone w omawianej książce, są nad wyraz niestaranne. Wielka to szkoda, gdyż dokument ten sam przez się jest tak wyraźnym dowodem winy sowieckiej, że tym bardziej winien był być starannie przytłumaczony i podany.

Uzupełnia książkę stwierdzenie, że wyrok norymberski nie uznał zbrodniarzy wojennych winnymi mordu katyńskiego oraz kilka świadectw (w tej liczbie wielce interesująca relacja literata i dziennikarza amerykańskiego W. L. White'a, który brał udział w wycieczce korespondentów anglo-amerykańskich, zorganizowanej w 1944 roku przez bolszewików), naświetlające poszczególne momenty sprawy.

Książka omawiana, jak stwierdza przedmowa gen. Andersa, «jest dziełem kilkuletniej pracy, prowadzonej sumiennie i z dużym wysiłkiem przez szereg ludzi pod jednolitą redakcją». Metoda, jaką obrali autorzy — usystematyzowania i podania czytelnikowi oryginalnych dokumentów bez narzucania wniosków — okazała się doskonała. Technicznie książka — jak na warunki w jakich została wydana — przedstawia się dobrze. Doskonale dobrany jest materiał fotograficzny. Drobnych usterek korekty czy łamania nie będę na tym miejscu wypominał, ale nie mogę nie zganić okładki. Jest okropna!

Ale wróćmy do treści «Zbrodni Katyńskiej».

Jeżeli przemyśleć całe zagadnienie, jeżeli agresję sowiecką w 1939 roku potraktować nie jako fakt oderwany, wyczyn szczególny polityki stalinowskiej, lecz jeżeli ustawić je na właściwym miejscu w historii imperializmu wszechrosyjskiego wogóle a stosunków polsko-rosyjskich w szczególności, to i sprawa masakry w Katyniu wystąpi w pełnym świetle. *Nie była ona ani przejawem „tragicznej pomyłki” biurokracji stalinowskiej, ani dowodem jakiegoś specjalnego wyrażenia czy okrucieństwa ze strony tej biurokracji.* Była ona nieodzownym aktem ze strony państwa sowieckiego wobec narodu, którego postawa i duch nie mogły być tolerowane w granicach tego państwa. *Katyni był nieodzowną konsekwencją sowieckiej agresji, a agresja ta, a co za tym idzie i dalsze „Katynie” powtarzać się będą niezmiennie tak długo, dopóki będzie istniała jedna, totalitarna państwowość — obojętnie jak ją nazwiemy: rosyjska czy sowiecka.*

Musimy być sprawiedliwi: Katyni nie jest czymś szczególnym ani w historii tego państwa, ani w dzisiejszej sowieckiej rzeczywistości. *Katyni jest naturalną konsekwencją, nieodzownym elementem tej historii i tej rzeczywistości.* Można się zastanawiać nad tym, czy totalizm niemiecki mógł się rozszerzać i umacniać bez Buchenwaldu, Dory, Oświęcimia czy Majdanku, ale nie można mieć wątpliwości, że państwo, poczęte w Moskwie, bez względu na to, czy było carskie, czy jest «socjalistyczne», czy będzie posiadać taką czy inną konstytucję, dopóki będzie stanowiło jedną, scentralizowaną całość, — będzie zawsze posługiwało się «Katyniem» jako metodą. Po Tatarach, Nowogrodzianach, Pskowiczanych, Ukraińcach, Góralach Kaukazu czy Uzbekach, przyszła kolej dziejowa na nas — Polaków. Jeżeli potworne państwo nie zostanie zniszczone jutro — «Katyni» dotknie Włochów, Francuzów, Brytyjczyków czy Amerykanów, jak dotknął nas. Mniej lub więcej korna postawa wobec tego

państwa, mniej lub więcej przemyślany oportunizm nikogo nie osłoni, nie uratuje. W łagrach tego kolosa ginęli i giną nie tylko «białopolacy», «faszyści» czy «reakcjonści». Ginęli i giną socjaliści i komuniści, zwolennicy a nawet entuzjaści stalinizmu. Mikołaj I aresztował i skazywał na «zsyłkę» najbardziej go wielbiących słowianofili i pansławistów. Na Kołymie, obok Polaków, ginęli również i republikanie hiszpańscy, walczący w czerwonych brygadach, ginęli terroryści i rewolucjonści antyhitlerowscy, ginęli socjaliści włoscy, którzy stosowali się niewolniczo do wskazówek stalinowskich w walce z Mussolinim.

«Moskwa nie wierzy we łzy». Nie tylko we łzy! Moskwa nie wierzy we wszystko, co nie jest jej własną, moskiewską emanacją.

Nie zamykajmy oczu na dalsze, grożące naszemu narodowi niebezpieczeństwo. Nie wolno «dodawać ducha» przez szerzenie bezpodstawnego optymizmu, przez konstruowanie fałszywych, na niczym nie opartych teorii, będących wyrazem jedynie naszych pobożnych życzeń bądź — jeszcze gorzej — personalnych ambicji nieuków, którzy dorwali się do polityki. *Zbrodnia katyńska, popełniona na wiosnę 1940 roku nie zamyka, lecz otwiera martyrologię narodu polskiego w jarzmie bolszewickim.* Tej prawdzie musimy wszyscy spojrzeć w oczy i tylko ta prawda, a nie żadna ułuda, może być punktem wyjścia naszego zbiorowego czy indywidualnego działania. *«Kartagina musi być zniszczona!»* — nie może być innego hasła, innej myśli politycznej.

Tragiczna książka nasuwa cały szereg niemniej tragicznych refleksji. Przede wszystkim przypomina tę niezmienną, niestety, prawdę że *nie umiemy bronić swoich praw, że z przedziwną lekkomyślnością przechodzimy do porządku dziennego nad wyniszczeniem naszego potencjału biologicznego, że nie szanujemy naszej krwi, naszych istnień, chociażby straty ich szły w tysiące, w miliony.* Zawsze zresztą tak było i to jest najokropniejsze. Proszę tylko sięgnąć do traktatów i umów zawieranych na wschodzie czy na zachodzie przez Rzeczpospolitą, a zwłaszcza do traktatów z państwem moskiewskim. Umowy w rodzaju osławionego traktatu grzymułtowskiego odstępowali Moskwie bez żadnych zastrzeżeń dziesiątki, setki tysięcy naszych obywateli bez najmniejszej bodaj klauzuli gwarancyjnej.¹⁾ Opinia pu-

1) Carski «ukaz imienny» z 26 kwietnia 1686 roku w ślad za traktatem grzymułtowskim stwierdza, że w czasie wojny «wojenni ludzie carscy wzięli do niewoli i wywieźli do państw rosyjskich wiele set tysięcy narodu Polskiego i Litewskiego obojga płci szlacheckiego, służebnego i włościańskiego stanów... którzy obecnie znajdują się u bojarów i okolicznych, dumnych i wszelkiego urzędu ludzi we włościach i ojcowiznach jako chłopci, czeladź i na osiedlach w niewoli» lecz «tym traktatem pokojowym a wiecznym postanowiono i ustalono że mają pozostać w Carstwie Rosyjskim na wieki i wpróż wszystko to ma być zapomniane i niepamiętane» (podkreślenia moje — R. W.).

bliczna Rzeczypospolitej w przerwach pomiędzy rozbiorami zupełnie nie interesuje się losom rodaków «odstąpionych» Katarzynie. W literaturze czy publicystyce zarówno tych jak i późniejszych czasów nie ma prawie śladów zainteresowań czy dociekań co też się z nimi działo czy stało. Gdzie jest dokumentacja świadcząca, że wiele tysięcy Polaków, Białorusinów, Litwinów czy Ukraińców po 1-szym i 2-gim rozbiorze wywieziono hen aż pod Chołmogory, w rejony Archangielska, nad Peczorę, w rejony Wołogdy czy Ekaterynburga. Traktat ryski pozostawił po «tamtej stronie» przeszło 1.600.000 (jeden milion sześćset tysięcy!) samych tylko Polaków, mających około 600 księży katolickich, obsługujących przeszło 450 kościołów. Co się z nimi stało? Dlaczego statystyka sowiecka wykazuje w 1926 r. Polaków — 792.471 a w 1939 r. już tylko — 626.905. Dlaczego już w 1929 roku na terenie całego ZSRR było tylko 9 czynnych kościołów katolickich, a w 1939 tylko 2 (i to w Leningradzie i w Moskwie)? Proszę mi pokazać bodaj jedną broszurę, bodaj jeden poważny artykuł w prasie czy publicystyce polskiej 1922—1939 roku, który rzeczowo omawia te sprawy? A i teraz, gdy w łagrach sowieckich siedzą tysiące, dziesiątki czy nawet setki tysięcy Polaków, Litwinów czy innych obywateli polskich — kto tym się interesuje? kto rejestruje fakty, kto usiłuje zdobyć materiały do ewidencji? Gdzie chociażby najskromniejsze usiłowanie dowiedzenia się o losach gen. Okulickiego i jego towarzyszy z «procesu szesnastu»? O losach żołnierzy A. K. — których wywieziono «na wschód»? Może i dokonuje się jakichś tam «prac» w tym kierunku w zakamarkach jakichś tam biur czy strupieszalnych urzędów — ale nie o to chodzi! Gdzie jest zainteresowanie publiczne? Gdzie są listy, wypowiedzi, protesty, zebrania itd., chociażby w jednej setnej odpowiadające takiej energii z jaką występujemy w sprawie hosteli, potrażeń z funduszu społecznego czy różnych tam przesilen itp. wiekopomnych wydarzeń? Ukraińcy, Litwini i Baltowie na emigracji nie mają łatwiejszych warunków w kontaktowaniu się ze swymi krajami (a pod wielu względami są nawet w sytuacji gorszej), ale ich wydatnictwa pełne są konkretnych faktów z życia dzisiejszej Rygi, Tallina czy Kowna. Któż z nas pyta się co stało się z Sercem na Rossie, emigrantem Obrońców? Ba! kto wie jak wyglądają dziś krypty na Wawelu? *Naród, który nie szanuje swych poległych czy zmarłych, nie ma łatwej przyszłości.*

Może to trochę za mocno wypadło, co napisałem powyżej. Ale nie będę zmieniał czy łagodził. Sprawa Katynia bowiem nie może nie wywoływać goryczy i zgryźliwości. Jest coś wielce zatrwającego, że dopiero dzisiaj, po 8-miu latach od chwili dokonania zbrodni a po 5-ciu latach od jej ujawnienia, zdobywamy się na pierwszą książkę w tej sprawie i to zaledwie w

języku polskim. Na co czekaliśmy? Na to by sprawa Katynia stała się «potrzebnym» atutem dla polityki brytyjskiej czy amerykańskiej? Czy na to by zmieniła się koniunktura i «Katyń» mógł się stać już gotowym «hasłem wojennym»?

Ryszard WRAGA.

“Kronika”

niezależny tygodnik demokratyczny.

Adres redakcji i administracji:

Eppstein-Taunus, Hotel Bienberg, US Zone, Germany.

PRZEDSTAWICIELSTWA :

BELGIA: Jadwiga Jurkszus, 23, rue Felix Delhase, Bruxelles-St. Gilles. Wpłata prenumeraty: kwartalnie 24 fr., półrocznie 48 fr. na: CCP 7556 89
Jadwiga Jurkszus, Bruxelles.

HOLANDIA: Ks. Leon Romala, Utrecht, Nieuwe Gracht 92. Prenumerata 1,20 Fl. miesięcznie, 3,00 Fl. kwartalnie, wpłacać przekazem pocztowym, podając cel wpłaty.

FRANCJA: Librairie «Libella», 12, rue St-Louis en l'Île, Paris IV° (Métro: Sully Morland). Prenumerata roczna 480 frs., półroczna 240 frs. Cena pojedynczego egz. 10 frs.

Prenumerata zagranicę wpłacana w markach na terenie Niemiec kosztuje rocznie 104 Mk.

Książki

Książki o Niemczech

ULRICH VON HASSEL: *Vom andern Deutschland*, Aus den nachgelassenen Tagebüchern 1938-1944. Atlantis Verlag, Zürich 1946. Str. 416.

CONSTANTIN SILENS: *Irrweg und Umkehr*, Betrachtungen über das Schicksal Deutschlands. Verlag Birkhäuser, Basel 1946. Str. 328.

LOUIS BRANDT-PELTIER: *La guerre de cinquante ans*. (Nouvelle édition). Bibliothèque du Cheval Ailé, Constant Bourquin, Éditeur. Genève 1946. Str. 176+8 nlb.

Problem Niemiec nie tylko nie stracił nic ze swej aktualności, ale przeciwnie, zdaje się nabierać coraz większego ciężaru gatunkowego. Żadna organizacja Europy nie jest możliwa bez rozstrzygnięcia problemu ogromnej masy niemieckiej, położonej w sercu kontynentu europejskiego, a zażarta walka, jaką toczą o ten kontynent Anglosasi z Sowietami wysuwa zagadnienie Niemiec na plan jeżeli nie najpierwszy, to co najmniej jeden z pierwszych. Stąd niezwykle bogactwo literatury poświęconej Niemcom, w ciągu ostatnich trzech lat. Z grubsza biorąc, podzielić ją można na dwie grupy. Jedna, to książki poświęcone rozwiązaniom, jak rozwiązać zagadnienie niemieckie, jaką drogę wybrać, aby włączyć Niemcy ponownie do europejskiej społeczności, a równocześnie uniknąć ryzyka odbudowy niemieckiego imperializmu. Druga, to książki przeważnie autorów niemieckich, których zupełnie wyraźnym celem jest wykazanie światu, że naród niemiecki nie ponosi odpowiedzialności za hitleryzm. że istnieją jakieś «inne», «dobre» Niemcy. Jest rzeczą charakterystyczną, że głównym «producentem» tych książek są wydawcy szwajcarscy.

Ze wszystkich tych książek, niewątpliwie najciekawszą jest książka Hassela, gdyż są to pamiętniki, spisane niemal dzień po

dniu i stanowiące swego rodzaju dokument. Nie są więc pisane pod kątem widzenia propagandy, czy chęci oczyszczenia Niemiec, pozbawione upiększeń dają szczerzy i prawdziwy wyraz oblicza «innych» Niemiec. Obejmują najciekawszy okres od kryzysu sudeckiego do zamachu na Hitlera w lipcu 1944 roku i zawierają zapiski pisane «na gorąco» pod wrażeniem chwil przeżywanych. Niewątpliwie i osoba autora dodaje atrakcyjności tej książce. Był on znanym dyplomatą niemieckim, w latach 1932-1937 ambasadorem przy Kwirynale, a w okresie wojny odgrywał poważną rolę w tzw. niemieckim ruchu podziemnym, skierowanym przeciw reżimowi hitlerowskiemu. Pamiętniki Hassela rzucają wiele światła na kulisy tego reżimu, ale nie jest to w nich najciekawsze. O reżimie hitlerowskim wiemy już dziś prawie wszystko. Natomiast najcenniejszy jest prawdziwy obraz niemieckiego «podziemia», oblicze tych «innych», «dobrych» Niemiec, jakie z kart książek jest widoczne.

Przed wszystkim uderza niezwykle mały zasięg niemieckiego podziemia antyhitlerowskiego, zarówno w sensie ilościowym jak i sfer, które obejmował. Nie było mowy o żadnym ruchu masowym, należały doń naprawdę nieliczne jednostki. Dalej ograniczał się on do sfer arystokracji wojskowo-urzędniczej i inteligencji. Nie sięgał nigdzie głębiej do szerszych warstw społeczeństwa. Za to posiadał rozległe kontakty w najwyższych sferach wojskowych i urzędniczych, nawet takich, które mogły się wydawać dla reżimu zupełnie pewne. Hassel wymienia szereg swoich kontaktów z generałami z marsz. von Beckiem na czele, wywiadem (Gisevius, admirał Canaris), ministerstwem spraw zagranicznych (wiceminister von Weizsäcker), pruskim ministrem finansów Popitz, Schacht i in.

Ta konspiracja niemiecka nie posiadała właściwie prawie do samego końca żadnych ściślejszych form organizacyjnych. Były to luźne grupy lub jednostki. Szczególnie uderzająca jest zupełna bezsilność podziemia niemieckiego. Przez szereg lat te wszystkie luźne grupki i jednostki utrzymują kontakty, jeżdżą, konferują, uzgadniają, dyskutują, informują się nawzajem, często plotkują po prostu, ale na tym właściwie kończy się ich cała działalność. Charakteryzuje ją szczególnie bezwład, brak woli czynu. Hassel i inni «cywile» należący do konspiracji wychodzili z założenia, że reżim obalić można jedynie siłą, a więc na drodze wojskowego zamachu stanu. Jednakże właśnie generałowie niemieccy wykazali w tym względzie niesłychaną słabość i brak decyzji. Hassel nie szczędzi w swych pamiętnikach ostrych słów krytyki pod ich adresem w rodzaju: «beznadziejni feldfeble», «osobliwa mieszanina bohaterów i niewolników», «tchórzliwi lub lekkomyślni karierowicze», pozbawieni woli, stanowczości, samodzielności, światopoglądu itp. Rzecz szczególnie dziwna, którą podkreśla Hassel, że generałowie ci zapuszczali się w najbardziej szalone rozmowy, lecz nie mogli się zdobyć na czyny. Ta okoliczność między innymi podsunęła zapewne niektórym ze spiskowców tak dziwaczne pomysły, jak

projekt dokonania przewrotu przy pomocy Göringa, lub innym razem przy pomocy SS i Himmlera! W drugim wypadku projekt ten został zaniechany, gdyż nie było pewności czy można odstąpić przed Himmlerem karty, a także obawiano się, że obciążąłby on zanadto nowy rząd wobec zagranicy samą swoją obecnością...

Jednakże niemiecki ruch podziemny był słaby nie tylko organizacyjnie. Był on również słaby ideowo. Jeśli chodzi o sprawy wewnętrzne Niemiec, to niewątpliwie przeciwstawiał on hitlerowskiemu barbarzyństwu program powrotu do państwa opartego o prawo i sprawiedliwość, uznającego wolności obywatelskie i kierującego się zasadami moralności chrześcijańskiej w życiu publicznym. Program taki byłby może atrakcyjny nawet mimo tego, że charakter niemiecki wedle słów samego Hassela, «wykazuje dostateczną skłonność do niewolnictwa», gdyby nie okoliczność, że naród niemiecki zaangażowany był w tej chwili w jedną z najbardziej decydujących wojen w swoich dziejach. Był wprzagnięty cały w ogromny wysiłek wojenny i wpatrzony w jej przebieg. A w tym właśnie zakresie spiskowcy nie potrafili i nie chcieli przeciwstawić się hitleryzmowi. Jeżeli chodzi o politykę zagraniczną Niemiec i prowadzenie wojny, różnice w poglądach między reżimem hitlerowskim a jego przeciwnikami ograniczają się do taktyki jedynie. Hassel nie potępia imperialistycznej wojny i dążeń Hitlera, wytyka natomiast wszystkie błędy jego polityki, potępia metody. Jeżeli w roku 1939 usiłował wpływać na politykę niemiecką, aby powstrzymać ją od wojny przeciw Polsce, to dlatego, że zdawał sobie sprawę, że wojna może być katastrofą dla Niemiec. Nie pomija też sposobności wytknięcia błędu, jakim było zaatakowanie naprzód Czech, a dopiero potem podniesienie sprawy korytarza i Gdańska. Oczywiście potępia bardzo ostro i to wielokrotnie okrucieństwa niemieckie w Polsce pod okupacją, ale znów chodzi mu tu jedynie o barbarzyńską metodę. Nie omieszcza podkreślić, że okrucieństwa te przynoszą szkodę Niemcom w opinii świata i że przy innej, nie tak «chybionej metodzie», można było Polskę i państwa bałtyckie dla niemieckich planów na wschodzie rozegrać.

Z polskiego zwłaszcza punktu widzenia najciekawsze są notatki, dotyczące programu wschodniego, opracowanego przez przywódców tej opozycji antyhitlerowskiej dla użytku wewnętrznego, który był również przedstawiony kilkakrotnie aliantom zachodnim w czasie poufnych rozmów, przede wszystkim Hassela we Włoszech i w Szwajcarii. We wszystkich tych programach i memoriałach zawarta jest wprawdzie zgoda na odbudowę niepodległej Polski i Czech, ale warunkiem jest pozostanie przy Niemczech Austrii, Sudetów i «niemieckich części Polski», tak iż niemiecko-polska granica musi się zasadniczo pokrywać z granicą Rzeszy w r. 1914! Zastrzega się również Hassel kilkakrotnie przeciw ew. mieszaniu się aliantów do wewnętrznych spraw Niemiec, a w szczególności przeciw uroszczeniu sobie przez nich praw sądenia przywódców hitlerowskich.

Jak wynika z tego, oblicze «innych» Niemiec przezierające z kart pamiętników Hassela nie jest tak znów nowe i nieznane.



Zupełnie innego typu książką jest Silensa «Irrweg und Umkehr». Autor stara się dać psychologiczne i historyczne wytłumaczenie błędnej drogi Niemiec i naszkicować warunki niemieckiego nawrotu z tej drogi. Cofa się w tym celu o kilka wieków wstecz i zaczynając od Lutra, poprzez Fryderyka Wielkiego, Bismarcka i Wilhelma II, ukazuje ewolucję Niemiec aż po «drogę do piekła» («Höllenfahrt» w oryginale) pod rządami Hitlera. Jednakże srodze zawiedzie się, kto szukałby w tej pracy naprawdę szczerą chęć przyznania się do win i poszukiwania drogi nawrócenia. Pozornie tak wygląda, bo książka jest napisana niezwykle sprytnie, a w rzeczywistości jest smiałą i oczywistą próbą wybielenia Niemiec i przerzucenia winy na innych. Technika przyjęta przez autora jest następująca: nie przeczyć rzeczom oczywistym, przeciwnie podkreślać je jeszcze, aby zaraz potem wykazać, że naród niemiecki nie ponosi tu właściwie żadnej winy, aby wytłumaczyć i usprawiedliwić postępowanie Niemiec i w końcu zepchnąć winę na innych. Kiedy trzeba, autor nie zauważa pewnych faktów, pomija je milczeniem, tak aby nie zepsuć sobie konstrukcji logicznej całości, dojść do przyjętego założenia i wywiązać się z powziętego planu.

Obraz państwa pruskiego w ujęciu autora wydaje się trafny. Było to, wedle autora, państwo zbudowane hierarchicznie, gdzie obywatel się nie liczył, urzędnik zaś miał urząd a nie przekonania, aż po stojącego na szczycie tej budowli władcę, nigdy za swoje przekonania nie odpowiedzialnego. «Jednakże państwo to było czymś innym niż społecznością ludzi wolnych, którzy zarządzają swymi własnymi sprawami, było ono ponadosobowym samopanowaniem, swego rodzaju Molochem, którego potęgą, wielkością i wzrost podporządkowała sobie wszystko co ludzkie». Kto ponosi odpowiedzialność za to, że takie było państwo pruskie? Bo ktoś ją wszak ponieść musi. Albo ludność albo władcy musieli wpłynąć na rozwój państwa w takim właśnie kierunku. Tymczasem autor pośpiesza z zapewnieniem, że prawdziwi Prusacy, to naród pracowity, spokojny, wierny, prostoduszny, to przeciwnicy Bismarcka i Wilhelma II! Jakże więc mógł taki naród stworzyć takie państwo? Tym bardziej, że i twórca tego państwa w nieczym nie zawinił, gdyż autor wykazuje, że nie ma linii prostej, która wiodłaby od Fryderyka Wielkiego przez Bismarcka do Hitlera. Fryderyk był monarchą tolerancyjnym, pracowitym, dbałym jedynie o dobro poddanych. «Człowiek, który o zmierzchu swego życia wypowiedział słowa: «Jestem znudzony panowaniem nad duszami niewolniczymi» miał z duchem Hitlera, Himmlera i Goebbelsa bardzo mało do czynienia». Tym cytatem autor mimo woli oskarżył jednak naród i sam podważył uprzednią obronę. W rezultacie dowiadujemy się, że winy nie ponosi ani naród pruski ani jego władcy, ale Napoleon... Rola

Napoleona i jego wojen w obudzeniu niemieckiego nacjonalizmu jest na ogół znana, ale nie można go jednak obciążać wszystkim. Czyniąc to autor świadomie przesuwając w czasie narodziny niemieckiej zaborczości tak jak gdyby przedtem nie było krzyżackiej grabieży w Prusiech i na Pomorzu, wyróżnienia w pień słowiańskiej ludności Gdańska, a przede wszystkim rozbiórów Polski!

Jeśli chodzi o Bismarcka, to autor przyznaje, że był on niewątpliwie amoralny, ale jedyny jego «grzech» widzi w wierze w potęgę materialną. Zaraz jednak podkreśla, że traktat pokojowy z Francją był mimo wszystko traktatem dwóch cywilizowanych państw, był ludzki i stwarzał warunki do przyjacielskiego i pokojowego współżycia. Autor przyznaje, że aneksja Alzacji i Lotaryngii była «błędem» ze strony Niemiec, ale jakby nic nie wiedział, że ten bismarckowski traktat nałożył na Francję wielomiliardową kontrybucję w złocie, której celem było zrujnowanie tego kraju i która została bezlitośnie ściągana do ostatniego grosza. Wydaje się również nic nie wiedzieć o prześladowaniu Polaków pod rządami Bismarcka, choć w innym miejscu, jakby nawiasowo, pisze zarówno o tym prześladowaniu jako też o nienawiści Bismarcka do Polaków.

Dopiero panowanie Wilhelma II charakteryzuje się wyniesionym na szczyty materializmem, kultem siły i militarystką. Stwierdziwszy to, autor zaraz wyjaśnia, że jednak błędne jest przekonanie, jakoby w charakterze niemieckim leżała szczygółna «Kriegslust». Podobnie ten imperializm niemiecki nie był właściwie odpowiedzialny — zdaniem autora — za rozpętanie I-szej wojny światowej, gdyż rozpętał ją panslawizm przez strzały, które powaliły w Sarajewie austriackiego następcę tronu. W swoim zapędzie zwałenia całej winy za tę wojnę na rosyjski panslawizm, autor mimo woli podaje właściwe przyczyny wojny, kiedy pisze: «Pewne jest, że panslawizm pod przywództwem Izwołskiego zdecydowany był przeprowadzić prędzej czy później wojnę z Niemcami o panowanie nad słowiańskimi ludami, położonymi między Niemcami a Rosją» (w oryginale: «um die Vormacht über die slawischen Zwischenvölker»). Opinia ta zgodna jest z diagnozą Sir Halforda Mackindera, powtórzoną przez Mantoux, że «kluczem do sytuacji w Europie jest sytuacja w Europie Wschodniej, a z kolei kluczem do tej ostatniej jest pretensja Niemców do panowania nad słowianami». Potwierdzenie mimowolne tej diagnozy przez Silensa jest niezwykle cenne.

Dochodzimy do hitleryzmu i źródeł II-giej wojny światowej. dla przywódców hitlerowskich autor jest pełen pogardy i potępienia zdecydowanie cały ruch. Jest w jego ocenie nienawiść starej klasy junkerskiej w stosunku do «chamów», którzy wyszli z dołów i dorwali się władzy: hitlerowski ład w Niemczech, to było «panowanie podoficerów nad wielkim, kulturalnym narodem», były to rządy «kliki nienawistnych, brutalnych i pobawionych skrupułów złoczyńców». Po szeregu epitetów gra-

nierzających z wyzyskami, pod adresem Hitlera, Göringa, Himmlera, Goebbelsa, autor podkreśla, że całe to zbiorowisko «Reichs- und Gauleiterów», to pełne kompleksów niższości, krótkonogie i krągłogłowe, małe mieszcuchy, pośród których nie było ani jednego «nordyckiego» człowieka. «Krótko mówiąc — reasumuje — zbiorowisko «podludzi», proklamuje prawo «wyższej» rasy, aby miliony innych ludzi wyciąć».

Jeśli chodzi o przyczyny II-giej wojny światowej, to większość ich w ujęciu autora łączy się ze sprawami stosunków polsko-niemieckich. Naturalnie wszystkiemu był winien przede wszystkim traktat wersalski, traktat niesprawiedliwy, nieszczęście w oczach każdego dalekowidzącego Europejczyka. Na czym polegały jego błędy? Przede wszystkim na odebraniu Niemcom Poznańskiego, Prus Zachodnich i Gdańska. Ten nieszczęsny podział graniczny był źródłem nienawiści polsko-niemieckiej, która jest niezwykle ważnym elementem dla zrozumienia dramatu niemieckiego narodu. Autor przyznaje, że odbudowanie Polski niepodległej było dziejową sprawiedliwością, że Polacy na to zasłużyli. Ale choć nie mówi tego zupełnie wyraźnie, jednakże uważa widocznie, że odbudowa ta miała się odbyć kosztem innych — byle nie Niemiec. Píše więc, że ludność prowincji oddanych Polsce była mieszana, że przypadły one Prusom w XVIII wieku wskutek rozbiorów i że Śląsk nie należał do Polski od 700 lat, a ziemie te zawdzięczały wszystko niemieckiej administracji i niemieckiej pracy! O rozbiorach pisze tak, jakby to nie Prusy były inicjatorem i głównym grabieżcą («Westpreussen und Posen waren Ende des 18. Jahrhunderts durch die Teilung an Preussen gekommen» — tak sobie po prostu «przyszły» te prowincje same do Prus!). Podobnie autor pomija fakt, że Śląsk nie należał wprawdzie do Polski, ale też i nie do Niemiec. Wreszcie pomija okoliczność, że niemiecka praca na Śląsku to w rzeczywistości — niemieckie kapitały a praca polskiego górnik-a i robotnika. Następnie rozwodzi się długo nad rzekomymi okrucieństwami polskimi w czasie powstań śląskich. Wreszcie ostatnia przyczyna «katastrofy wersalskiej», która zrodziła następną wojnę, to odrozdzenie francuskich planów hegemonii nad Europą, których wschodni bastion stanowiła Polska. Twierdzenie to jest w oczywistej sprzeczności ze stanem faktycznym. Jest rzeczą notorycznie znaną, że osłabiona upustem krwi w I-szej wojnie światowej Francja pragnęła jedynie pokoju i spokoju i była jak najdalej od jakichkolwiek snów o hegemonii europejskiej!

Wojnę ostatecznie ułatwili Hitlerowi Stalin i polska nienawiść. Przytoczywszy cytat z książki Ewy Curie pt. «Madame Curie» o nienawiści Polaków do zaborców, autor generalizuje to, aby wmówić w czytelnika, że nienawiść jest cechą zasadniczą charakteru Polaków. Ta nienawiść podyktowała im straszliwy ucisk niemieckiej mniejszości w Polsce (!), co znacznie ułatwiło Hitlerowi rozpętanie wojny w sprawie niemieckiego Gdańska i równie niemieckiego korytarza. Autor nie może zaprze-

czyć, że wojna i okupacja niemiecka były okrutne, że Hitler wydał specjalne rozkazy, mające na celu zdziesiątkowanie ludności polskiej. Jednakże znajduje w tej chwili szereg usprawiedliwień. Oto przede wszystkim naród niemiecki w swoich 99 i 1/2 % nie o tym nie wiedział, gdyż gazety o tym nie pisały w Niemczech (!). Poza tym dodaje, że wojna totalna nie jest bynajmniej niemieckim wynalazkiem Luddendorfa, gdyż pierwsi wprowadzili ją Amerykanie w wojnie secesyjnej ze stanami południowymi. Następnie okrucieństwa niemieckie były jedynie odpowiedzią na «krwawą niedzielę bydgoską», w której zginęło 70.000 Niemców, wymordowanych przez Polaków. Wydaje się, że cyfra ta jest wiele przesadzona, jakkolwiek coś tam musiało zajść, choć polskie źródła milczą raczej o tej sprawie. Autor zapomina jednak dodać, że z chwilą najazdu niemieckiego na Polskę ci Niemcy nie byli bynajmniej spokojnymi i lojalnymi obywatelami, ale zdradziecką piątą kolumną, przecinającą druty połączeń wojskowych, zatrzymującą studnie z wodą, szpiegującą na każdym kroku, strzelającą zza płota do polskich obrońców i dającą sygnały niemieckiemu lotnictwu.

Wreszcie konkluzje książki. Zagadnienie odbudowy Europy i roli w niej Niemiec, zagadnienie nawrotu Niemiec z błędnej drogi. Na przeszkodzie temu stoją jednak dziś nowe ogromne błędy, w pierwszym rzędzie zaś oddanie czwartej części Niemiec Polsce. Rezultatem tego jest 12 milionów bezrobotnych Niemców oraz ogromne szkody, wynikłe dla gospodarki europejskiej wskutek tej utraty przez Niemcy prowincji wschodnich, będących śpichrzem Europy! Dalszym niebezpieczeństwem jest tzw. «denazyfikacja». Zasadniczym więc warunkiem trwałego pokoju jest oddanie Niemcom ziem wschodnich.

Jeśli chodzi o rolę ziem wschodnich, jako śpichrza Niemiec, to jest to fałsz oczywisty w świetle własnych niemieckich źródeł i opracowań, m. inn. słynnego ekonomisty-geografa, prof. Volza. Dla Europy zaś jest chyba obojętne czy ziemię tę będą uprawiać Polacy czy Niemcy, jeżeli tylko produkcja będzie utrzymana. Nawiasem mówiąc, ziemię te nadają się jedynie pod uprawę ziemniaków i żyta, których Europa nie potrzebuje.

Aby być zupełnie wiernym w zreferowaniu książki Silensa, dodajmy, że autor w zakończeniu, zreflektowawszy się, że rewindykacje jego idą trochę za daleko, uznał za wskazane ograniczyć je, pisząc, iż oddanie Prus Wschodnich oraz zachodniego Górnego Śląska i Gdańska powinno Polsce wystarczyć, a natomiast wrócić winny do Niemiec Dolny Śląsk, Brandenburgia Wschodnia i Wschodnie Pomorze.

Omówione powyżej dwie książki niemieckie świadczą o tym, że tzw. inne, dobre Niemcy różnią się od Niemiec hitlerowskich jedynie metodą i taktyką. Podobne zjawisko zresztą można było obserwować i po tamtej wojnie, kiedy to — po upadku pruskiej dynastii Hohenzollernów — bismarckowską Rzeszę ratowali ró-

wniez «inni» Niemcy: kanclerz Maxymilian Badeński, Ebert i Erzberger. Problem Niemiec nie jest więc do rozwiązania na drodze «reeducacji» narodu niemieckiego, jak się to niektórym teoretykom zachodu wydawało. Przynajmniej nie na razie. Punkt ciężkości leży w takim uregulowaniu sprawy niemieckiej, aby pozbawić Niemcy możności odbudowania swego potencjału wojennego i odrodzenia imperializmu. Tego samego zdania wydaje się być autor szwajcarski trzeciej z omawianych prac, p. Louis Brandt-Peltier. Drugie wydanie jego książki pt. *La guerre de cinquante ans* jest tym ciekawsze, że uzupełniane jest niektórymi krytykami prasy i odpowiedzią autora na te uwagi krytyczne.

Tezy Peltiera są niezwykle oryginalne i interesujące, ale budzić muszą szereg zastrzeżeń. Książka jego nosi tytuł «wojna pięćdziesięcioletnia», gdyż zdaniem autora, wojna, jaką Bismarck rozpoczął w r. 1866 przeciw Austrii stanowi, poprzez wojnę z Francją 1870 roku, aż po wojnę światową 1914-1918 jedną całość, gdyż jest to w gruncie rzeczy droga Prus konsolidujących Rzeszę niemiecką w jedno państwo. Pokój wersalski, rzekoma klęska Niemiec, był w rzeczywistości największym ich triumfem, gdyż wskutek krótkowzroczności aliantów przypięczętował on i usankcjonował jedność Niemiec. Zasadnicza teza, którą przeprowadza autor, jest następująca: ani zlikwidowanie Prus, ani zlikwidowanie hitleryzmu nic nie pomoże, podobnie jak nie pomogło wyrzucenie Hohenzollernów. Jedyne co zapewnić może Europie spokój ze strony Niemiec to jest decentralizacja ich. Jedynym ratunkiem jest więc restaurowanie odrębnych państw niemieckich, co z kolei możliwe jest tylko przy powrocie dynastii, wyrzuconych w roku 1918. Autor gorzko wyrzuca aliantom, że po pierwszej wojnie światowej nie wykorzystali okazji w tym kierunku, że nie tylko nie poparli separatystycznych dążeń poszczególnych krajów niemieckich, ale przeciwnie, przypatrywali się z życliwością upadkowi dynastji w poszczególnych państewkach i potraktowali Niemcy jako jedność i całość. Zdaniem autora, alianci nie zastosowali do Niemiec zasady samostanowienia narodów, gdyż narody niemieckie pragnęły w tym czasie nie jedności ale podziału. Równocześnie Peltier atakuje tę zasadę, jako sprzeczną z równowagą europejską. Zdaniem jego, dalszą gwarancją dla Europy przeciw Niemcom było utrzymanie monarchji habsburskiej, którą rozczłonkowano w imię tej niebezpiecznej zasady na małe państwa, nie potrafiące się przeciwstawić Niemcom.

Te tezy autora zostały ostro zaatakowane w szeregu poważnych czasopism szwajcarskich, przy czym sprawa Polski była jednym z zagadnień przede wszystkim poruszonych w tej dyskusji. Autor w drugim wydaniu przytacza wyjątki krytyk i swoją na nie odpowiedź. Jego tezie konieczności utrzymania monarchii austriackiej przeciwstawiono prawo Polski do samodzielnego państwa. Autor odpowiada krytykom, że nie można równocześnie być zwolennikiem Polski niepodległej i istnienia

zjednoczonej Rzeszy niemieckiej. Te dwie rzeczy wykluczają się nawzajem: «polityka międzynarodowa, w zakresie w którym dotyczy ona suwerenności narodów i rozgraniczeniu państw — geopolityka — jest nauką bardzo realistyczną, bardzo pozytywną, która, niestety, nie ma nic wspólnego z prawem naturalnym ani moralnością, ani tym mniej z etnologią; to nie jest nauka ludzka, biologiczna, ani spekulatywna, lecz nauka matematyczna, fizyczna, opierająca się na geografii, a więc na wiedzy, której prawa regulują stosunki między poszczególnymi siłami, i w której historia zastępuje laboratorium». Otóż zdaniem autora wystarczy rzucić okiem na to laboratorium, aby zrozumieć, że niepodległe Państwo polskie istnieć może jedynie w tym wypadku gdy nie ma jako sąsiadów dwu mocarstw. Ponieważ możliwości rozczłonkowania imperium rosyjskiego są zupełnie iluzoryczne, więc podstawowym warunkiem dla istnienia niepodległej Polski jest rozbitcie jedności Niemiec. Do tej tezy autor powraca w dalszych swych uzupełnieniach kilkakrotnie, m. in. w rozdziale o stosunkach prusko-rosyjskich kiedy mówi, że w gruncie rzeczy Rosja tylko wtedy może bezpiecznie zwrócić się na Daleki lub Środkowy czy Bliski Wschód, kiedy za plecami Polski są potężne, zjednoczone Niemcy.

Wydaje się, że p. Peltier, deklarując się jako zdecydowany realista w polityce międzynarodowej, w rzeczywistości zapuścił się w niezupełnie realne, teoretyczne spekulacje, operując obszarami i narodami jak matematycznymi. Historia poszła naprzód nie tylko od kongresu wiedeńskiego, którego rozstrzygnięcia tak autor chwali, ale również od roku 1914. Dążenia poszczególnych «ludów habsburskich» do niepodległości były taką samą realną rzeczywistością, jak i dążenie narodu niemieckiego do jedności. Wszelkie rozstrzygnięcia, które się z tymi realiami nie liczą, są sztuczne i mogą być utrzymane jedynie siłą. Olbrzymia monarchia Habsburgów jest martwym cieniem, którego nie wskrzesić nie zdoła — jej rozkład w roku 1918 był niezależny od aliantów i samorzutny, zupełny i nieodwracalny. Wydaje się również, że wszelkie cechy sztuczności mają pomysł wskrzeszenia dawnych państewek niemieckich. Nie należy przeceniać separatyzmów, jakie przejawiają się tu i ówdzie, po klęsce w roku 1918 czy ostatnio. Naród niemiecki jest dziś jednością i narzucanie mu sztucznie zewnątrz ustroju luźnej federacji kilkudziesięciu państewek jest zupełnie nierealne i tym łatwiej spowoduje w przyszłości odwrotną reakcję.

Jakie wobec tego jest inne wyjście? Autor słusznie związał sprawę Niemiec ze sprawą Rosji. Ale zupełnie niesłusznie przyjął jako założenie, że nie istnieje możliwość rozczłonkowania Rosji. To założenie jest niczym nieoparte. Jest wynikiem oderwanego od rzeczywistości rozumowania, operującego obszarami i nieliczącemu się z narodami je zamieszkującymi. Właśnie imperium rosyjskie, jako państwo wielonarodowe, utrzymujące swą jedność straszliwym terrorem, może i powinno być roz-

członkowane. Zresztą w wypadku klęski w konflikcie z Zachodem rozleci się samo na szereg państw narodowych.

Aleksander KORCZYŃSKI.

Książki o Rosji

MAX BELOFF. — *«The Foreign Policy of Soviet Russia»* («Polityka Zagraniczna Rosji Sowieckiej»), Tom I, (od 1929 do 1936); wyd. przez Oxford University Press, Londyn-Toronto-New York, 1947. Cena 15 sh., 261 stron.

Książka ta, wydana pod auspicjami Królewskiego Instytutu Spraw Międzynarodowych (popularnie zwanego Chatham House), pożytecznie rozszerza zakres rosnącej literatury o Rosji Sowieckiej w języku angielskim.

Pokrywa ona siedmiolate od początku pierwszej «pięcioletki» aż do wkroczenia Hitlera do Nadrenii. Okres ten w polityce zagranicznej sowieckiej nacechowany jest stałością. Sytuacja wewnętrzna ZSRR była wypełniona wielkimi wysiłkami przemysłowymi i bolesnym procesem kolektywizacji. W tym to okresie właśnie Stalin sformułował zasady swej polityki izolacjonizmu. W pozostałej Europie na porządku dnia była zasada zbiorowego bezpieczeństwa, spoza której stopniowo dochodzili do władzy przyszli agresorzy w Italii i w Niemczech.

We wstępie do tej książki, prezes Królewskiego Instytutu Spraw Międzynarodowych, Lord Astor, zaznaczył, że drugi tom, obejmujący okres 1936-1941, będzie wkrótce opublikowany, lecz że wydanie historii sowieckiej polityki zagranicznej w okresie 1917-1929 pozostanie na razie na liście przyszłych zamierzeń Instytutu.

Max Beloff dał w swej książce znakomicie zrównoważone i beznamienne studium zagadnienia, które budzi tyle silnych uczuć. Książka jest obficie udokumentowana i stanowi bezcenne uzupełnienie nauk o Rosji, które w Wielkiej Brytanii są bardzo dalekie od należytego poziomu.

W swym ujęciu tematu, Max Beloff wybrał złoty środek między elementami czystej polityki zagranicznej a wpływami doktryn komunistycznych, pomiędzy sowieckim nacjonalizmem a procesem rewolucyjnym, jeszcze trwającym w Rosji Sowieckiej. Dzięki oględności, z jaką te poszczególne czynniki zostały potraktowane, budowa logiczna książki nie cierpi z nadmiaru niepotrzebnych i ciężkich wyjaśnień.

Zagranicznej polityki Sowietów nie da się całkowicie oddzielić ani od polityki wewnętrznej ani od doktryny komunistycz-

nej. Z tego punktu widzenia rozdziały książki «Międzynarodowe aspekty planu pięcioletniego», «Nacjonalizm Sowiecki i Armia Czerwona», oraz «Siódmy Kongres Kominternu» znakomicie uzupełniają obraz «dyplomatyczny» Rosji i są bodajże najbardziej interesujące.

Królewski Instytut nie omieszkał zastrzec się na dobrze widzialnym miejscu, że «Instytut jako taki, na mocy Statutu Królewskiego, nie wypowiada swoich opinii co do żadnego z aspektów spraw międzynarodowych. Zdania wyrażone więc w tej książce należy traktować jako ściśle osobiste zdania autora».

P. Max Beloff oczywiście nie nadużył danego mu w ten sposób prawa do wypowiedzenia własnych opinii. Książka jego jest przesycona olimpijską atmosferą czytelnicy przy bibliotece w Chatham House, gdzie w przytulnym zaciszu, w oderwaniu od rzeczywistości, można studiować spokojnie problematykę wstrząsającą ludzkością.

Jakżeż odmienną pod tym względem jest ta książka od «Historii Dyplomacji», wydanej w Moskwie pod kierownictwem akademika W. P. Potiomkina! Trzeci tom tej «Historii Dyplomacji» obejmuje również ten sam okres prawie, co książka M. Beloff'a, — 1919-1939. Warto porównać ostrożne i kulturalne traktowanie tematów przez p. Beloff'a z demagogicznymi i hałaśliwymi wyskokami kolektywu sowieckich historyków. Dla przykładu jak wygląda słownik historycznego materializmu sowieckiego, wystarczy tytuł jednego z rozdziałów: «Upadek antysowieckich prowokacji i intryg podżegaczy wojny».

Co do jednego szczegółu Max Beloff nie był dostatecznie poinformowany. Na stronie 95 wspomina on o generale Niedermayerze, jednym z bliskich współpracowników profesora Haushoffer'a, jako o attaché wojskowym niemieckim w Moskwie w okresie 1933-1939. Otóż w 1933 attaché wojskowym niemieckim w Moskwie był pułkownik Tschunke, pan Niedermayer zaś był w Moskwie już w 1931 roku jako szef niemieckiej tajnej misji wojskowej i przemysłowej. Obecność jego była trzymana w wielkiej tajemnicy. Tajemnica ta jednak ujawniła się, gdy nieostrożny motocyklista sztabu generalnego sowieckiego, rozwijający pocztę, dał jednemu z attaché wojskowych do podpisu książkę doręczeń. Szybkie przejrzanie nazwisk, adresów oraz krótkich streszczeń listów jakie były rozsyłane przez sowiecki sztab generalny ujawniło nie tylko obecność pana Niedermayera w Moskwie, lecz również i wielu innych niemieckich oficerów wysokiej rangi oraz charakter ich misji. To stwierdzenie obecności tak wielkiej tajnej misji niemieckiej w Moskwie, poza oficjalnym attaché wojskowym, — było dla wszystkich dużą niespodzianką.

Księga lęków i przeznaczeń

Ludzi, znających Warszawę z czasów okupacji niemieckiej, książka Kazimierza Brandysa *«Miasto Niepokonane»* doprowadzić może do białej pasji. Jest to, jak głosi podtytuł, «Opowieść o Warszawie», wydana w 1947 r. przez Spółdzielnię Wydawniczą «Książka» (stron 287). W Kraju cieszyła się ona dużą popularnością i nadzwyczaj pozytywną oceną marksistowskich krytyków. Nie ma w niej wyraźnej nieprawdy, jest natomiast całkowite wykrzywienie obrazu miasta w latach 39—45, wynikiem z niezwykle specyficznej i jednostronnej psychiki narratora.

Znam Brandysa od dawna, od wspólnych, pierwszych kroków dziennikarskich w ogólnopolskim piśmie młodzieży szkół średnich, «Kuznia Młodych». W okresie przedmaturalnym spotkaliśmy się na Zjeździe Głównego Komitetu Redakcyjnego. Roztrząsaliśmy wówczas przeróżne problemy świata tego. Brandys oczarował mnie dużą kulturą osobistą. Szliśmy Mazowiecką i Szpitalną, dogadując się na temat tworzenia zespołów młodych ludzi dla aktywnej pracy nad Polską duchowo postępową i radykalną społecznie, dyskutowaliśmy z młodzieńczym przejęciem jak najlepiej wykorzystać w naszym niepodległościowym pokoleniu dar wolności, jak pomnożyć Polskę w masach robotniczych i chłopskich. A głowy szumiały nam wówczas Żeromskim, Brzozowskim i — co tu dużo mówić — Piłsudskim. Wydawało mi się, że zawarliśmy na długie lata przymierze bratersko-ideowe.

Kiedy w 1943 r. zjawiłem się w okupowanej Warszawie jako «ptaszek» z Londynu, polecono mi organizację tajnego aparatu informacji społecznej, politycznej, kulturalnej, religijnej itp., z wyłączeniem wywiadu jako takiego, w sensie dwójkarskim. Potrzebowałem do tego celu pracowników o wyrobieniu społecznym. Szukałem ich przede wszystkim w kręgu swych przedwojennych przyjaciół i znajomych. Dowiedziałem się od wspólnych kolegów, że Brandys stroni od walki podziemnej, zajmuje się natomiast handlem obrazami i dywanami. Nie usiłowałem pozbawiać go tego nowego metier.

Przed dwoma laty, manipulując przy radio, złapałem przypadkowo Łódź. Kazimierz Brandys i Jan Kott licytowali się w agitacji przeciw Zachodowi na tle sprawozdania z jakiejś oficjalnej podróży do Paryża. Odrabiali *con amore* ponurą rolę literackich politruków.

I wreszcie ktoś bliski przysłał mi z Kraju *«Miasto Niepokonane»*. Brałem tę książkę, mimo wszystko, z pietyzmem, jako nowy dokument nieporównanej z niczym epopei Miasta. Jest to bowiem w zamierzeniu konterfekt Warszawy wojennej na

kanwie osobistych przeżyć autora. A jednak po przeczytaniu tego literackiego pamiętnika stwierdzić muszę, że trudno o bardziej bezbarwny i bezduszny obraz tych tragicznych, ale jakże jednocześnie wspaniałych, lat walki. Bo właśnie u Brandysa wszystko jest: — są więc przeintelektualizowane dysertacje młodego marksisty, jest nielegalny handel, są kawiarnie, są nawet i śmierci i łapanki, — ale nie ma oporu, nie ma walki, nie ma tego właśnie, co określało postawę Warszawy, nie tylko zresztą konspiracyjnej, ale także i Warszawy przekupek, dzieci i emerytów. Nie ma w *«Miście Niepokonanym»* — niepokonanego miasta, jest natomiast pokonany autor.

Nie odmawiam, broń Boże, prawa pisania o walce ludziom, którzy jej stale unikali, nie odsądzam od czci i wiary złąkanych wiecznie nerwowców. Baliśmy się przecież wszyscy z wyjątkiem dzieci i wariatów. Tylko baliśmy się «na zmianę», lęk ustępował miejsca determinacji i czynnej woli walki. Warszawa uciekała przed żandarmskimi «budami», ale Warszawa dawała jednocześnie raz po raz, ciosy, — żyła bardziej dynamiczną nadzieją i godną dumą niż lękiem i wiecznym rozdrapywaniem ran. Toteż przede wszystkim imponująca regularna prasa podziemna i brawura chłopców Kedywu, opisana plastycznie przez «Góreckiego» w tajnie wydanych *«Kamieniach na Szaniec»*, nadały temu okresowi niezapomniany charakter. Niech więc piszą pamiętniki tchórze i szmuklerzy, ale niech nikt, komu psychicznie obce były tamte sprawy, nie porywa się na opowieść o Niepokonanym Mieście. To prawda, Brandys nie robi z siebie ani przez moment bohatera, ale ta intelektualna rzetelność opuszcza go, kiedy wspomnienia swe nazywa tak jak to uczynił. Bo tytuł zobowiązuje. Ten jest niewątpliwie piękny, chwytający, syntetyczny i zapewne kasowy, ale nie odpowiada treści. Podobnie zwodniczo nazwał swą książkę Edmund Osmańczyk, który pisząc *«Sprawy Polaków»*, nie zauważył spraw wschodnich, milczeniem pominął stosunki polsko-sowieckie.

Cóż bowiem z tego, że książka Brandysa napisana jest starannie wypracowaną, poprawną polszczyzną, kiedy w nastroju swym nie jest polska, a zwłaszcza nie jest warszawska. Dla pokrycia swej absencji w szeregach Polski Podziemnej (doprawdy wyjątkowa rzecz u młodego inteligenta warszawskiego), sporo miejsca poświęca autor przeróżnym zdrajcom, denuncjatorom i żulikom. Ktoś, kto nie zna tych spraw z autopsji, gotów sądzić, iż Warszawa istotnie roiła się od czarnych charakterów. W rzeczywistości ci, którzy pojawili się — głównie w pierwszym okresie — szybko byli likwidowani przez oddziały specjalne i bodaj trudniej było być w Warszawie zdrajcą niż bohaterem. Sporo kręciło się niebieskich ptaków, zwyczajnych gandyziarzy i dorobkiewiczów, ale i u nich zupełna izolacja od 5-letniej walki podziemnej była wręcz niemożliwa.

Obok problematyki «wewnętrznych trwóg» i wątku erotycznego (narzeczeńskie perypetie z dorodną Marianną), wiele miej-

sca poświęca Brandys rzekomym prosowieckim uczuciom Warszawy, która w jego interpretacji czekała wpatrzona w *ex Oriente lux*. W istocie zaś nie wiedzieliśmy wówczas, czy cieszyć się czy martwić Stalingradem, jako że po «wyzwoleniu» ziem wschodnich w latach 39—41, po Katyniu, przeciętny Polak przeważnie świadomie sumował straty obu stron na froncie sowieckim, bilansując je bez wahania w polskich aktywach. Zbyt wielkie nadzieje wiązano do ostatniej chwili z Zachodem, Kartą Atlantycką, czterema wolnościami Roosevelta i naszą rzekomą siłą pozycją w Londynie. Złudzeń natomiast co do prawdziwych zamiarów sowieckich mniej było w Polsce niż np. w londyńskim Strattonie. Dowodem tego najbardziej jaskrawym była — znikoma ilość plutonów komunistycznych w powstaniu warszawskim.

Radowaliśmy się szczerze z niemieckich klęsk, ale sukcesy sowieckie przyjmowaliśmy jednocześnie jak dopust Boży, czekając naiwnie na wybawienie od Zachodu lub Południa (plan Sikorskiego).

Silna musi być w Polsce legenda Armii Krajowej, jeśli autor unika wspomnienia o niej, niczym przysłowiowy diabeł święconej wody. W książce o Warszawie pod okupacją niemiecką nie ma wogóle słowa o A. K., ani o Delegaturze Rządu, ani o Radzie Jedności Narodowej. Przecież wszystkie wróble ćwierkały o tych sprawach, czepiające się tramwajów warszawskie gawrosze wyśpiewywały nieszyfrowane piosenki o A. K., ale Brandys przemilcza zupełnie nazwę największej europejskiej armii podziemnej. Wspomina tu i ówdzie o jakichś strzelających, smarkatych przyglupkach, ale zaciiera całkowicie w swym reportażu istnienie cudownego misterium podziemnej organizacji, które spowodowało, że znikło z niemieckiego słownictwa *polnische Wirtschaft*.

Próbowali nowi władcy Warszawy zagłuszyć doszczętnie legendę Polski Podziemnej, a w szczególności Armii Krajowej, musieli się jednak przyznać do całkowitej porażki. Nie zakazują już dziś, — przeciwnie sami muszą organizować obchody powstańcze. Niezależnie od takiej czy innej historycznej oceny Powstania, kult A. K. w najszerszych masach polskich przemógł wszelkie komunistyczne dyrektywy propagandowe i — aby nie stał się monopolem oporu wobec nowej rzeczywistości — został oficjalnie akceptowany przez giętkich agitatorów.

I w tym właśnie kryje się niebezpieczeństwo podobnych książek jak «*Miasto Niepokonane*». Ze względu na pasjonującą tematykę, ludzie chłoną szereg rzeczy bezkrytycznie, a ci, którzy Warszawy wojennej nie widzieli, utrwalić sobie mogą jej obraz w krzywym zwierciadle.

Autor tej książki nie jest bowiem bezstronnym obserwatorem, pisze o Warszawie przez pryzmat dyrektyw Borejszy i własnej, zupełnie wyjątkowej, postawy wobec tego wszystkiego, co składało się na historię stolicy w latach ostatniej wojny z Niemcami.

Jakże blade są te karty książki, które mówić mają o 63 dniach powstania. Andrzej Pomian-Downmuntt, kapitan Armii Krajowej, napisał w Londynie zwięzłą książeczkę — zbiór dokumentów pt. «*Powstanie warszawskie*», i chociaż powstała ona na emigracji, o ileż pełniej, w suchych faktach i depepszach, podaje prawdę i nastrój owych dni.

Brandys postanowił oddać swój niewątpliwy talent literacki w służbę nowej niewoli, wyszedłszy cało z ciężkich pięciu lat walki, która pochłonęła liczne tysiące dzielnych, pięknych ludzi, z którą poza fizycznym sąsiedztwem nie miał i nie chciał mieć nic wspólnego, okres ów zakończył na swoim odcinku osobistymi sukcesami w karierze na zgłiszczach i ruinach niepokonanej nadal Warszawy.

Warszawa, która przeżyła «niemieckie grube zady żołdackie i kwadratowe, tępe pyski», przeżyje też sprytniutkiego Brandysa i towarzyszy, a książka jego pozostanie nie tyle jako świadectwo epoki, ale raczej symptomatyczny przyczynek, świadczący o tym, że obok waleczących mężczyzn, kobiet i młodzieży żyli ludzie, usiłujący *post factum* zerować literacko na sławie Miasta.

Jerzy LERSKI.

Sprawy i troski

Sprawa DP-sów

Do świadomości szerszego ogółu Francuzów zaczyna dopiero przenikać rzeczywisty obraz losu DP-sów. Sama nazwa, eufemicznie określająca ogromną *polityczną* emigrację, przez długi czas myliła i jeszcze myli bardzo wielu.

Na kwietniowym, tłumnym zjeździe pisarzy katolickich (przemawiali na nim między innymi Claudel i Daniel Rops), jeden dzień rozpraw, zatytułowany «Katolickie sumienie wobec wysiedlonych intelektualistów», został całkowicie poświęcony nie tylko wysiedlonym intelektualistom, ale losowi DP-sów w ogóle.

Młody pisarz katolicki Robert Rochefort w żarliwym odczycie pełnym ścisłych faktów, cyfr i przykładów konkretnych, ujął aspekt moralny i materialny tego fenomenu, charakteryzującego Europę po drugiej wojnie światowej.

Postaramy się poniżej streścić jego wywody, dopełniając niektóre punkty.

Na tle wypadków ostatniego 15-lecia w Europie, masowych przesiedleń, wysiedleń i dobrowolnych emigracji, dał prelegent obraz Rzeszy Niemieckiej, która w okresie wojny wchłonęła około dwudziestu milionów przymusowych robotników ze wszystkich krajów Europy oraz jeńców wojennych wszelkich nacji i barw z trzech kontynentów. Po pięciu latach katowskich obozów i niewolniczej pracy, złamanie potęgi niemieckiej nie przyniosło wyzwolenia dla ogromnych rzesz wysiedleńców. Znaczna część pozostałych przy życiu obcokrajowych pariasów do ojczyzn swych wrócić nie mogła. Trwały więc te rzesze nadal za kolezastymi drutami obozów, stłoczone w barakach lub koszarach, niepewne jutra, kontrolowane i szykanowane przez bezduszną biurokrację opiekuńczych instytucji zrazu UNRRA, potem IRO; ludzie bez ojczyzny, których liczbę pomnożyły niebawem setki tysięcy nowych ofiar, już nie Hitlera ale układów

poczdamskich, zmian granic, nowych zaborów i dalszego tasowania różnych mniejszości narodowych.

Po wojnie, równoległe z karawanami Niemców sudeckich, śląskich, pomorskich, zalegających drogi i stacje, pomieszczone czasowo w dalszych hitlerowskich obozach, wpłynęli do tychże Niemiec i płyną nadal nowi emigranci: Polacy, Ukraińcy, Rosjanie-niewozwraszczeni, dziś Czesi i inni mieszkańcy państw za kurtyną. Opisując niedole wysiedlonych w ciągu ostatnich lat Niemców, wypieranych nie tylko z Polski i Czech, ale i Jugosławii, Rumunii, Bułgarii, a których cyfra sięga sześć i pół miliona, prelegent nie wspomniął o czterech milionach ludności polskiej, wysiedlonych ze wschodnich województw polskich i przerzuconych na Zachód już w 1945 roku, w warunkach na pewno nie mniej nieludzkich. To ogniwo łańcucha krzywd zostało pominięte w odczycie Rocheforta, a przecież wysiedlenie Niemców z Polski stoi w ścisłym związku z zaborem ziem wschodnich Polski przez Rosję i wysiedleniem stamtąd Polaków.

Wobec stłoczonej sali słuchaczy, Rochefort odmalował nowe targi niewolników, odbywające się na terenie obozów DP, gdzie komisje różnych krajów, cierpiących na niedostatek rąk roboczych, wybierają w tej masie wydziedziczonych potrzebne dla kopalni lub fabryk, czy roli mocne mięśnie oraz młode oczy i zgrabne ręce. Jedni biorą tylko mężczyzn, innym potrzebne są tylko młode kobiety; rozbijają rodziny, rozdzielają małżeństwa. Za drutami obozów pozostają starzy, chorzy, dzieci oraz masa inteligencji, dla której nie ma zatrudnienia na obczyźnie: profesorowie różnych gałęzi wiedzy, nauczyciele, lekarze, chemicy, inżynierowie, dziennikarze, artyści, prawnicy — nikt ich nie chce, są ekonomicznie bezwartościowi.

Los tych ludzi, którzy wczoraj jeszcze stanowić mogli elitę swego narodu, a dziś są masą apatrydów, stojącą całymi tygodniami u bram różnych zamorskich konsulatów w nadziei uzyskania jakiejś wizy, do jakiegokolwiek kraju, który by zechciał dać im prawa człowieka — ten los powinien się stać — podkreślał Rochefort — nekającym sumieniem chrześcijanina wyrzutem. «Warunki bytowania, zagłada w sercu Europy tych rzesz ludzkich, są *skandalem*».

«Kiedy nastąpi koniec tego piekielnego cyklu krzywd i nieprawości?» — zapytuje prelegent katolickiego zjazdu pisarzy — jaka jest nasza odpowiedzialność wobec tych wydziedziczonych, jakie nasze obowiązki? I czy może istnieć inne rozwiązanie fatalnego splotu, jak zjednoczenie wysiłków wszystkich chrześcijan ku ratowaniu tych ludzi w imię miłości Boga i bliźniego?»

Trzy lata po zakończeniu wojny w obozach Niemiec, Austrii i Włoch znajduje się około półtora miliona DP-sów najprzeróżniejszych narodowości, wieku i zawodów, z których milion mniej więcej zamieszkuje nadal odrutowane obozy.

Rochefort podał następnie szereg cyfr oraz kilka poszczegół-



nych przykładów. Wspominał także o grupie ludności polskiej, liczącej 600 osób, wysiedleńców przeważnie z Małopolski wschodniej, rzuconych w okolice Archangielska, następnie na Ural, emigrujących wraz z armią polską do Iraku, wyprawionych przez Anglików do Kenii, potem do Ugandy i znowu przez Kenię transportowanych do Marsylii, skąd ci ludzie znów rozbici, znów rozproszeni na drobne grupy, mają być wywiezieni na inne kontynenty.

Wedle zestawień Rocheforta, procent inteligencji wśród DP-sów stale wzrasta na skutek odpływu innych elementów. Tak na przykład grupa litewskich wysiedleńców, złożona z 67.000 osób, liczy 224 lekarzy (1 z ułamkiem na 300 ludzi), 65 dentystów, 300 pielęgniarek i położnych, 290 księży, 3 biskupów, 150 inżynierów, 11 profesorów wyższych uczelni, 650 średnich, 100 dyplomowanych prawników, 2.000 studentów, ponadto pisarze, artyści, uczeni.

Profesorowie bez katedr, muzycy bez instrumentów, erudyci bez bibliotek, chemicy bez laboratoriów, intelektualisci wszelkiego rodzaju bez zajęcia — dodajmy do tego ponure warunki życia obozowego, sfłoczenie po 50 rodzin w jednym baraku, albo kilku rodzin w jednej izbie koszarowej, łęk przed władzami, które traktują apatrydów jak ludzi wyjętych spod prawa, trwoga emigrantów sowieckich i innych zza żelaznej kurtyny przed przymusową repatriacją, w obliczu której nie jeden wołał sobie śmierć zadać, (jak o tym świadczyły wypadki obozu bawarskiego i obozu w Rimini), tęsknota za krajem, gorycz bezczynności i pustka niewiadomej przyszłości.

Rochefort stwierdził, że w drugim trymestrze 1947 roku IRO «zdolało repatriować 60.000 ludzi», pominął jednak milczeniem metody — pewno o nich nie wiedział — jakich się opiekuńczo organizacje dopuszczają, żeby skłonić do tej repatriacji: groźby, naciski, perswazje, jednostronna zafałszowana propaganda i «premie» w postaci trzymiesięcznego wyżywienia.

90.000 zostało jakoby umieszczonych mniej więcej na stałe w różnych krajach. W sumie więc około 150.000 ludzi ubyło z obozów DP, ale w tym rytmie (a repatriacje, jak wiadomo, już się urwały) rozładowanie hańbiących Europę i świat chrześcijański obozów trwałoby jeszcze całych 5 lat. A przecież trzeba jeszcze wziąć pod uwagę, stały i z góry nieobliczalny napływ nowych rzesz ludzkich, zbiegłych z krajów Europy wschodniej.

Może najbardziej istotnym punktem odczytu Rocheforta było zwrócenie uwagi słuchaczy na jedną z przyczyn, dla których rozwiązanie zagadnienia DP-sów utknęło na martwym punkcie, na fakt wstydliwie przemilczany, którego ani OZN, ani Rada Społeczno-Ekonomiczna, ani IRO nie wzięły dotąd pod uwagę: od 1946 roku nie ma już właściwie w obozach Europy Środkowej wysiedleńców (Displaced Persons); ludzie, którzy pozostali za drutami odmawiając repatriacji wbrew namowom a nieraz brutalnym naciskom, to *prawie wyłącznie emigracja polityczna*.

Tak Rochefort jak i Rocheraux w artykule z *Chemins du*

Monde, na który się Rochefort powoływał, piętnują hipokryzję tych międzynarodowych organizacji opieki nad DP-sami, hipokryzję polegającą na stwierdzaniu niemożności repatriacji emigrantów hiszpańskich przy jednocześnie stałym przemilczaniu faktu, że poza Hiszpanią są jeszcze inne kraje, gdzie wolności demokratyczne są równie jeśli nie gorzej deptane.

Na zakończenie odczytu zaatakował objawy ksenofobii, od której i francuska administracja, policja i po części społeczeństwo nie są wolne, niejednokrotne, gorszące traktowanie w prefekturach i komisariatach tych «sales étrangers» oraz niedorzeczność szeregu ustaw imigracyjnych. W sugestiach na temat projektowanej pomocy wspominał Rochefort o wielkiej chłonności Francji, która potrafiła zasymilować i wzbogacić się tyłu obcymi wartościami, o honorowym obywatelstwie, które należałoby udzielić wybitniejszym jednostkom spośród wydziedziczonych cudzoziemców, o skrajnym niedostatku lekarzy, felczerów i pielęgniarek w koloniach francuskich, o przestrzeniach ugoru i wyludnionych wioskach Francji, o pustkowiach afrykańskich, które odstręczają rodowitych Francuzów, a mogłyby się stać ostatnią szansą i deską ratunku dla wielu wykwalifikowanych robotników cudzoziemskich, dla Francji zaś źródłem nowego bogactwa.

Obok książki *Personnes Deplacées*,¹⁾ zbiorowej pracy, w której ujęto zagadnienie to pod najróżniejszymi aspektami — omówimy ją w następnym numerze *Kultury* — odczyt Rochefort'a jest świadectwem realnego zainteresowania we Francji tą sprawą. Sam prelegent nie poprzestał na odczytach i artykułach, jest on jednym z założycieli organizacji katolickiej «Accueil catholique Français», organizacji pomocy na terenie Francji emigrantom i wysiedleńcom wszelkich narodowości.

C. C.

¹⁾ Paris, Editions de Clermont, *Chemins du Monde*.

„ORZEŁ BIAŁY”

TYGODNIK POLITYCZNO-LITERACKI

Redakcja i Administracja
186a, Av. Rogier, BRUXELLES (Schaerbeek)

Przedstawicielstwa w Austrii, Wielkiej Brytanii, Francji,
Holandii, Szwajcarii, Szwecji i we Włoszech

● Cena egzemplarza:

We FRANCJI 15 franków fr. ★ W BELGII 5 franków belg.
W WIELKIEJ BRYTANII: 1/-

● Prenumerata:

WE FRANCJI miesięcznie 60 fr. fr.; kwartalnie 180 fr. fr.
W BELGII miesięcznie 20 fr. belg., kwartalnie 60 fr. belg.
W WIELKIEJ BRYTANII: miesięcznie 4/4, kwartalnie 12/
rocznie 45/.

● Prenumeratę przyjmują:

WE FRANCJI: *Libella*, 12, rue St. Louis en l'Île, Paris IV,
nr. konta pocztowego Paris cc 565.150.
W WIELKIEJ BRYTANII: *Gryf Publications*, 59/61, Hatton
Garden, London E.C.1.

OGŁOSZENIA: (za 1 cal przez 1 łam = £ 1)
przyjmują przedstawicielstwa «Orla Białego»,
na terenie zaś W. Brytanii wyłącznie firma
BERRY Co, 437, Grand Buildings, Trafalgar Sq., LONDON W.C.2.

KULTURA

pod redakcją Jerzego Giedroycia

Cena egzemplarza:

we FRANCJI 90 fr.; w W. BRYTANII 3 sh.; we WŁOSZCZACH 200 lir;
w SZWECJI 2,50 kor.; w NIEMCZCZACH 9 Mk.; w SZWAJCARII 1,80 fr. szw.

Warunki prenumeraty:

we FRANCJI: roczna 800 fr.; ½-roczna 500 fr.
w W. BRYTANII: roczna 1 £ 10 sh.; ½-roczna 16 sh.
we WŁOSZCZACH: roczna 2000 lir; ½-roczna 1200 lir
w SZWECJI: roczna 22 kor.; ½-roczna 12 kor.
w NIEMCZCZACH: roczna 90 Mr.; ½-roczna 50 Mk.
w SZWAJCARII: roczna 18 fr. szw.; ½-roczna 10 fr. szw.
w AMERYCE: roczna 6 dolarów; ½-roczna 4 dolary

Cena ogłoszeń: cała strona 6.000 fr. fr.; ½ strony 4.000 fr. fr.

Przedstawicielstwa:

We FRANCJI: Librairie «Libella», 12, rue St-Louis en l'Île — Paris (IVe)
W W. BRYTANII: The Vistula Press Ltd., 86, Avenue Road, — London N.W.8
We WŁOSZCZACH: Jan Crochowski, 81, via della Croce, Roma.
W SZWECJI: «Wiadomości Polskie», Riddaregatan 25/1 ö. g., Stockholm.
W NIEMCZCZACH: Wydawnictwo «Kronika», (16) Eppstein (Taunus), Hotel
Bienberg, U. S. Zone.
W SZWAJCARII: Redakcja «Pod Prąd», — Fribourg 2, Case 10

Adres Redakcji: Librairie «Libella», 12, rue St-Louis en l'Île, Paris IV.
Telefon: Maisons Lafitte (S.-et-O.) 19-04

Redaktor przyjmuje po uprzednim porozumieniu się
listownym lub telefonicznym

Redakcja KULTURY rękopisy nadesłane a nie zamówione zwraca
jedynie przy załączeniu znaczków pocztowych na porto

KULTURA omawia w pierwszym rzędzie książki i czasopisma
nadsyłane do redakcji w 2-ech egzemplarzach



Od następnego numeru KULTURA rozpoczyna druk
większej pracy

STANISŁAWA GRYZIEWICZA

pod tytułem

_____ *Srodki* _____

Polityki Gospodarczej

*Pierwsza ta w literaturze emigracyjnej praca, zakrojona
na skalę europejską, zawierać będzie następujące
rozdziały :*

- ZŁOŻONOŚĆ POLITYKI GOSPODARCZEJ.
- NIEKTÓRE ZAGADNIENIA UKŁADU ELEMENTÓW
GOSPODARKI.
- ODDZIAŁYWANIE NA GOSPODARKE JAKO CAŁOŚĆ.
- INTERWENCJONIZM ODCINKOWY.

*Po zakończeniu druku w KULTURZE
praca ukaże się w wydaniu książkowym.*

W najbliższym czasie Instytut Literacki wydaje:

Arthur Koestler:

CIEMNOŚĆ W POŁUDNIE
w przekładzie Tymona Terleckiego.

Józef Czapski:

NA NIELUDZKIEJ ZIEMI

Żądajcie katalogów wydawnictw Instytutu Literackiego